

THE RADIO

# MACIEJ MAZUR



## ANEGDOTY DZIENNIKARSKIE

MACIEJ MAZUR

**ANEGDOTY  
DZIENNIKARSKIE**

---

**THE FACTO**

Warszawa 2013

## KONIEC GRZECZNEJ TELEWIZJI

Maciej Mazur, witam Państwa, przed nami fakty. Po faktach, przed faktami i w trakcie również. Dziwne, śmieszne, nietypowe, spontaniczne i klasyczne. Przez ponad dwadzieścia lat wolnego polskiego dziennikarstwa nazbierało się sporo wolnych żartów, kuriozalnych wpadek, niesprawdzonych doniesień i nieprawdopodobnych historii. Nieprawdopodobnych, acz prawdziwych. Większość z tych opowieści krąży w tak zwanym środowisku dziennikarskim, ale rzadko je opuszcza. Redaktorzy uwielbiają bowiem serwować w mediach ekskluzywne newsy o innych, ale swoimi dokonaniem jakoś nie za bardzo się chwają - może dlatego, że niektóre z nich chwały raczej im nie przynoszą. W sumie jednak szkoda, bo - w przeciwieństwie do artysty z *Rejsu* - dziennikarzowi zdarza się być jednocześnie twórcą i tworzywem. I wtedy dopiero zaczyna się rejs. Po wzburzonych wodach polskich mediów. Ahoj, wszyscy na pokład, odbijamy. Popłyniemy daleko. Nieraz bardzo daleko.

## LIS POKAZUJE KŁY

Pierwsza przystań to Zbuczyn. Niewielka wieś w powiecie siedleckim. Przebiega przez nią droga krajowa numer dwa, która doprowadziła raz Tomasza Lisa do szewskiej pasji. Zaczynamy więc od faktów o „Faktach”, wiadomo: bliższa koszula ciału. Historia dzieje się podczas festiwalu protestów rolniczych w 1999 roku. Działacze Samoobrony blokują drogi w całej Polsce, jedna z blokad staje w Zbuczynie. Rolnicy są w bojowych nastrojach, ale stojąc tam, na szosie do Terespolu, raczej się nie spodziewają, że niechcący napiszą kawał historii polskich mediów, jedną z najchętniej powtarzanych anegdot, a przy okazji zaprezentują widzom Tomasza Lisa od strony szerzej nieznannej.

Blokady rolnicze paraliżujące ruch były tego dnia tematem numer jeden we wszystkich mediach. Redakcja „Faktów” TVN wpadła na pomysł, aby pokazać rozmach protestu na świetnie przygotowanej mapie. Plan był genialny w swej prostocie: wybieramy największe blokady, nanosimy je na sieć dróg i gotowe. Proste? Niby tak, ale...

O godzinie osiemnastej czterdzieści pięć Tomasz Lis jak co dzień siada na miejscu prowadzącego „Fakty”. Dźwiękowiec przypina mikrofon i odsłuch. Na monitorze obok redaktor ostatnim rzutem oka sprawdza, czy wszystkie przygotowane materiały są takie, jak być powinny. Najpierw jednak próba mikrofonu. Słyszać?

- Dobra, to ja coś powiem z głowy... - mówi Lis.

Słyszać. A nawet się nagrywa. Nagrywa się pierwszy taki przebój polskiego internetu. Na monitorze pojawiła się właśnie plansza z mapą blokad dróg. Prowadzący patrzy na ekran. Patrzy, patrzy, wyteża wzrok, twarz mu tężeje i nagle... jak nie huknie.

- Lista pryszczy na dupie po prostu! K...! To mają być blokady dróg, k... co to w ogóle jest?! - Plansza najwyraźniej nie przypadła do gustu. - To cały dzień, k... robiliśmy tę planszę, Grzesiu?

Grzesiu to wieloletni wydawca „Faktów”, Grzegorz Jędrzejowski. Monologu słucha w reżyserce.

- Co to jest, k... Zbuczyn?! Gdzie jest, k... napisane, czy to jest droga krajowa, lokalna czy jakaś?! Skąd ci biedni ludzie, k... mają to zrozumieć, bo ja z tego nic nie rozumiem?! Wyp... tę planszę, nie ma, k... tej planszy! Z baranami po prostu nie można pracować! I wyp... mi ten kawałek z białej. Kontaktujesz?! K... po prostu, po prostu... Nie mogę tego, k...! Jeszcze w grafice się zatrudnię komputerowej! - Tu przemowa się urywa.

Jeszcze tylko słówko wyjaśnienia: wspomniana wyżej „biała” to zapowiedź

prezentera. Nazwa pochodzi z zamierzchłych czasów Telewizji Polskiej, kiedy kartki przeznaczone do czytania na żywo przez prowadzącego były w kolorze białym, te dla lektora - w kolorze zielonym, a teksty nagrywane przez dziennikarzy (czyli offy) drukowano na żółto. A może na różowo? Tyle lat minęło, kto by pamiętał...

Właśnie. Tyle lat minęło, widzowie o tym nagraniu (wciąż błakającym się po obrzeżach sieci) w większości już pewnie zapomnieli, chociaż w świecie dziennikarskim stwierdzenie „skąd ci biedni ludzie mają to zrozumieć, bo ja z tego nic nie rozumiem” przeszło do klasyki.

## PORZĄDEK MUSI BYĆ

Mało kto wcześniej znał gwiazdora wtedy TVN, a dziś już wszystkich innych telewizji od takiej strony, jeszcze mniej osób zna kulisy pracy w ówczesnej redakcji „Faktów”. A to dopiero ciekawa historia. Otóż Tomasz Lis wszystko miał zaplanowane co do minuty.

Godzina dziewiąta - spotkanie z wymienionym wyżej Grzesiem, czyli Grzegorzem Jędrzejowskim (jego nazwisko znajdziecie do dziś w napisach końcowych „Faktów”). Spotkanie odbywało się zawsze w magicznym pokoju raz-dwa-trzy, czyli numer 1.23 w pierwszej siedzibie TVN na Augustówce 3. Tam z grubsza ustalany był szpiegel, czyli scenariusz programu - kto i co będzie tego dnia robił oraz w jakiej kolejności materiały pojawią się na antenie.

Godzina dziewiąta trzydzieści - kolegium z reporterami. Własne propozycje dziennikarzy mile widziane, propozycje głupie widziane wyjątkowo niemiłe. Niektórzy za karę przygotowywali później materiały o psich kupach, inni cały dzień pracowali nad czymś, co redaktor z premedytacją wyrzucał do kosza tuż przed emisją programu.

Godzina dziesiąta - śniadanie w bufecie na dole. Po śniadaniu zaczyna się dzień pracy weryfikujący czasem poranne zamierzenia. Reporterzy ruszają w teren, a prowadzący do pokoju 1.23 nadzorować starania. Jak się do kogoś przyczepił - nie było przebaczenia. Paweł Płuska przygotowywał raz materiał o lewicy - to było jakoś tak w końcówce rządów Sojuszu Lewicy Demokratycznej, niedługo też przed końcówką rządów Lisa w „Faktach”. Szef czy to chciał reporterowi wejść na ambit, czy też może po prostu dbał o najwyższy poziom prezentowanych materiałów, w każdym razie zażyczył sobie setki prezydenta. Nie chodziło oczywiście o to, aby z Aleksandrem Kwaśniewskim dziabnąć po maluchu. Trzeba było nagrać jego komentarz. „Setka” w slangu dziennikarzy telewizyjnych oznacza po prostu czyjaś wypowiedź, pochodzi od określenia „dźwięk sto procent”, czyli sama wypowiedź nieprzykrywana komentarzem z offu. Szef zarządził, ale jest pewien kłopot. Pan prezydent tego dnia nie organizuje żadnej konferencji, nie wyjeżdża w teren na spotkania z narodem, pracuje sobie spokojnie w pałacu. Co robić? Do wielu polityków można zadzwonić i poprosić o wypowiedź - zwykle nie odmówią - ale do prezydenta niestety nie. Prośba o nagranie zostawiona w biurze prasowym raczej nie przyniesie skutku. Z kim jak z kim, ale z prezydentem na wywiad umówić się trzeba dużo wcześniej. Czas leci, prowadzący co jakiś czas dopytuje, czy Kwaśniewski już nagrany, a kolega Płuska w coraz większych nerwach. Mija czternasta, piętnasta, szesnasta, siedemnasta. Nawet jeżeli prezydent się zgodzi, to

z nagrania już nici. Redaktor w końcu musi przekazać tę wiadomość szefowi, który po rytualnym pohukiwaniu okraszonym wdeptywaniem

w podłogę, walcowaniem i publicznym przeciąganiem odpuszcza. Wystarczy. Pokazał miejsce w szeregu - tak na wszelki wypadek, gdyby komukolwiek przez głowę przeszła myśl kwestionowania autorytetu szefa.

Wróćmy jednak do rozkładu dnia. Punktualnie o trzeciej po południu Lis zaczyna pisanie zapowiedzi materiałów. A co będzie, jeśli sam materiał wygląda nieco inaczej niż zapowiadająca go biała? No cóż. Co prawda biała ma dwadzieścia pięć sekund, a materiał - dwie i pół minuty i w razie zmian trzeba go przemontować, ale oczywiście zmieniać będziemy relację, a nie zapowiedź. To jasne jak słońce. Od trzeciej ciśnienie w redakcji powoli się więc podnosi. O szóstej prowadzący schodzi do charakteryzatorni, piętnaście minut później siada w studiu. Przegląd materiałów, Zbuczyn, zaczyna się nakręcanie siebie i podkręcanie innych. Za kwadrans siódma zjawia się dźwiękowiec i podpiną mikrofon oraz odsłuch. Teraz już nawet trudno się ruszyć.

- Grzegorz, teraz ty trzymasz za jaja! - Słyszysz wydawca.

- Trzy, dwa, jeden, jesteś.

- Tomasz Lis, „Fakty”, witam państwa.

Szef był ostry, co potwierdzą też dziennikarze pracujący z nim później w Polsacie, ale wiedział, czego chce. Dziennik musiał mieć *flow*, czyli kolejne materiały jakoś tam się ze sobą zazębiały, tworząc opowieść o mijającym dniu. Miało to oczywiście dobre strony, ale także jedną złą. Wystarczyło, aby jeden fragment wypadł, a cała konstrukcja się waliła. Tak oberwał John Glenn, najstarszy amerykański astronauta, który 29 października 1998 roku poleciał w kosmos w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat.

Program był ułożony pod niego, co nikogo nie dziwiło, ponieważ Tomasz Lis kochał wydarzenia amerykańskie. No ale nie samą Ameryką Polska stoi, więc w „Faktach” były też inne fakty, lokalne. Zbliża się dziewiętnasta. Lis już podpięty, znów ogląda efekty pracy reporterów i znów nie wiedząc o tym, staje się gwiazdą kolejnego przeboju rączkującego internetu. Jeden z materiałów się spóźnia. Przygotowująca go reporterka nie zdąży zmontować relacji i ta nie wejdzie już do programu. Katastrofa wielkości *Challenger*a. Cały *flow* się załamał. Prowadzący znów daje upust energii, sytuację opisując: „No i wyp... nam w kosmos dziennik, razem z pier... Johnem Glennem!”. Druga część stwierdzenia po latach odleciała w przestrzeń zapomnienia, pierwsza trafiła do wielkiej księgi dziennikarskich złotych myśli i jako cytat z klasyka w podobnych sytuacjach używana jest do dziś. Zresztą Lis w „Faktach” został do dziś. Właściwie to Lis pisany małą literą. Wypchane, szczerzące kły

bydlę. Stoi sobie nieco przykurzone na szafie i nadal z wysokości dogląda pracy reporterów,  
jak gdyby groziło: pamiętajcie o Zbuczynie!



## CIEMNOŚĆ WIDZĘ

A potem nastał rok 2006. Dwa lata po tym jak Lis stracił pracę w „Faktach”, stery flagowego okrętu TVN przejął nowy kapitan, Kamil Durczok. Przyszedł długi majowy weekend i długo oczekiwany debiut na antenie.

Pierwszy dzień pracy w nowym miejscu człowiek zwykle pamięta długo, zwłaszcza gdy człowiekiem jest telewizyjna gwiazda, a nowym miejscem pracy - czołowy program informacyjny. Jak więc możecie się domyślać, redaktor Durczok doskonale pamięta pierwszy dzień pracy w TVN. Dziennik wyszedł pierwsza klasa: z przytupem, śmigłowcem, żywy i barwny. Ale dzień drugi? Ten zwykle umyka gdzieś w natłoku wydarzeń. Zwykle, bo w przypadku redaktora naczelnego „Faktów” nie dość, że nie umknął, to jeszcze w pamięci naszego bohatera przyćmił nieco dzień pierwszy.

Był 2 maja 2006 roku. Po pierwszym wydaniu z nowym prowadzącym można było otwierać szampany, po wydaniu drugim należało raczej sięgnąć po coś mocniejszego, aby ukoić nerwy. Dzień się zaczął normalnie. Wszystko było poukładane i szło jak z płatka. Nie mogło być inaczej, w końcu pół Polski (w tym cała konkurencja) o godzinie dziewiętnastej będzie obserwować, jak tam nowemu prowadzącemu pójdzie. Ten już wszedł do studia, usiadł za biurkiem, podpiął mikrofony i czeka na czołówkę programu. W reżyserce nad wszystkim czuwa nieoceniony Grzegorz Jędrzejowski - ten sam, który latami współpracował z Tomaszem Lisem, trzymał za jaja, przeżył Zbuczyn i Johna Glenna, czyli nic nie powinno go zaskoczyć. A jednak. Pięć minut przed anteną odzywa się do redaktora prowadzącego:

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć... ale wszystko siadło. Nic nie mamy. Padł serwer emisyjny. Pracujemy nad tym.

„No pięknie - myśli sobie Durczok. - W drugim dniu mojej pracy w TVN pierwszy raz w swojej historii »Fakty« nie ukażą się na antenie... Cudnie”.

- Pracujemy nad tym, wciąż pracujemy - zapewnia w słuchawce głos wydawcy, a zegar pokazuje osiemną pięćdziesiąt dziewięć. - Już za chwilę coś chyba powinniśmy puścić.

„Jasne - myśli dalej prowadzący. - Już widzę komentarze życzliwych widzów. Durczok przyszedł do TVN i od razu zamknął biznes”.

- Słuchaj, jest sukces! Podnieśliśmy czwórkę - kilka sekund przed siódmą mówi Jędrzejowski. - Startujemy i jakoś to będzie!

Z małym opóźnieniem zaczyna się program. Od materiału zaplanowanego na pozycji

czwartej. Potem leci ten, co miał być trzeci. Serwer emisyjny odzyskuje życie, a maskowana make-upem twarz prowadzącego - kolor. Udaje się w końcu też wyemitować relację, która miała otwierać „Fakty”. Nie dało się jednak wypuścić wszystkiego. Spóźniony i skrócony program dociera w końcu do mety. Lecą napisy końcowe, leci pot z czoła, w te kilkanaście minut drugiego maja poleciał też jakiś dodatkowy rok z życia Kamila Durczoka.

## RURKU!

Ja wiem, na jaką opowieść z życia „Faktów” wszyscy tu czekają. Na początek jednak proste pytanie. Kto jest najbardziej znanym (a już na pewno najbardziej lubianym) pracownikiem TVN? Kuba Wojewódzki? Kamil Durczok? Monika Olejnik? Może duet Dorota Wellman - Marcin Prokop? Może. Ale jednak nie. Najbardziej znany i lubiany jest Rurek. Nie słyszeliście o nim?! Niemożliwe! Rurek swoją nieoczekiwaną karierę zawdzięcza słynnemu nagraniu ze studia „Faktów”, które wypłynęło w 2009 roku i dotyczyło kwestii czystości studia, a w szczególności - stanu, w jakim prowadzący zastał swój stół. Ponieważ obrosło ono dziesiątkami przeróbek oraz dyskusji, czy ów stół był uje... czy też może jednak upier... poniżej zapis całości. Oto Kamil Durczok z podpiętym i włączonym mikrofonem siada za stołem prezenterem.

- Rurku...

-... - Rurek coś odpowiada, ale na nagraniu tego nie ma, chociaż łatwo sobie dopowiedzieć.

- To dobrze, że mnie słuchasz. Kto odpowiada za to, jak tu wygląda w tym studiu?

-...

- Taaa. Nie wk... mnie, dobrze? Od dwóch dni jest tak upier... stół tutaj, że tylko dlatego, że zlikwidowaliśmy ten je... przerywnik, który jedzie z góry, to jeszcze się to jakoś, k... uchowało i ludzie tego nie widzą. Może by ktoś ruszył dupsko po prostu i to wyczyścić?!

-...

- A jak tu będzie gównem leżało na stole, to je też pokażesz, czy będziesz protestował?!

-...

- Rurku, to nie jest „coś wymyślisz”, dobra? Trzeba po prostu powiedzieć Wolanowi [chodzi o szefa realizatorów - przyp. MM], że ma załatwić tak, żeby tu, k... się ktoś pojawił i to wyczyścić. Albo jakimkolwiek facetowi, który się poczuwa do minimum odpowiedzialności, co pokazujemy czterem milionom ludzi przed telewizorem. Uje... farbą czy nie wiem czym?!

I tu nagranie się kończy, a zaczyna kariera Rurka. Kamil Durczok niemal na każdym spotkaniu z młodszymi widzami jest pytany o swojego rozmówcę ze studia, ba - sam kilka razy musiałem odpowiadać studentom na takie pytania. O skali popularności Rurka zespół redakcyjny przekonał się podczas Euro 2012, kiedy realizowano plenerowe „Fakty” przed stadionem w Gdańsku. Prowadzący stał na przygotowanym rusztowaniu, za sobą mając stadion,

a przed sobą - widok na tłumy kibiców wychodzące z kolejki i zmierzające na mecz. „O, Rurek na scenie!” - rzucała każda kolejna nadciągająca grupa. „Pozdrowienia dla Rurka!” - to obowiązkowe uzupełnienie ewentualnie zamieniane na: „A gdzie jest Rurek?”. No właśnie. Gdzie jest Rurek? Uwaga, kurtyna w górę. Kim jest Rurek? Proszę bardzo. Nazywa się Artur Rurarz i oczywiście jest realizatorem pracującym przy „Faktach”. Najślynniejszym realizatorem w Polsce, chociaż pewnie nie wszyscy jego fani do dziś wiedzieli, komu właściwie kibicują.

## MUCHA NIE SIADA

No dobrze. Dosyć o „Faktach”, bo się koledzy z konkurencji obrażą, że ich wysiłków nikt nie docenia. Docenia, a i owszem. Docenić można to, że przez kilka lat z rządu, gdy „Fakty” wprowadzały jakiś element - na przykład kończenie programu deserem w postaci lżejszego felietonu lub prezentacje na ścianie monitorów - wkrótce potem te rozwiązania pojawiły się też na antenie „Wiadomości”. Docenić można belki z podpisami jakby żywcem wyjęte z oprawy TVN24, docenić też można oryginalne ozdobniki ekranowe. Gdy w południowym wydaniu podczas Euro 2012 zagościła relacja z remisowego spotkania Polska-Rosja, widzowie mogli podziwiać dwie flagi: Polski oraz Związku Radzieckiego. Najbardziej widowiskowego samobója strzelił jednak sam Piotr Kraśko, zapowiadając w marcu 2010 roku relację o serii trzęsień ziemi.

- Najpierw ponad dwieście trzydzieści tysięcy ofiar pochłonęło trzęsienie ziemi na Haiti, potem było Chile, Tajwan i teraz Turcja. W ciągu minuty... - I tu prowadzący lekko się zaciął, chociaż głowy nie stracił. - W ciągu minuty zginęło tam ponad sześćdziesiąt osób. To było już czwarte tak silne trzęsienie ziemi w tym roku.

Ta oryginalna zapowiedź wstrząsnęła internetem, ale „Wiadomościami” - nie. I nic dziwnego, kamienna twarz bez względu na okoliczności to już taka redakcyjna tradycja.

Przez lata gwiazdą „Wiadomości” była laureatka licznych Telekamer i Wiktora, Jolanta Pieńkowska. Pewnego razu, podając poważną wiadomość z życia koalicji lub też opozycji (sporo czasu już minęło, pamięć nie ta), została zaatakowana przez natrętną muchę.

- Leszek Miller zapowiedział, że... - I w tym momencie na nosie prezenterki usiadła czarna mucha, ale jeżeli w swoim owadzim rozumku liczyła na wprowadzenie zamieszania, to się przeliczyła. Jolancie Pieńkowskiej nie mrugnęła nawet powieka i kontynuowała. - Sojusz Lewicy Demokratycznej wystąpi w sejmie z propozycją podwyższenia zasiłku przedemerytalnego do dziewięćdziesięciu procent wymiaru emerytury.

Zapowiedź skończona, mucha odleciała. I tylko nazajutrz wredni redaktorzy tabloidów rozebrali ten występ na poszczególne klatki, pękając zapewne ze śmiechu. A z czego tu się śmiać? Misja publiczna to bardzo poważna sprawa.

## BO TO ZŁE SZYNY BYŁY

Zostawmy prezenterów i wyjdźmy w teren. W porównaniu z w miarę bezpiecznym studiem telewizyjnym praca w terenie to dopiero pole minowe. Zwłaszcza praca w telewizji informacyjnej, gdzie podstawą są wejścia na żywo. Zawsze na miejscu, zawsze na czas. Reporter relacjonuje dynamicznie zmieniające się wydarzenia, na antenie jest ogień, zadowoleni widzowie nie mogą się oderwać od telewizorów. To ideał, ale niestety nie zawsze osiągalny. Bo co zrobić, gdy reporter musi co pół godziny nadawać relacje do kolejnych serwisów informacyjnych, ale niestety nie ma żadnych nowych informacji? To proste. Mówi się na okrągło to samo, tylko za każdym razem innymi słowami. Trzeba tylko pamiętać, że nie wolno użyć sformułowania: „Jak już wcześniej mówiłem”. Widzowie od razu sobie dopowiedzą: „Redaktorku, skoro wcześniej już mówiłeś, to po co się powtarzasz?”.

Pewna reporterka z ośrodka terenowego TVP najwyraźniej nie знаła tych zasad. Wysłano ją na stację, gdzie wykoleił się pociąg towarowy. W sumie nic się nie stało, ot - trzeba będzie postawić wagon z powrotem na szyny i jedziemy dalej. No więc jedziemy. Studio łączy się z reporterką raz, drugi, trzeci. O czym tu mówić, skoro nic więcej się nie dzieje? No właśnie.

- Jakie są prawdopodobne przyczyny tego wykolejenia? - pyta ze studia prezenterka w kolejnym łączaniu.

- Najprawdopodobniej albo szyny, które nie były... Nie są równe, albo po prostu no... Tak jak mówiłam we wcześniejszym wejściu... Eee... Szyny... Szyny były złe... A podwozie... Podwozie... - Reporterka ma już dość. Ewidentnie. Czas kończyć. - Podwozie... Podwozie też było złe!

W reżyserce rozległ się taki rechot, że słycać go nawet na antenie, ale prezenterka nie traci głowy.

- Dziękuję... Czyli przyczyny techniczne najprawdopodobniej spowodowały to wykolejenie.

Najprawdopodobniej tak. Najprawdopodobniej było to też jedno z najgorszych wejść na żywo w historii telewizji, chociaż pewien reporter Polsatu News również wysoko zawiesił poprzeczkę. Nadawał z sejmu, akurat gdy któraś z kolejnych komisji śledczych (zapewne ta najbardziej żalosna, czyli do spraw nacisków na służby) przesłuchiwała Andrzeja Leppera. Przesłuchanie się skończyło, do wieczornego serwisu zaplanowano live z sejmu, a młody dziennikarz ma po prostu opowiedzieć, co tam przewodniczący zeznał. „Uwaga, łączenie,

jesteś”. Pada ustalone pytanie, ale reporterowi od początku wyraźnie nie idzie. Słowa nie chcą się kleić, a obiektyw kamery świdruje biedaka szklanym okiem niczym surowy profesor na egzaminie męczący kompletnie zielonego studenta. Nasz student się miota, coś tam z siebie próbuje wyrzucić, ale nic z tego. W głowie pustka, czarna dziura. Nic już nie pamięta. Co więc robi? Uprzejmie przeprasza, dziękuje, odkłada mikrofon i ku bezbrzeżnemu zdumieniu redaktor prowadzącej wychodzi z kadru. I już.

## SIWY BIAŁY DYM

W tym momencie każdy czytelnik zapyta: „Panie Mazur, a pan to od początku pewnie byłeś genialny, co?”. Otóż nie. Też mam podobną wpadkę i to przy jakiej okazji! Przy wyborze papieża! Tak się złożyło, że zanim zająłem się działką felietonową, byłem normalnym reporterem newsowym w TVN24. Pierwszą połowę 2005 roku w dużej części spędziłem w Rzymie, latając tam za każdym razem, gdy pogarszał się stan zdrowia Jana Pawła II. Menu lokali w pobliżu kliniki Gemelli do dziś znam na pamięć. Byłem w Rzymie na pogrzebie, byłem podczas konklawe. Pod koniec wpadłem już w reporterską rutynę, która oczywiście bywa zgubna.

Oto siedzę sobie przy wozach transmisyjnych zaparkowanych przed Zamkiem Anioła, jakieś pół kilometra od placu Świętego Piotra. Tam, w Kaplicy Sykstyńskiej, trwa konklawe, a tu, w parku telewizyjnym, trwa oczekiwanie. Piję sobie colę, rozmawiam z kolegami. Nagle alarm. Biały dym! Jak dym, to dym. Rzucam colę, pytam producenta:

- Co robić?

- Leć na plac Świętego Piotra, połączymy się z tobą telefonicznie.

Lecę. Z bocznych uliczek wali coraz większy i coraz bardziej rozentuzjasmowany tłum, przyspieszam więc kroku, a wręcz biegnę. Dobiegam już do placu, dzwoni telefon. Bez zbędnej zwłoki łączą na żywo z prowadzącym. Pytanie najprostsze z możliwych:

- Co się dzieje na placu Świętego Piotra?

W biegu więc opowiadam, co widzę. Że leci podekscytowany tłum, że biją dzwony, że ludzie krzyczą, klaszczą, biegną, pędzą... Ja też pędzę i tak się już zapędziłem, że zapomniałem o oddechu. Łapiąc nerwowo powietrze, zatchnąłem się. Na antenie zapadła krótka cisza. W takim momencie! Odzyskuję oddech, ale nie odzyskuję wątku. Co ja właściwie mam jeszcze dodać do tego sapania? Wszystko już powiedziałem w tym pędzie, a kto jest nowym papieżem, wie tylko Duch Święty i kardynałowie wychodzący z kaplicy. Cisza się przedłuża do kilku sekund.

- Halo, Maćku? - Słuchać prowadzącego.

- Halo, halo? - odpowiadam rezolutnie, wciąż łapiąc oddech i wenę.

- Maciek Mazur, plac Świętego Piotra, słyszemy się?

- Haaalo? - Oj, chyba mnie akurat Duch chwilowo opuścił. W głowie czarna rozpacz na widok białego dymu, w płucach to dopiero zadyma. W takiej chwili!

- Chyba mamy problemy techniczne, spójrzmy więc na zdjęcia na żywo z placu -



Kończy moją rolę w tym historycznym momencie prowadzący.

No i co? Kto mnie przebije? Ktoś na pewno. Może podczas kolejnego konklawe?  
Różne są przecież koleje reporterskiego losu - zwłaszcza gdy trafia na złe szyny.

## PAN PREMIER BYŁ CHORY

Tak jest, pan premier był chory. Nawet bardzo. Zresztą znajdźcie mi takiego, co przeżyje katastrofę śmigłowca i następnego dnia zatańczy na weselu. Nie dokona tego nawet wzór wszystkich twardzieli, Leszek Miller, który w grudniu 2003 roku taką katastrofę pod Warszawą przeżył. Z wypadku wyszedł z połamanymi żebrami, które leczył w klinice MSWiA na ulicy Wołoskiej w Warszawie. Szpital to wielki kompleks, przed nim płot, stróżówka, szlaban i przystanek tramwajowy. Między płotem a przystankiem zaimprovizowany parking wozów transmisyjnych. Rzadko w końcu zdarza się, aby premier jakiegokolwiek rządu przeżywał takie przygody. Katastrofa miała miejsce wieczorem, od rana stan zdrowia Leszka Millera będzie więc wiadomością dnia.

W „Poranku TVN24” wiadomości ze szpitala przekazuje na żywo Paweł Płuska. Program prowadzi Anita Werner. Czasy są pionierskie, więc reporter słyszy prowadzącą nie (tak jak dziś) dzięki odsłuchowi z wozu transmisyjnego, o nie. Technologia była znacznie prostsza. Do studia dźwięk biegnie z mikrofonu przez wóz satelitarny. Łączność zwrotną zapewnia zwykły telefon komórkowy - kultowa dziś Nokia 6310. Złota z niebieskim wyświetlaczem. Redaktor trzyma ją w tylnej kieszeni. Kabelek dyskretnie poprowadzony na plecach dociera do słuchawki w uchu. Widz tego nie dostrzeże, co jest oczywistą zaletą tego prostego rozwiązania, ale niestety - istnieje również niebezpieczeństwo, że sam redaktor również nie spostrzeże, gdy mu się na przykład kabelek słuchawkowy z telefonu wypnie. Przed serwisem reporter z prowadzącą dogadali się, że będą dwa pytania - o stan zdrowia premiera i jego dalszy plan pracy. Za niecałe pół roku wchodzimy do Unii, trwa więc bardzo gorący okres polityczny.

Pytania ustalone, odpowiedzi proste - wszystko gra? Guzik prawda. Redaktor jeszcze tego nie wie, bo nie widzi, ale kabel słuchawkowy bez rozgłosu wypiął się z telefonu. Na antenie leci już czołówka porannego serwisu informacyjnego, niestety - Paweł Płuska jej nie słyszy. Nic nie słyszy. Nie ma więc pojęcia, że Anita Werner właśnie zapowiada łączenie ze szpitalem MSWiA. Nie wie też, że tak zgrabnie machinalnie kiwał głową podczas zapowiedzi, że wyglądało, jakby wszystko rozumiał... Nie wie wreszcie, że gdy tego wszystkiego nie wie, to raczej nie powinien podśpiewywać sobie na ludową nutę: „Tirli, tirli, tiiirliii”...

Prowadząca też oczywiście nie wie, że reporter jej nie słyszy. Zadaje więc ustalone pytania.

- Przed kliniką jest Paweł Płuska. Wczoraj dramatyczny wypadek i mnóstwo pytań, dziś zacznijmy więc od tego najważniejszego: Pawle, jak stan zdrowia premiera?

- Tirli, tirli, tirli. Tirli, tirli, tiiirliiii...

## DROBNY ELEMENT CHRAPANIA

W poszukiwaniu nieco innych tonów nastawmy radio. Tu też praca na żywo to podstawa dynamicznego serwisu - zwłaszcza gdy stacja wyznacza dziennikarskie trendy. Taką stacją było i jest RMF FM.

Przez ponad piętnaście lat radio miało w Zakopanem oddział mieszczący się w Bacówce FM, czyli góralskiej chacie pod skocznia. Swoją karierę rozpoczynał tam Jakub Sobieniowski, dziś reporter polityczny „Faktów” TVN, kilkanaście lat temu - dziennikarz przygotowujący lokalne serwisy i informacje dla kierowców. To było jeszcze w czasach, gdy RMF FM mogło rozszerzać swój program i antenę przejmowały ośrodki lokalne. Właściciel Bacówki FM wychodził z założenia, że pańskie oko konia tuczy, i często sam doglądał swoich włości, przebywając siłą rzeczy w studiu. Tak było i tego dnia.

Blady świt, dyżurujący redaktor Sobieniowski przygotowuje pierwszą porcję lokalnych wiadomości i trafik, czyli informacje dla kierowców. Właściciel jest - jak mawiają fachowcy od ochrony - na obiekcie, siedzi sobie w studiu. Zbliża się godzina szósta dwadzieścia sześć, RMF rozszywa sygnał. Zakopane wchodzi na antenę. Gość w studiu przysypia. Zaczyna się trafik. Gość zaczyna chrapać. Redaktor podnosi nieco głos. Gość również. Mija dwadzieścia sekund, korek na zakopiance stoi, a w studiu trwa walka. Kto głośniej? Gość chrapie. Redaktor nadaje. Gość chrapie. Redaktor nadaje, choć głos zaczyna mu się łamać. Kierowcy na zakopiance mają niezły ubaw. W czterdziestej sekundzie gość chrapanął tak, że redaktor nie daje rady. Odpuszcza. Nie przekrzyczy. Pozostaje tylko jakoś z tego wybrnąć:

- Szanowni Państwo, to brzmi lepiej niż silnik Lamborghini!

\*\*\*

Skoro już osiągnęliśmy odpowiednie obroty, czas dodać gazu. Z piskiem opon ruszamy w kierunku ulicy Wiejskiej. W następnym odcinku dojedziemy do sejmu. Tam to dopiero będzie się działo.

## WIEJSKA ZABAWA

Gdyby prezydent Bronisław Komorowski szukał zawodu, którego przedstawiciele dzielą jego pasję łowiecką, to w ciemno może obstawiać dziennikarzy sejmowych. Ci całe dni spędzają na polowaniu na grubego zwierzaka, czyli na własny news. Metoda jest podobna do myśliwskiej. Najpierw są podchody, potem godziny czekania, a na końcu - jeden szybki strzał. Czasem trafi się grubego zwierzaka, czasem zwykłego szaraka. No i okolica też nieco podobna. Wiejska.

## POLOWANIE Z NAGONKĄ

Wśród politycznej zwierzyny są szczwane lisy, które sprytnie lawirują, są twardzi drapieżnicy, którzy nie czekając na strzał, sami atakują, są też całkowicie bezbronne misiaczki. Od nich zaczniemy. To posłowie, którzy poruszają się chwiejnym krokiem, mowę mają niezrozumiałą, a wzrok podobny do misia koala. I nie chodzi oczywiście o nocne czatowanie na zawianego parlamentarzystę wracającego z miasta. Nie. Te łowy rozgrywane są za dnia i to takiego dnia, w którym obraduje sejm, czyli - mówiąc wprost - w godzinach pracy posłów. Wybrałem trzy piękne strzały, gdy - cytując wspomnianego na początku klasyka - idziemy na długie polowanie.

Najsłynniejszym celem sejmowego polowania był Kruk. Była Kruk. Też zresztą pod ścisłą ochroną w swoim mateczniku, ale całkowicie bezbronna poza nim. Elżbieta Kruk, posłanka Prawa i Sprawiedliwości, w 2008 roku padła ofiarą stadnych łowów i to z nagonką.

Rano w dniu posiedzenia panią poseł wystawili na strzał mili koledzy, dając do zrozumienia dziennikarzom, że przyszła do pracy w stanie wskazującym. Reporterzy zaczęli więc w kuluarach, aż Elżbieta Kruk wyjdzie z sali plenarnej, po czym Beata Lubecka z Polsatu wypaliła:

- Słyszeliśmy, że pani jest w stanie wskazującym. To prawda czy ktoś panią pomawia?

- W związku z tym, że co? Że na przykład miałam urodziny dwa dni temu? - z lekkim opóźnieniem, mocno przeciągając sylaby, odparła Kruk.

- No, na przykład.

- A mogłabym się zapytać państwa na przykład, skąd zainteresowanie moją osobą?

- No bo chyba jest pani w godzinach pracy. A w godzinach pracy trzeba być w stuprocentowej formie. Tak mi się wydaje. - Lubecka nie odpuszcza, a pani poseł wciąż z przyklejonym uśmiechem trwa na korytarzowym posterunku.

- A myśli pani, że ja nie jestem w formie?

- Jak z panią rozmawiam, to chyba jednak nie.

I tu nastąpił dosyć kompromitujący ciąg dalszy, w którym padło słynne, nagrodzone Srebrnymi Ustami zdanie:

- Potrafię pracować dobrze, potrafię coś tam, coś tam...

Po czym - widząc, że zanosi się na katastrofę - na ratunek otoczonej pani poseł przyszyły klubowe koleżanki. Niestety, nie wybrały najmądrzej miejsca, do którego zmęczoną Elżbietę Kruk odprowadziły. Zamiast do pokoju hotelowego poszły do restauracji.

Teraz krótka dygresja. Sejmowa restauracja „Hawełka” to coś jak rezerwat przyrody. Tam się nie strzela. Tam opozycja zjada obiad w towarzystwie koalicji, tam obowiązują inne zasady, tam też dziennikarze muszą odłożyć służbową broń. Mikrofony pod stół, pół porcji kapuśniaku (porcje mają tam ogromne i wszyscy biorą pół) na blat. Niepisane prawo stanowi, że w „Hawełce” się nie nagrywa. W środku nie - ale przecież każdy myśliwy wie, że zwierzyna z rezerwatu w końcu wyjdzie na strzał.

Sytuacja zrobiła się patowa. W stołówce siedzi Kruk i pije kolejne kawy, a całe stado sępów czeka przed wejściem, murując przeszklone drzwi. Obie strony doskonale się widzą. Głodem, co prawda, zamkniętej w knajpcie pani poseł dziennikarze nie wezmą, ale już zmęczeniem - owszem. Wiadomo, że z formą u niej dziś raczej kiepsko. Tłum przed wejściem gęstnieje, przypomina to nerwowe oczekiwanie gimnazjalistek na wyjście z hotelu Justina Biebera. Tyle że to nie gimnazjalistki, tylko stadnie polujące drapieżniki, które poczuły krew. Ucieczka w takiej sytuacji udała się tylko jednej osobie, ale za to był nią sam pan premier. W 1992 roku dziennikarze namierzyli Jana Olszewskiego spożywającego posiłek w „Hawełce”. Premier był (jak zwykle) w jakichś opałach i wszyscy chcieli zdobyć jego komentarz. Prawo neutralności stołówki wówczas też obowiązywało, reporterzy czekali więc przed wejściem. A premier Olszewski - jako stary opozycjonista - wykorzystał prosty trick, dzięki któremu nieraz pewnie zniknął z oczu śledzącym go służbom. Zagadał z kelnerem i wyprowadzili go kuchnią. Proste? Proste. Ale Elżbiecie Kruk to się nie uda. Przez szybę czuje wymierzone w siebie obiektywy kamer i aparatów. Gdyby zdecydowała się wiać drzwiami kuchennymi, kompromitacja byłaby dożywotnia.

Czas więc stawić czoła prześladowcom. W końcu po dwóch godzinach spędzonych w stołówce pani poseł flankowana przez klubowych kolegów i koleżanki wychodzi. Niczym posmarowany miodem misio w roju wściekłych os przeciska się kuluarami w stronę wyjścia. Wygląda to żenująco i gdy tak po latach przypomina się ten trwający dobrych kilka minut przemarsz w gradobicie pytań, Elżbieta Kruk budzi nawet litość. Prym wśród atakujących reporterów wiedzie Mateusz Hładki, który - o ile dobrze pamiętam - przez całą drogę korytarzem próbuje namówić panią poseł, aby się przebadła alkometrem. Chyba nawet ówczesna redakcja macierzysta, czyli „Teraz my!”, wyposażyła go w odpowiedni sprzęt. Ale teraz jednak nie on. Teraz już pani poseł wraz z asystą doszła do sejmowego hallu i głównych drzwi. Tu pogoń się skończy, bo dziennikarze nie używają głównego wejścia do sejmu i wchodzi tym dla interesantów. W tym samym miejscu skończyła się też późniejsza bardzo podobna pogoń za będącym nie w formie Ludwikiem Dornem.

Strzał drugi, plenerowy. Październik 2010 roku. Paweł Płuska z TVN czeka z ekipą na

umówionego rozmówcę przed wejściem do Nowego Domu Poselskiego. Tam jest spore podwórko dzielone z Państwową Komisją Wyborczą i Kancelarią Prezydenta. Co chwila więc podjeżdżają samochody z pracownikami którejs z państwowych instytucji. Gdy redaktor tak czeka i rozgląda się, zabijając czas, jego uwagę zwraca pewien chwiejący się jegomość wyraźnie przytrzymujący się kolejnych mijanych aut. Ciekawe, kto to? Czyżby zawiany poseł w godzinach pracy? W dodatku o dosyć wczesnych godzinach...

- Coś wieje dzisiaj strasznie - zagaduje Płuska.

- Przechana pod ziedwa. - Słyszysz w odpowiedzi.

- Jeszcze raz? Bo nie zrozumiałem...

-...

- Panie pośle, a może mi się pan przedstawić?

- Tak, Andrzej Pałys. - To akurat wyszło najmniej bełkotliwie. O przynależności politycznej świadczy koniczynka w klapie. Redaktor postanawia więc dopytać.

- Coś się stało, pan się źle czuje?

- Nie... Ja się żźźle nie czuję!

- Aha. A pan już nie uczestniczy w obradach dzisiaj?

- Nieee... Wystarczy dowiedzieć się, już się dobrze czuję. - Tu akurat sensu trzeba się było domyślać, ale na domysły czas się skończył, bo oto podjechał wielki srebrny pick-up. Pan poseł wstał, otworzył tylne drzwi i wsiadł.

- Halo, to nie jest twój samochód! - Kierowca wyraźnie się zdziwił, widząc nagle na tylnej kanapie Pałysa.

- Nie znacie tego pana? - pyta Płuska.

- No, nie znamy, wpakował nam się do samochodu. Raz, raz. Wysiadaj stąd!

Ale poseł wysiadać ani myśli. Wyciągnął go dopiero koledzy klubowi. Zawiozł do domu, poseł odpocznie, obejrzy „Fakty” TVN, które całą sytuację pokażą. A potem pomyśli: „A po co mi te stresy?”. I słusznie! Opuści sobie start w kolejnych wyborach parlamentarnych, a w uznaniu zasług i kompetencji zostanie prezesem Funduszu Ochrony Środowiska w Kielcach.

I tu ktoś mógłby zadać proste pytanie: „A czemu ci posłowie tak pchają się między ludzi, zamiast poleżeć sobie w hotelu sejmowym, dojsć do siebie, odsapnąć, odświeżyć się i wyjść?”. No cóż. Pewnie pamiętają posła Firaka, który właśnie takim zejściem z oczu dopiero napytał sobie biedy. I to takiej, że złośliwi dziennikarze ukuli nawet hasło: „cztery razy sto bez popitki, czyli memoriał posła Firaka”. Brzmi jak lekkoatletyka, ale to było raczej wydarzenie wagi ciężkiej. Strzał numer trzy.



Styczeń 2002. Rządzi koalicja Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Unii Pracy i Polskiego Stronnictwa Ludowego z Leszkiem Millerem na czele. W opozycji Platforma Obywatelska, Prawo i Sprawiedliwość, Liga Polskich Rodzin i Samoobrona. Wysoka Izba zabiera się za uchylenie immunitetu Andrzejowi Lepperowi. Wniosek przedstawi poseł sprawozdawca komisji regulaminowej Witold Firak z Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Ale posła na sali obrad nie ma. Konsternacja. Nie ma posła sprawozdawcy, nie będzie dziś głosowania. Marszałek Marek Borowski zastanawia się, gdzie jest poseł, gdy go nie ma tam, gdzie powinien być. Przerwa. Zarządzone zostają poszukiwania zaginionego sprawozdawcy. Wówczas jeszcze dziennikarze mają wstęp do hotelu sejmowego. Kilka lat później Kancelaria sejmu ten dostęp ukróci w słusznej obawie o ciszę i spokój wybrańców narodu. Bo posła Firaka nakryto właśnie w pokoju hotelowym. Siedział tam sobie biedak, myśląc, że jest już po robocie i może chlapnąć coś mocniejszego do obiadu. Być może zjadł za mało i go zmorzyło. Niestety, w pokoju odnalazł go też sam marszałek sejmu. Marek Borowski - oględnie mówiąc - nie był zbyt zadowolony, zdając później dziennikarzom obszerną relację z tej wizyty. Poseł Firak też nie, bo swój występ - a raczej jego brak - przypłacił wyrzuceniem z klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Zdarzenie odbiło się też chyba czkawką, gdy prawie dziesięć lat później próbował ponownie dostać się do sejmu. Zapisał się za to dwukrotnie w wielkiej księdze ekscesów z Wiejskiej. Pierwszy wpis to przywołany już „memoriał Firaka”. Wpisem drugim upamiętnili go koledzy, którzy przez jakiś czas w sejmowej restauracji, zamawiając pięćdziesiątkę, prosili o „Firakołka”. Czyli jednak ten memoriał rozgrywany był na krótszym dystansie.

## PALI SIĘ

Jak przygoda, to tylko w Warszawie, a jak zabawa, to tylko na Wiejskiej. Dziś w sejmie i okolicach jest już bardzo grzecznie i każdy lekko chwiejący się poseł od razu trafia na medialnych łowczych, ale kiedyś - oj, panie dzieju... Kiedyś, gdy komórki jeszcze nie służyły do robienia zdjęć, a i o portalach plotkarskich nikt nie słyszał, wystarczyło zręcznie unikać paparazzich i można było robić politykę przy cygarach i whisky. No, to oczywiście zależy od klubu. Przedstawiciele Sojuszu Lewicy Demokratycznej zamiast cygar woleli zwykłe peciki, a popijali raczej - cytując klasycznych przedstawicieli formacji - wódeczkę.

Oto nocne posiedzenie liderów klubu, czasy koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Unii Pracy i Polskiego Stronnictwa Ludowego, czyli początek XXI wieku. Rozmowy toczą się w sejmowym pokoju 103, który tradycyjnie przypada szefowi największego klubu parlamentarnego. Dziennikarze czekają na ich wynik przy okrągłym stole. Stół w zasadzie wcale nie jest okrągły, ma tylko lekko zaokrąglone rogi, ale tak się utarło jeszcze z dawnych czasów, że miejsce pracy reporterów nazywane jest właśnie okrągłym stołem lub stolikiem dziennikarskim. Kiedyś ów stolik oczywiście był okrągły. Stoi na galerii obok schodów z głównego hallu. To świetne miejsce obserwacyjne, bo widać stamtąd, kto właśnie wychodzi z budynku lub do niego wchodzi. Po drodze do klubowych korytarzy posłowie zawsze mijają stolik, więc można znieśc polityka zaatakować jakimś podchwytliwym pytaniem.

Tym razem jednak na podchwytliwe pytania nikt nie ma ochoty. Jest już późny wieczór, a SLD-owcy w pokoju 103 wciąż gadają. „Ile tak można?” - zastanawiają się dziennikarze, którym już dawno zaschło w gardłach i tylko pielgrzymują do automatu wypływającego chemiczną kawę w plastikowych kubkach. Otóż - kochani redaktorzy - można, bo nie wszyscy piją tu z plastikowych kubków. Niektórzy w kryształach mają coś lepszego niż chemiczna kawa. Ale dopijajmy już świństwo, bo trzasnęły drzwi i z gabinetu 103 wychodzi Józef Oleksy. W podejrzenie doskonałym humorze mija zebranych reporterów, rzucając żarcik, i czym prędzej oddala się do wyjścia. To zupełnie nie w jego stylu. Zwykle Józef ma przecież czas i chętnie bryluje w mediach. Małgosia Naukowicz z Polskiego Radia zawsze w takiej sytuacji wyczuje, że coś się święci, i zawsze obwieści to reszcie dziennikarskiego towarzystwa. Za jej przykładem i wezwaniem redaktorzy przenoszą się więc zobaczyć, co i jak tam się w 103 świętuje. I oto, uwaga, drzwi się otwierają. Wychodzi sprawdzony w niejednym nocnym boju SLD-owski tandem: Krzysztof Janik i Lech Nikolski.

Dziennikarze otaczają ich ciasnym półkolem, na szczęście Janik za sobą ma zamknięte

skrzydło drzwi, o które teraz się opiera. Panowie są w świetnej formie i jeszcze lepszym nastroju. Odpowiadają na pytania, a że wszystkim spieszy się do domu, idzie sprawnie. Aż tu nagle dym. Zza pleców Janika. Pożar?! Nie, chociaż nie ma dymu bez ognia. Co się więc pali? Papieroszek! Janik to namiętny nikotynista (Nikolski wówczas chyba też) i nigdzie nie rusza się bez papierosów. Zwykle zresztą zapalonych. Chowa je tylko dyskretnie, gdy zadają mu pytanie lub akurat go filmują. Kilka razy nawet udało mu się zapalić ukradkiem na transmitowanej konferencji prasowej! I jest to jeden z tych mistrzów, którzy potrafią z jednym zapalonym papierosem, wykonując przy tym inne czynności (jak choćby występ na żywo w telewizji), przetrwać ładnych kilka minut. Tym razem też doczekał do końca pytań, pociągnął ostatniego maszka i tak się zakończyła kolejna owocna noc pracy Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Paliło się też za dnia. Zły przykład dawał tu sam wzór państwowych cnót, Jan Rokita. W przerwach posiedzeń komisji śledczej badającej aferę Rywina platformiany Sherlock zwykł zachodzić do okupujących tylne rzędy Sali Kolumnowej dziennikarzy, aby rzucić:

- Macie papieroska? - I wypalić go zresztą tuż obok.

Układ był idealny, bo Rokita co prawda - jak mawia młodzież - sępił, ale i zaciągając się dymem, wskazywał na ważne wypowiedzi czy wątki poruszane przez przesłuchiwanymi właśnie świadków. Czyli - wbrew temu, co twierdzi odpowiedni minister - to palenie wszystkim wychodziło na zdrowie. Przy okazji była to też szansa złapania Jana Rokity, polityk ten słynie bowiem z tego, że nie posiada telefonu komórkowego. Dziennikarze namierzali go więc przez asystenta, a jak to robił asystent - to już jego słodka tajemnica. Podobno kiedyś nawet kupił swojemu szefowi telefon. Stacjonarny. I telefon stacjonował. W pudełku przez ładnych parę lat.

## SŁONE PALUSZKI

Nasiadówki polityczne to przekleństwo pracy dziennikarza. Im większe grono się naradza, tym gorzej. Obrady ciągną się godzinami, na stołach króluje woda mineralna i słone paluszki, a na mównicy - działacze drugiego i trzeciego garnitur, z których każdy usiłuje zaistnieć. Po kilku godzinach prezydium przysypia, co bardziej znużeni politycy znikają po angielsku, a reporter musi siedzieć. Nigdy nie wiadomo, czy trzeciorzędny działacz nie palnie jakiejś gafy, dzięki której przynajmniej będzie o czym pisać.

Dziś już te nasiadówki nie są aż tak długie, ale w czasach, gdy nasza demokracja była jeszcze młoda, potrafiły ciągnąć się do późnej nocy. Zwłaszcza w takiej partii jak Unia Demokratyczna, która z gadania uczyniła swój etos. Cofnijmy się więc do roku 1992. Igor Zalewski z Piotrem Zarembą mają akurat to nieszczęście relacjonować dla „Życia Warszawy” wieczorne obrady klubu parlamentarnego Unii. Tadeusz Mazowiecki wdaje się w dyskusję z Bronisławem Geremekiem, szeregowi posłowie dorzucają swoje propozycje, słowem: atmosfera aż iskrzy. Kończą się słone paluszki, a ponieważ jest już późna noc, nowej dostawy nie będzie. Mineralnej za to pod dostatkiem, więc zaprawieni w dyskusjach spadkobiercy etosu Solidarności jeszcze sobie pogadają. Dziennikarze mają już dość. Kolejni przedstawiciele mediów znikają z sali, z tego posiedzenia newsa chyba nie będzie. Zostają tylko Zalewski z Zarembą. No i oczywiście Geremek, Mazowiecki i posłowie. Ci gadają w najlepsze.

- No dobra, czas kończyć zabawę - zgodnie postanawiają reporterzy. Wymykają się z sali, a gdy wychodzą na korytarz, zauważają pewien szczegół. Sprzątaczkę oczywiście już dawno poszły do domu, ale w drzwiach sali posiedzeń zostawiły klucz. Jak już działacze skończą, oddadzą go strażnikom. Ale nasze zuchy mają lepszy pomysł. Cichutko przekręcają klucz i zamykają pochłoniętych dyskusją polityków od zewnątrz, po czym oddalają się w tempie szybkim. Kto wie, może ta nocna sejmowa niewola spowodowała, że partia zmieniła wkrótce nazwę na Unię Wolności?

Innym razem ta sama para trafiła na posiedzenie Rady Krajowej Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (dla młodszych czytelników: to wcześniejszy szyld Sojuszu Lewicy Demokratycznej). Tu zamiast Mazowieckiego i Geremka zawzięcie dyskutują Miller z Kwaśniewskim. Wypisz, wymaluj jak dziś. Na stołach oczywiście słone paluszki i woda mineralna. Redaktorzy siadają sobie w tylnych rzędach. Zbliża się pora głosowania. Przedstawiciele komisji skrutacyjnej rozdają karty. Dziennikarze nie wzbudzają podejrzeń.

Partia, choć wywodzi się z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jest jeszcze młoda, więc nie budzi specjalnych wątpliwości fakt, że obok tradycyjnego betonu także dwaj nieznani, młodzi działacze znaleźli się na sali. W tym zamieszaniu Igor Zalewski zostaje wzięty za delegata. Dostaje piękny mandat.

- A ja? - woła Zaremba i też staje się na chwilę delegatem.

- Szanowni delegaci, głosujemy. Kto za, kto przeciw, kto się wstrzymał.

I tak dwóch reporterów gazety o profilu zdecydowanie prawicowym mogło wpłynąć na kształt polskiej lewicy. Mogło, ale niestety nie wpłynęło. To były raczej nieistotne głosowania. Szkoda. Mogliście, panowie, poczekać, zagłosować na kongresie i może dziś już kto inny wciąłby słone paluszki, rozdając karty w Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

## WIADOMOŚĆ DNIA

To może jeszcze jedna historia z bardzo długą brodą? Rok 1993, postkomuniści wygrali właśnie drugie wolne wybory do sejmu. Tworzą rząd z Polskim Stronnictwem Ludowym. Lekcję życia nowej-starej ekipie postanawia dać prezydent Lech Wałęsa. Podgryza ich, ile tylko można, wykorzystując szerokie uprawnienia, które daje mu obowiązująca wówczas Mała Konstytucja, oraz talenty swojego niezastąpionego prawnika Lecha Falandysza. Studenci do dziś pewnie poznają termin „falandyzacja prawa”. Koalicja nie pozostaje dłużna. Ma stabilną większość i grozi, że przeforsuje zmiany konstytucyjne ograniczające nieco władzę prezydenta (system rządowy mieliśmy wtedy taki, że prezydent akceptował proponowanych przez premiera ministrów obrony, spraw zagranicznych i szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych). Trwa więc zimna wojna na górze.

Andrzej Morozowski, sejmowy reporter Radia Zet, prowadzi wówczas w Telewizji Polskiej niedzielny program „Krótkie spięcia”. W jednym z odcinków spinają się wspomniany Lech Falandysz i Aleksander Kwaśniewski, przewodniczący klubu parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej (jednocześnie szef stojącej za nim partii SdRP, czyli - przypomnijmy jeszcze raz młodszym czytelnikom - Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej). Na antenie obaj jakoś dogadują się i uzgadniają, że w sejmie dojdzie do spotkania klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej z prezydentem. I rzeczywiście. Szybko dochodzi do spotkania i uzgodnienia zawieszenia broni. Kraj odetchnął, koalicja też. Lech Wałęsa również był w miarę zadowolony, że kopiącą lewą nogę (którą wcześniej osobiście wspierał) nieco ograniczył.

Spotkanie na szczycie odbyło się w ciągu dnia, późnym wieczorem w sejmie został już tylko redaktor Morozowski. Siedzi sobie sam przy stoliku dziennikarskim i przygotowuje relację do ostatniego serwisu Radia Zet. Cicho, pusto. Nagle skrzypią drzwi i z któregoś z gabinetów klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej wychodzi wesolutki Aleksander Kwaśniewski. W gabinetach ewidentnie trwa świętowanie.

- Ooo, widzi pan, redaktorze, jak świetnie dzięki panu wyszło porozumienie? - zagaja, dosiadając się. - Należy się panu nagroda! Niech pan powie, co by pan chciał?

- Co ja bym chciał... - zastanowił się redaktor. Jak by tu wybrnąć? Whisky od rozpromienionego przyszłego prezydenta nie weźmie, „ku chwale Ojczyzny” brzmi dosyć banalnie. Myśli więc, myśli, w końcu wpada na pewien szatański pomysł. - Panie przewodniczący! Ja zawsze marzyłem o jednym. Żeby tak na motocyklu w białym kasku

i goglach pojechać z sejmu do Belwederu z pilną wiadomością wagi państwowej.

- No tak, no tak - zasępił się Kwaśniewski. - Gogli i białego kasku nie załatwię. Motocykla też nie, ale wiadomość wagi państwowej... Wie pan co, redaktorze? Ma pan kartkę? - I tu przewodniczący wyciągnął pióro, wziął kartkę i zaczął pisać. Skończył, złożył, na wierzchu umieścił adnotację: „Pan Prezydent Lech Wałęsa, do rąk własnych” i dał Morozowskiemu.

- Można spojrzeć?

- Można.

Redaktor otwiera więc pilną wiadomość wagi państwowej, a tam nakreślone: „Lechu! Wszystko, co dzisiaj ustaliliśmy, to były tylko jaja. Olek”. Zachowując poważną minę, Andrzej Morozowski chowa karteczkę za pazuchę.

- No, panie przewodniczący... Do Wałęsy to mnie chyba nie dopuszczą. Ale znam Wachowskiego [wówczas szarą eminencję dworu prezydenta - przyp. MM], to zaraz do niego zadzwonię i wiadomość przekażę! - kończy, a Kwaśniewski wyraźnie blednie. Wesołość mu przechodzi.

- Ależ panie redaktorze! Zna się pan na żartach, prawda? To był tylko żart!

Żart żartem, ale przy sprawach wielkiej wagi lepiej nie prezentować nieznośnej lekkości bytu, której eksponowanie nieraz się zresztą przysłemu prezydentowi jeszcze zdarzy w najmniej oczekiwanych sytuacjach. Zwłaszcza gdy znów będzie wesolutki.

Przy okazji jeszcze jedna historia - nawet jeszcze starsza. Rok 1991. Znów wieczór, znów redaktor Morozowski sam przy stoliku dziennikarskim w sejmie, znów pisze relacje do ostatnich serwisów Zetki. Tego dnia w parlamencie wielkie wydarzenie, do księgarń trafił właśnie *Pamiętnik Anastazji P. Erotyczne immunitety*, książka, w której rzekoma arystokratka opisuje swoje bujne przygody przeżywane z przedstawicielami narodu. Parlamentarny kiosk całą witrynę zawaloną ma tym jednym tytułem. Nic dziwnego. W sejmie to oczywiście bestseller, każdy poseł chce sprawdzić, czy i o nim hrabina nie wspomniała. I tu musimy przypomnieć, że jednym z głównych bohaterów książki był kojarzony z mocno konserwatywną prawicą wicemarszałek sejmu Andrzej Kern. No więc wieczór, sejm, stolik, Morozowski. Znowu skrzypnęły gdzieś drzwi, ale tym razem wychodzi z nich rzeczony wicemarszałek.

- Panie redaktorze...

- Tak, panie marszałku?

- Ma pan tę książkę? - Kern nieśmiało pyta redaktora. Ten oczywiście ją ma, ale zawodowa podejrzliwość każe najpierw sprawdzić, o co chodzi.

- A co się stało?

- Nic, nic... Tylko ja bardzo chciałbym ją przeczytać, ale nie mogę ot tak pójść do kiosku, bo wie pan, co tam o mnie piszą!

Redaktor się ulitował nad losem wicemarszałka, książkę pożyczył. Wiadomo: polityk też człowiek i poczytać lubi. W łóżku na przykład. Oczywiście - do poduszki.



## NIKOMU ANI SŁOWA

Skoro o marzeniach, ale tych na jawie - o czym marzą dziennikarze sejmowi? Oczywiście o ekskluzywnym newsie z dobrze poinformowanego źródła. Dziś są telefony komórkowe i SMS-y, więc i przecieki rozchodzą się nieco szybciej, dwadzieścia lat temu puszczano je na zasadzie propagandy szeptanej.

Zaraz na początku pierwszej koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego doszło do kryzysu. Poszło o prywatyzację Banku Śląskiego - tego samego, po którego akcje Polacy rzucili się do biur maklerskich. W kolejkach stanęło osiemset tysięcy chętnych, papiery wartościowe przydzielano jak wołowe z kością za komuny: po trzy akcje na obywatela. W sejmie politycy partii koalicyjnych robią tajemnicze miny, coś ewidentnie jest na rzeczy. Dobrze poinformowane źródło szepcze Igorowi Zalewskiemu z „Życia Warszawy”, że premier Pawlak zamierza złożyć wniosek o odwołanie ministra finansów Marka Borowskiego z Sojuszu Lewicy Demokratycznej. To dopiero sensacja! Tylko trzeba ją jeszcze potwierdzić. Zalewski uderza do Janusza Piechocińskiego. Ten polityk Polskiego Stronnictwa Ludowego zawsze był pozytywnie nastawiony do dziennikarzy, zmieniło mu się to dopiero po latach, gdy w końcu został prezesem Stronnictwa. Piechociński robi wielkie oczy. Najwyraźniej jeszcze nic nie wie, ale obiecuje, że sprawdzi i da znać.

- Tylko dyskretnie! - przestrzega Zalewski, no ale to przecież oczywiste, prawda? Prawda. To dlaczego pięć minut później podbiega podekscytowany redaktor Tomasz Lipko z Radia Zet?

- Słyszeliście? Podobno Pawlak chce odwołać Borowskiego!

- Eee, co ty. To nieprawdopodobne. A skąd wiesz?

- Od Piechocińskiego!

- Tak? A skąd może wiedzieć Piechociński?

- Rozmawiał z premierem!

No. To już z grubsza wiadomo, jak się zostaje prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego. A skoro już o tej partii mowa, to jeszcze jedna historyjka z dawnych czasów. Józef Zych, parlamentarzysta o potężnym stażu, a prywatnie bardzo sympatyczny i kulturalny pan, miał też jedną nieocenioną cechę. Znajomych dziennikarzy zapraszał do gabinetu i sypał przeciekami ze sfer rządowych. Aby się zabezpieczyć, nastawiał jednocześnie radio na cały regulator. Konkretnie to drugi program Polskiego Radia. Z głośnika płynęła poważna

muzyka, a z ust Zycha - poważne wiadomości z życia koalicji.

Tym razem zaprosił Igora Zalewskiego i zapowiedział, że ma fantastyczne przecieki co do obsady tak zwanych resortów prezydenckich. Jak już wiemy, w obowiązującej do 1997 roku Małej Konstytucji o obsadzie Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych współdecydował prezydent. Wiadomość będzie więc tym ciekawsza, że może się szykować kolejny kryzys na linii rząd-prezydent Wałęsa. Zych nawet sobie zapisał proponowane nazwiska na karteczce. Teraz ją wyciąga, Zalewskiego zjada ciekawość: kto tam będzie? No właśnie. Kto tam jest? Zaraz, zaraz... Pan poseł próbuje się rozczytać. Jeszcze chwileczkę... Kto to może być? Momencik... A to drugie nazwisko? Hmm... Tak szybko się notowało, że teraz ni w ząb nie idzie rozczytać. No cóż. Trudno. Posłuchajmy sobie muzyki poważnej z Dwójki, ona zawsze łagodzi obyczaje. Nawet te parlamentarne.

## PREZYDENT NA KOLANACH

Niejeden marzył, aby Aleksandra Kwaśniewskiego rzucić na kolana, ale tylko kilku osobom się to udało. Udało się na przykład biskupowi polowemu i efekty widać było w Charkowie, gdy prezydent aż rwał się do klękania na cmentarzu. Tylko goleń mu przeszkadzała. Ale biskup to biskup - świeckiej osobie byłoby znacznie trudniej. A Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej się udało i to jeszcze zanim Kwaśniewski został prezydentem.

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w Telewizji Polskiej wymyślono, aby w dni posiedzeń sejmu do porannych i południowych „Wiadomości” robić wejścia na żywo z parlamentu. Najprościej by było połączyć się z istniejącym stanowiskiem komentatorskim na galerii, ale wówczas obrady były jeszcze transmitowane w TVP2 i miejsce było zajęte przez komentatora. Swoją drogą taka transmisja w ogólnopolskim programie lekko zahaczała o masochizm. Najbardziej zainteresowani nią byli posłowie. Przed wejściem na mównicę sprawdzali, czy transmisja jeszcze trwa i czy można pokazać się szerokiej publiczności. Kiedy po południu TVP ją przerywała, od razu siadała atmosfera, kończyły się spory i dyskusje - bo komu by tam się chciało wysilać, skoro i tak nikt już nie ogląda? A to wszystko przecież wcale nie było tak dawno, bezpośrednia transmisja obrad zniknęła z anteny Dwójki dopiero w 2002 roku.

Wróćmy może do klękania. Skoro nie można wykorzystać spokojnego stanowiska komentatorskiego, postanowiono wprowadzić element dynamiczny. Wybrano najgorsze z możliwych miejsc do nadawania, czyli wejście w kuluary. Kuluary to półkolisty korytarz otaczający salę plenarną. Prowadzą do niego tylko trzy wejścia - jedno w kierunku restauracji, dwa pozostałe do głównego hallu sejmu. Jak więc łatwo przewidzieć, ruch w każdym z tych przejść jest spory. No, ale cóż. Decyzja kierownictwa to decyzja kierownictwa. O trudnościach zameldować po wykonaniu zadania.

Sejmowy dyżur z ramienia „Wiadomości” ma akurat Katarzyna Kolenda-Zaleska. Staje więc na wyznaczonym stanowisku i czeka na wejście na antenę. Drzwi do kularów są dwuskrzydłowe. Jedno zablokowane jest przez tymczasowe stanowisko TVP, drugim przeciskają się posłowie, co chwilę potrącając reporterkę. Ale oto już zbliża się antena, operator daje dyskretny znak posłom, aby minutkę się wstrzymali. Kolenda zaczyna mówić i w tym momencie za kamerą wyrasta Aleksander Kwaśniewski, szef klubu parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Widzi, co się dzieje, ale wyjątkowo mu się spieszy.

Starając się nie potrącić nadającej właśnie na żywo dziennikarki, próbuje się precyzyjnie. To jednak się nie może udać - a czas przyszłego prezydenta nagli. Nie zastanawiając się więc zbyt długo, przyjmuje pozycję raczkującego niemowlaka - tyle że w garniturze, a nie w śpiochach. Powoli przechodzi pod kamerą, zbliża się do Kolendy. Bacząc, aby nie wejść czubkiem głowy (albo inną częścią ciała) w kadr, ostrożnie przemyka na czworakach. Ona nie bardzo wie, co zrobić, bo w tej chwili wchodzący od dołu na antenę Aleksander Kwaśniewski wyglądałby co najmniej dziwnie, żeby nie powiedzieć: dwuznacznie. Na szczęście wówczas jeszcze przyszły amator kapuścianych zupek bez problemu mieścił się w drzwiach. A nawet w połowie drzwi. Już się precyzyjnie, już jest w kuluarach. Obserwujący scenę posłowie - w ryk. Niesłusznie! Każdy prezydent przecież kiedyś raczkował, chociaż Aleksander Kwaśniewski akurat może wyjątkowo późno.

## WYJŚCIE AWARYJNE

Teraz o jeszcze bardziej spektakularnym wyjściu w wykonaniu tego samego bohatera. Kryzysy polityczne to dla sejmowych reporterów miła odmiana od codziennej orki. Wiążą się one niestety z godzinami oczekiwania przed zamkniętymi drzwiami gabinetów, w których politycy radzą. Potem wychodzą, a dziennikarze rzucają się na nich stadnie, przekrzykując się pytaniami. Wszyscy tak robią, każdy jednak marzy, aby zdobyć własnego newsa. Jakiś przeciek, ukradkiem wysłany SMS albo chociaż zasłyszana plotka. Szczytem marzeń jest ekskluzywny wywiad z politykiem rozgrywającym.

Pozostajemy w czasach pierwszej koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Premierem jest Waldemar Pawlak, marszałkiem sejmu - Józef Oleksy, a wielkim rozgrywającym - szef klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej Aleksander Kwaśniewski. Trwa wojna podjazdowa z prezydentem Lechem Wałęsą. Właśnie mamy jej kolejny akt. W Urzędzie Rady Ministrów trwa spotkanie koalicyjne. Dziennikarze czekają przed bramą od Alej Ujazdowskich. Widzą, jak z budynku wychodzi Aleksander Kwaśniewski, wsiada w rządową lancję i wyjeżdża tylną bramą. Gdzie może jechać? Jak to gdzie - do sejmu! Dziennikarze zbierają się, wsiadają w auta i na wyścigi gnają na Wiejską. Za późno. Kwaśniewski jest tu przed nimi, już wszedł do marszałka Oleksego. Towarzystwo rozkłada się więc na parapecie przed gabinetem i muruje drzwi. Kiedyś przecież panowie muszą wyjść.

Teraz mała, ale bardzo ważna dygresja architektoniczna. Gabinet marszałka sejmu mieści się na pierwszym piętrze na końcu długiego korytarza, przy którym urzędują wicemarszałkowie. Wszystkie pokoje - o czym nawet nie wszyscy reporterzy wiedzą - są połączone w amfiladę. Przejść zwykle się nie wykorzystuje, bo kto by to widział, aby na przykład koalicyjny marszałek przechodził przez gabinet opozycyjnego zastępcy. Niemniej jednak technicznie taka możliwość istnieje. Wróćmy teraz przed pokój marszałka Oleksego. Dziennikarze czekają, drzwi wciąż zamknięte, spotkanie wydaje się nie mieć końca. Reporterów powoli ogarnia znużenie, niektórzy zaczynają ryzykowne wyprawy do innych pomieszczeń klubowych w nadziei zdobycia jakichś przecieków. Wtedy nie ma jeszcze telefonów komórkowych, nie sposób więc wysłać dyskretnego SMS-a do znajomego polityka. Trzeba się pofatygować osobiście i liczyć na łut szczęścia w postaci napotkanego gadatliwego posła. Wojciech Nomejko z telewizyjnej „Panoramy” też decyduje się zaryzykować. Może ktoś coś będzie wiedział w Sojuszu Lewicy Demokratycznej? Idzie więc na drugą stronę

głównego budynku sejmu, do pokoju szefa klubu. Na szczęście to też pierwsze piętro. Puka, wchodzi, a tam, w sekretariacie... kto? Aleksander Kwaśniewski we własnej osobie. Przechytrzył czatujących przed gabinetem marszałka dziennikarzy, skorzystał z przejść między pokojami i niezauważony wyszedł drugim końcem korytarza. Teraz jednak już nie wyjdzie. W jego gabinecie nie ma tajnych drzwi.

- Panie przewodniczący, to może krótka wypowiedź? - pyta Nomejko.

- Nie ma mowy - odpowiada Kwaśniewski.

- Ale wystarczy mi tylko coś w stylu „sytuacja jest trudna, konsultacje trwają, jestem po spotkaniu z premierem, zobaczymy co dalej”.

- Nie.

- Ale stąd nie ma drugiego wyjścia, a ja będę sterczał na korytarzu - zapowiada Nomejko. - Olek, przecież nie zejdziesz po drabinie! - rzuca na odchodne i dyskretnie woła ekipę.

Zauważa to Monika Olejnik, wówczas z radiowej Trójki, i dołącza do Nomejki obstawiającego gabinet. Do pokoju wchodzi się przez przedsionek, z którego widać sekretariat. Przedsionek służy za palarnię. Czasy wtedy były nieco inne i paliło się wszędzie. Redaktor zajmuje więc stanowisko w przedpokoju, ściąga jednego papierosa za drugim i czeka na rozwój sytuacji.

- Panie przewodniczący, łączę ze Strażą Marszałkowską. - Słyszy w pewnym momencie sekretarkę i zapala mu się w głowie ostrzegawcza lampka. Po co Kwaśniewskiemu strażnicy? Do obstawy przy przebijaniu się przez korytarz? To raczej niemożliwe, wyglądałoby co najmniej dziwnie. No to po co? Na wszelki wypadek wychodzi sprawdzić, czy sąsiadująca przez ścianę z gabinetem szefa Sojuszu Lewicy Demokratycznej sala konferencyjna jest otwarta. Owszem, otwarta. Podchodzi do okna. Cisza, spokój, nic się nie dzieje. Ale nie zaszkodzi zwiększyć czujności. Raz więc wraca do SLD-owskiego przedpokoju i nerwowo zapala kolejnego papierosa, a po chwili wychodzi sprawdzić, co widać przez okno sali obok. I tak kilka razy.

Sekretarka podejrzliwie patrzy na palącego co i rusz Nomejkę, drzwi gabinetu Kwaśniewskiego wciąż zamknięte. To może jeszcze raz warto sprawdzić, co tam za oknem? A pod oknem, na parterze dwóch mężczyzn - jeden to funkcjonariusz Straży Marszałkowskiej, a drugi to strażak. Pożarny. Z rozkładaną drabiną. Właśnie ją rozciąga i celuje w okno na pierwszym piętrze. Okno gabinetu szefa klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Nomejko błyskawicznie woła ekipę, do sali konferencyjnej wpada też Monika Olejnik. Kwaśniewski już otworzył okno, już stawia nogi na drabinie. Operator TVP

wychyla się z kamerą przez parapet, Nomejko go przytrzymuje, Olejnik próbuje zadać ewakuującemu się przyszłemu prezydentowi Rzeczypospolitej jakieś pytanie, ale ten nie słucha, zajęty uważnym schodzeniem z pierwszego piętra. Już dotknął ziemi, już jest bezpieczny. Panorama ma zdjęcia dekady, ale na tym nie koniec.

Zamykają okno, wybiegają z sali, pędzą na dół. Wypadają z budynku na parking, a tam... Aleksander Kwaśniewski. Pan przewodniczący swój samochód zostawił przed głównym wejściem. I cały misterny plan... Właśnie. Niestety - jak wspomnieliśmy - czasy były to inne. Wolno było nie tylko palić w gabinecie, palono też wówczas gorące newsy. Zwłaszcza w Telewizji Polskiej. Widzowie głównego wydania „Panoramy” nie zobaczyli filmu z wyjściem awaryjnym szefa koalicyjnego klubu. Swoją premierę miał on dopiero w nieistniejących już dziś na antenie wieczornych „Wiadomościach”, czyli około jedenastej w nocy. A potem został na długo zapomniany - kiedy Aleksander Kwaśniewski został prezydentem, w telewizji publicznej nie wypadało przecież pokazywać, jak kilka lat wcześniej wiał z sejmu po strażackiej drabinie.

I tu kończymy polityczne łowy w sejmie. W następnym odcinku - polityka pozaparlamentarna, czyli uprawiana w miejscach, gdzie nie obowiązują parlamentarne obyczaje ani język.

## KRYTERIUM ULICZNE

Kiedy polityka wychodzi na ulice, zwykle robi się gorąco, chociaż dzisiejsze hece uliczne w porównaniu z prawdziwymi zadymaniami sprzed kilkunastu lat to niewinne zabawy niegrzecznych przedszkolaków, których kilkoma mocnymi słowami pani wychowawczyni przywołuje do porządku. Bo kiedyś to były protesty! Kiedyś górnicy potrafili zdemolować fronton Kancelarii premiera, wdrzeć się do Ministerstwa Skarbu i zabarykadować w gabinecie ministra, aby następnie odbyć regularną bitwę ze szturmującą policją. Podczas demonstracji zbrojeniówki policja ostrzelała związkowców gumowymi pociskami. Jeden z fotoreporterów stracił wówczas oko. Wyobrażacie sobie taką sytuację dziś? Policję strzelającą do robotników?! Rolnicy też mieli fantazję. Zwłaszcza ci z Samoobrony. Zatrzymywali pociągi i wysypywali zboże, chłostali komorników, atakowali ministerstwo i wzorem górników ganiłi się po korytarzach z policją. Oto właśnie jedna z takich sytuacji. Halo, oddajemy głos do Ministerstwa Rolnictwa.



## PROTEST WZORCOWY

Jest druga połowa lat dziewięćdziesiątych. Rolnicze związki po niezbyt udanych negocjacjach ze stroną rządową postanowiły przedłużyć swój pobyt w budynku resortu rolnictwa. Rozmowy toczyły się w Sali Wzorcownia. To niewątpliwie najciekawsza sala w socrealistycznym gmazysku ministerstwa. Duże wnętrza ozdabiają gabloty z najlepszymi produktami polskiej ziemi. Mamy pyszne przetwory, miody, konfitury, soki. Ponieważ w sali nie ma warunków chłodniczych, dominują wyroby niewymagające przechowywania w lodówkach, niepsujące się i z długą datą przydatności. Wszystkie te cechy idealnie łączą w sobie produkty polskiego przemysłu spirytusowego. Stoją więc miody - trójniaki i czwórniaki, lubuskie wina, cała gama pereł piwowarstwa, jest też coś mocniejszego, z czego Polska słynie - wódka żołądkowa, czysta, luksusowa. W temperaturze pokojowej.

Rolnicy zajmują ten szesam, rozkładają się na podłodze i czekają na kolejne propozycje strony rządowej. Ekspozyty Wzorcowni kuszą, ale protest to protest i ulec nie wolno. Znow powiedzą, że banda pijanych chłopów rozrabia, a tu chodzi przecież o losy wsi. Dziennikarze takich oporów nie mają - tym bardziej że rozmowy się przedłużają i zrobił się późny wieczór. Opuścić gmachu jednak nie mogą. Nikt nie wie, czy nagle nie dojdzie do porozumienia albo przeciwnie - do eskalacji. A może minister wezwie policję i siłą usunie związkowców? Trzeba być na miejscu, w pogotowiu i czekać na rozwój wydarzeń. Nuda, panie.

W tamtych czasach nie ma smartfonów ani tabletów, internet mobilny jest pieśnią przyszłości, zresztą i tak mało kto chodzi po mieście z ciężkim laptopem. Z oglądania filmów na YouTube nici (bo nie ma jeszcze YouTube), z gier dostępny jest tylko wąż na najnowszej nokii. W kółko i krzyżyk grają sobie może w podstawówce, dorośli chłopcy mają inne rozrywki. Redaktor Tomasz Lipko z Zetki wraz z redaktorem Mikołajem Lizutem z „Gazety Wyborczej” znudzili się już opowieściami, nie mają nic do czytania i zaczynają kombinować. Wokół tyle ciekawych gablot, a zawartość niektórych zdaje się wręcz przemawiać: sięgnij po mnie, a czas zleci sam! Może uda się podważyć witrynę? Owszem, z pomocą dostępnych narzędzi udaje się. Zgadnijcie, która z nich przyciągnęła uwagę znudzonych reporterów? Dla ułatwienia dodamy, że nie były to soki ani miody. Chociaż nie. Był to miód na udręczoną duszę.

Szybka gabloty szybko ustąpiła. Zawarte w środku szkło nie stawiało oporu. Odkręcamy i po jednym. Drugim. Trzecim. Czwartym. Ojej, skończyło się. Ale jest jeszcze jedna. Po jednym. Drugim. Trzecim... I tu rolnicy wykazali się czujnością oraz etosem

godnym stoczniowców z 1980 roku. Choć byli w sporze zbiorowym z ministerstwem, zbiorowo poinformowali odpowiednie służby, że dwa indywidualnie osuszają zawartość Wzorcowni. Pojawiła się straż. Puste butelki wyniesiono, lekko napoczęte wstawiono do gablot. Wstawionych redaktorów przywrócono do pionu, w sali wystawiono wartowników. A rozmowy z rządem? A kto by tam pamiętał. Tyle tych protestów było, ale ten wzorcowy - tylko jeden.

## PIZZA BELWEDER

Skoro już się napiliśmy, czas coś przekąsić. Kiedy Pizza Hut otwierała dawno temu swoją centralę zamówieniową, reklamowała ją jako „Centrum gorących donosów” różnymi sloganami, między innymi takim: „Donosili na Wiejską!”. Ktoś mógłby pomyśleć: to tylko taki trick marketingowy, a tu jednak nie. Prawda. Oto czasy pierwszej koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, trwają trudne (jak zawsze) i długie (też jak zawsze) rozmowy koalicyjne. Politycy wybrali sobie nietypowe miejsce - Belweder. Było to już po zakończeniu prezydentury Lecha Wałęsy, Aleksander Kwaśniewski urzędował na Krakowskim Przedmieściu, więc Belweder wykorzystywano bardzo rzadko. Zbyt się postkomunistom kojarzył z Lechem. A może nawet z Piłsudskim, kto wie? Jedno jest pewne - cichy pałac to świetne miejsce na spokojne i szczerze rozmowy, bo dziennikarzy trzyma się na dystans. Za bramą. Rozmawiający mogą z daleka im pomachać, wsiąść do limuzyn i odjechać. No ale co mają robić biedni reporterzy? Stoją jak zwykle i liczą na to, że może ktoś jednak do nich wyjdzie. Spora grupa czeka więc przed bramą Belwederu. Zimno jak w psiarni, bo to akurat styczeń albo luty. Przesztopowanie z nogi na nogę nie pomaga, o ciepłej herbacie nikt nie pomyślał, najbliższa knajpa to „Blue Cactus”, który dopiero co zastąpił „Szeherazadę”, ale to hen, na dole Belwederskiej. Wysłać delegata po jedzenie i napoje? Świetny plan, ale nie ma chętnych. Bo delegat pójdzie, wróci, a owoce dziennikarskiego trudu skonsumują konkurenci. Reporterzy więc stoją na tym mrozie. Wśród nich same wielkie nazwiska: Katarzyna Kolenda-Zaleska z „Wiadomości” TVP, Monika Olejnik z Trójki czy Agnieszka Kublik z „Gazety Wyborczej”.

Spotkanie się przedłuża. Głód i chłód doskwierają coraz bardziej. Co robić? Jak to co?

- Zamówmy sobie pizzę! - proponuje Katarzyna Kolenda-Zaleska.

Doskonały pomysł. Redaktor Kublik wchodzi w spółkę. Przyda się szczyt techniki, dopiero co wprowadzona służbowa nokia banan, którym to telefonem mogli się pochwalić tylko najlepsi dziennikarze Telewizji Polskiej. Raz-dwa i numer wykręcony.

- Capriciosa czy pepperoni? - Już nieważne, byle szybko, bo chłodno i głodno.

- Dokąd mamy dostarczyć? - pytają w pizzerii.

- Pod Belweder prosimy.

- Do Belwederu?

- Nie. Pod Belweder. Przed bramą stoi tłum dziennikarzy, dostawca łatwo nas znajdzie.

- OK, przyjąłem. Pizza będzie za pół godziny.

Uratowani! Ledwie jednak zamówienie zostało złożone, przed wejściem do Belwederu jakiś ruch. Wychodzą! Politycy wsiadają do limuzyn i nie wygląda na to, aby któryś z nich miał ochotę na oświadczenia dla przemarzniętej prasy. Nie ma czasu do stracenia! Reporterzy się zwijają, wsiadają do aut i w długą - za limuzynami. Lancie skręcają w Aleje Ujazdowskie, mkną przez centrum Warszawy, docierają na Grzybowską. Tam, gdzie dziś wyrastają nowe apartamentowce, wówczas lśnił złotą elewacją gmach siedziby Polskiego Stronnictwa Ludowego. Samochody się zatrzymują, ludowcy ewidentnie zerwali rozmowy i chcą coś omówić we własnym gronie. Zamykają się w budynku, reporterzy znów więc czatują na dole. Tym razem jest cieplej, bo ochrona wpuściła do hallu. Zaraz, zaraz... a co z pizzą? Dzwonimy!

- Dzień dobry, zamawialiśmy pizzę pod Belweder.

- Tak, tak. Kierowca jest w drodze.

- Ale nas już nie ma pod Belwederem. Czy dostawę można przekierować na Grzybowską 4, do siedziby PSL-u? Czekamy w hallu.

- Można. - Najwyraźniej dostawcy są już wyposażeni w telefony komórkowe.

- To bardzo prosimy.

- Przyjąłem. Za pół godziny kierowca będzie.

- Dzięki!

Głód coraz bardziej doskwiera, ale zaraz człowiek się naje. Pyszną, pachnącą pizzą. Albo jednak nie. Bo nie minął nawet kwadrans, na schodach rumor. Schodzą liderzy Polskiego Stronnictwa Ludowego! Dziennikarze zastępują ludowcom drogę, zasypując ich pytaniami.

- Nie teraz, kochani, nie teraz! Na wszystkie pytania odpowiemy w sejmie! - rzucają PSL-owcy i znów do limuzyn i w drogę. Dziennikarze za nimi. Kierunek: Wiejska! A pizza? No cóż, dzwonimy!

- Dzień dobry, zamawialiśmy pizzę na Grzybowską 4.

- Tak, tak. A wcześniej pod Belweder. Kierowca już dojechał, ale nikogo nie ma.

- No właśnie. Bo my jedziemy do sejmu. Jeżeli można by tę dostawę przekierować na Wiejską...

- Można. Ale czy to jest ostateczny adres?

- Tak, tak. Ostateczny.

Dwadzieścia minut później kierowca wreszcie dociera na miejsce. Pizza może nie jest już najcieplejsza, ale co tam pizza, gdy newsy gorące. I co, nie donosili na Wiejską? Donosili!

Choć raz reklama powiedziała prawdę.

## PAWLAK MÓWI

Przed chwilą było o ludowcach wodzących za nos reporterów, teraz więc słodka zemsta czwartej władzy na najsłynniejszym przedstawicielu chłopskiej partii. Waldemar Pawlak to niewątpliwie bardzo charakterystyczny polityk. Nie na darmo często powtarzany o nim dowcip głosi: „Japończycy chcieli kupić licencję na Pawlaka. Kiedy się dowiedzieli, że to żywy człowiek - odpuścili”. Charakteru byłemu szefowi ludowców dodaje jego głos. Niepowtarzalny. Próbują go często imitować różni kabareciarze, ale nikomu nie wychodzi to tak dobrze jak Pawłowi Płusce z „Faktów”. Redaktor Płuska umie też naśladować głos Jana Pawła II, ale o tym za chwilę. Teraz Pawlak.

Trwają rządy drugiej koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, czyli mamy początek XXI wieku. W sejmie spotkanie prezydiów klubów koalicyjnych. Za zamkniętymi drzwiami kolejną godzinę obraduje grono: Izabella Sierakowska, Jerzy Szmajdziński, Waldemar Pawlak. Na korytarzu na wynik obrad czekają dziennikarze. Trochę im się już nudzi, a nic nie wskazuje na to, aby partyjni liderzy kończyli rozmowy. Wojciech Nomejko, reporter polityczny „Panoramy” TVP, wpada nagle na szatański plan. Przypomniały mu się dźwiękonaśladowcze zdolności kolegi, który nieraz się nimi popisywał.

- Płusek, weź zadzwoń do klubu PSL-u, powiedz coś Pawlakiem, może szybciej skończą?

Redaktor Płuska początkowo oponuje, ale w końcu daje się przekonać. Dzwoni do sejmowego sekretariatu Polskiego Stronnictwa Ludowego, nastraja odpowiednio głos i zarządza:

- Dzień dobry. Pawlak mówi. Bardzo proszę trzy kawki do gabinetu. Dla mnie, dla Izy Sierakowskiej i dla Jurka Szmajdzińskiego. Tylko ze śmietanką i prędziutko! - Rozłącza się.

Wszyscy cha, cha, przedni żart. Ale nie minęły dwie minuty, a z pokoju Polskiego Stronnictwa Ludowego wybiega pracownica z tacą. Na tacy trzy kawki. Ze śmietanką. Prędziutko mija dziennikarzy, puka, wpada do pokoju, gdzie trwają koalicyjne targi. Jeszcze bardziej prędziutko z niego wypada. A więc głos prezesa jednak działa! Skoro tak, to może wpłynąć na przebieg zdarzeń? O mało co by się udało.

Ta sama epoka, Ministerstwo Gospodarki, w gmachu rozgościli się górnicy. Sytuacja podobna do tej z rolnikami. Też nie wyjdą, dopóki rząd nie spełni ich postulatów. Są stanowczy, ale grzeczni, więc opcja siłowa raczej nie wchodzi w grę. Tym razem warto

rozmawiać. W negocjacjach pośredniczy Waldemar Pawlak. Rozmowy się przeciągają. Na korytarzu przed zamkniętymi drzwiami sali obrad na ich wynik jak zwykle czekają reporterzy, wśród których jest również Paweł Płuska oraz Jan Szul z „Wiadomości” TVP. Wówczas Telewizją Polską kieruje PSL-owski prezes Ryszard Miazek, co w tej sprawie nie jest bez znaczenia. Redaktorom coraz bardziej się nudzi. Pojawiają się różne pomysły. Na przykład taki, aby zadzwonić do wydawcy „Wiadomości” i głosem Pawlaka wprowadzić małe zamieszanie. Świetny plan! Szul wybiera w swojej komórce numer, daje ją Płusce, ten dzwoni. Odbiera pani wydawca.

- Dzień dobry, Pawlak mówi. Waldemar. Jakim prawem nie informuje się, że ja jako Pawlak, były premier, zostałem poproszony, abym był negocjatorem między stroną rządową i związkowcami?! - huknął w słuchawce głos Płuski-Pawlaka. - Żądam numeru do dziennikarza obsługującego to wydarzenie!

I tu niespodzianka. Wydawca grzecznie podaje numer. Do Jana Szula, z którego telefonu właśnie Płuska dzwoni. A nie domyśliła się, nie zobaczyła na wyświetlaczu numeru znajomej komórki? Nie mogła. TVP miała wtedy wszędzie takie tanie szaro-białe aparaty bez żadnych wyświetlaczy. Ale wróćmy do ministerstwa. Po udanym żarcie wszyscy się śmieją, aż tu nagle dzwoni komórka redaktora Szula. Numer ze stanowiska wydawcy. Redakcyjna koleżanka domyśliła się, że to żart? Ależ skąd.

- Słuchaj! - Reporter słucha. - Ale afera! Zaraz zadzwoni do ciebie Pawlak i będzie cię opieprzał, że nie informujesz o jego roli w negocjacjach!

To jeszcze nie koniec. Siedział sobie grzecznie redaktor Płuska raz pewnego przy swoim biurku jeszcze w redakcji RMF FM, a tu dzwoni telefon. Po drugiej stronie kolega z radia Eska.

- Płusek, co właściwie chciałeś, nudzi ci się?

- Ja? A co miałem chcieć?

- No, dzwoniłeś przecież przed chwilą!

- Ja? W życiu!

- Płusek, nie zgrywaj się. Dzwoniłeś na numer redakcyjny i gadałeś tak zabawnie Pawlakiem.

- Ty, ale ja naprawdę do was nie dzwoniłem...

- O w mordę. To był prawdziwy Pawlak?!

Prawdziwy Pawlak też raz się usłyszał i to był epilog wielu przygód z jego głosem. Zanim na antenie TVN pojawił się program „Teraz my!”, Andrzej Morozowski z Tomaszem Sekielskim mieli w TVN24 codzienne „Prześwietlenie”. Zapraszali jednego gościa i przez pół

godziny rozmawiali z nim, nie szczędząc złośliwości. Gościowi i sobie. Zaprosili też Waldemara Pawlaka. Było to po dłuższej przerwie, jaką były premier urządził sobie od aktywnej polityki. Szefem Polskiego Stronnictwa Ludowego był wówczas Jarosław Kalinowski albo Janusz Wojciechowski, a Pawlak płynął osobnym nurtem, czując już, że zaraz znów nadejdzie jego czas. Każdy taki występ był więc ważny - o ile był poważny. Na tym mu bardzo zależało, ale akurat prowadzący mieli tu zupełnie inne plany. Od początku niemiłosiernie go przeczołgali. Padł nawet ten dowcip o Japończykach. Gość był coraz bardziej zdenerwowany. Wyjść jednak nie mógł. Atmosfera gęstniała. Pawlak odpowiadał już zdawkowo, a redaktorzy bawili się coraz lepiej. Nadszedł czas na gwóźdź programu.

- Czy słyszy pan czasem głosy? - pyta redaktor Morozowski.

- Jakie głosy?! - Jeszcze jedno takie pytanie i Pawlak zaraz wyjdzie. Z siebie.

- No głosy. Wewnętrzne. Bo mamy tu takie połączenie dla pana. Halo?!

- Halo! - odpowiada głos Waldemara Pawlaka, chociaż ten nic nie mówi. Były premier jest już kompletnie zbity z tropu.

- Kto mówi? - pyta.

- Sumienie! - odpowiada przez telefon redaktor Płuska, który na podglądzie widzi, jak gość w studiu przed chwilą był zielony, a teraz już zmienił kolor na purpurę. Co gorsza, wyraźnie rozbawieni prowadzący właśnie mu na antenie zdradzają, że głosem sumienia jest kolega Paweł Płuska. Przez dłuższy czas Pawlak nie chciał z nim potem rozmawiać, ale w końcu mu przeszło. Może sumienie go ruszyło?



## STEFAN Z TAMTYCH LAT

Teraz cofniemy się jeszcze bardziej na osi czasu i opowiemy sobie o bohaterze, który w III RP zmieniał partie i opcje, ale na szczęście nigdy nie zmienił swojego stylu. Stefan Niesiołowski. Temat rzeka. Nic się nie dzieje? Zaprosicie Niesiołowskiego, wszyscy będą mieli ubaw, a my - mnóstwo cytowań. To ostatnio najprostszy sposób zapewnienia sobie oglądalności-słuchalności-klikalności, ale już nie poczytności. W druku profesor entomologii tak dobrze nie wypada jak podczas audycji, gdy z prędkością wścieklej osy wyrzuca z siebie retoryczne żądła. To jednak dygresja, a teraz do rzeczy.

Rok 1995, trwa kampania prezydencka. Wśród wielu ciekawych kandydatów startuje Hanna Gronkiewicz-Waltz. Wymyśliło ją niechętnie starającemu się o reelekcję Wałęsie środowisko

Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, a konkretnie to Ryszard Czarnecki z Michałem Kamińskim. Ten ostatni dopiero rozwija swój spin-doktorski talent, pełniąc funkcję rzecznika prasowego komitetu wyborczego. Wśród polityków popierających ubiegającą się o prezydenturę panią prezes Narodowego Banku Polskiego jest też Stefan Niesiołowski, na prawo od którego wtedy była już tylko ściana. Początkowo pani prezes idzie świetnie, sondaże szybują, wyborcy się garną. Słowem: ma potencjał. Zaczyna się kampania, a wraz z nią w Radiu Zet startuje cykl audycji, w których Andrzej Morozowski z Krzysztofem Skowrońskim przesłuchują kandydatów na prezydenta. Hannę Gronkiewicz-Waltz zaplanowano jako jednego z ostatnich gości.

Niestety. Im dłużej trwa kampania, tym gorzej idzie pani prezes i na przekór faktom tym większą ma ona wiarę w swoje zwycięstwo. Wiarę opiera na wierze. Wierze w boski plan, w myśl którego z pewnością zostanie prezydentem. Sondaże tego planu nie biorą jednak pod uwagę i pani prezes leci w nich na łeb na szyję. Kolejni stronnicy opuszczają sztab i przechodzą pod skrzydła Lecha Wałęsy, któremu coraz bardziej zagraża pływający w rytmie disco polo Aleksander Kwaśniewski. Gdy pod koniec kampanii sam Ryszard Czarnecki próbuje przekonać kandydatkę do rezygnacji na rzecz Wałęsy, słyszy - co później opowiadał w wywiadach - że „Duch Święty zapewnił ją, że wygra te wybory”. (Swoją drogą ta wypowiedź przykleiła się do przyszłej prezydent Warszawy na lata). Hanna Gronkiewicz-Waltz zostaje praktycznie sama, jeśli nie liczyć wspomnianego Ducha. Zbliża się ustalony wcześniej termin wywiadu w Zecie. W zasadzie to redaktorzy nie za bardzo mają ochotę go przeprowadzać. Pani prezes już nikogo (poza kabareciarzami) nie interesuje. Słowo

się jednak rzekło, zasady ustaliło, nadchodzi dzień audycji.

Większość kandydatów do radia przychodziła ze świtą współpracowników, ochroniarzy, rzeczników, marketingowców i kogo tam jeszcze. Prowadzący program wypatrują więc świty. Oto na dole jest i pani Hanna. A świta? Coś tam już świta. Z ciemnej, ciasnej, starej windy w ówczesnej siedzibie Zetki wychodzi kandydatka, a w ramach jednoosobowej świty... Kto? Stefan Niesiołowski!

- Panie pośle, wszyscy już zostawili panią prezes i popierają Wałęsę - przytomnie, acz może niezbyt taktownie zauważa redaktor Morozowski. - A pan wciąż w sztabie? Jak na wytrawnego polityka to dosyć dziwne - dodaje.

- Panie redaktorze - odpowiada Niesiołowski w swoim typowym stylu. - Najpierw się jest mężczyzną, a potem politykiem. Mężczyzna w takiej sytuacji nie może zostawić kobiety samej!

No i co? Gdzie są chłopcy z tamtych lat?

## WC TV

Na koniec wypraw okołopolitycznych wizyta w toalecie. Wbrew pozorom będzie bardzo poważnie, ale najpierw konieczna dygresja wprowadzająca. W telewizyjnym rzemiośle reporterskim współpraca na linii dziennikarz - operator kamery to klucz do sukcesu. Przez lata wspólnej pracy powstają teamy przypominające nieco stare dobre małżeństwa: nie muszą już zbyt wiele ze sobą gadać, bo i tak rozumieją się bez słów. Kłóćą się zresztą też bez niepotrzebnych słów. Operator doskonale wie, jakich zdjęć potrzebuje pracujący z nim dziennikarz, dziennikarz nie musi myśleć o każdym ujęciu, bo również doskonale wie, że wszystko, co ważne, i tak będzie nagrane.

Zabawnie bywa, gdy z doświadczonym operatorem w teren rusza kompletnie zielony stażysta. Dawno temu w krakowskim oddziale TVN stażystka znana jako Białe Frugo (bo było też oczywiście Czarne Frugo) pojechała przygotowywać relację z kopalni w Wieliczce. Zasada wówczas była taka, że operator miał co prawda kamerę, ale już za taśmę odpowiedzialny był dziennikarz. Frugo o tym wiedziała, ale akurat tego dnia występowała w wersji zakręconej, więc taśmy z firmy nie wzięła. Ekipa dojeżdża na miejsce, operator prosi o kasetę, Frugo oczywiście jej nie ma - ma za to plan awaryjny:

- To ty zjedź pod ziemię, zrób parę obrazków, a ja wrócę do firmy po taśmę i później ją wsadzimy do kamery, dobra?

Inna stara legenda telewizyjna opowiada o dziennikarzu, który na pytanie, czego sobie życzy w warstwie zdjęciowej, odpowiedział:

- Panowie, zróbcie tak, aby było kolorowo i dobrze się montowało.

Jak sobie zażyczył, tak też dostał. Całą półgodzinną kasetę kolorowych pasków kontrolnych. Czerwony, zielony, niebieski. Tak zwany Łowicz.

Równie ciekawie robi się, gdy za telewizję biorą się radiowcy, którym wydaje się, że telewizja to nadal radio, tylko że z lufcikiem. W początkach TVN24 przez kilka dni wszyscy reporterzy kadrowani byli bardzo szeroko, od kolan w górę. Wyglądało to dosyć oryginalnie i znakomicie pokazywało letnią modę początków XXI wieku: szerokie, jasne garnitury, pastelowe koszule i grubo wiązane krawaty. Operatorzy zgrzytali zębami, ale zarządzenie to zarządzenie - filmowali więc dziennikarzy, kadrując trzy czwarte sylwetki z uciętymi łydkami. W terminologii filmowej taki kadr zwany jest amerykańskim i stosuje się go czasem, aby pokazać rozmówcę na konkretnym tle lub dwie rozmawiające ze sobą osoby. Skąd więc pomysł, aby wprowadzić to jako obowiązujący standard? Podobno komuś wydawało się, że

plan amerykański to wymysł amerykański, a skoro tak, to niczego lepszego na świecie nie ma i u nas też będzie pięknie jak w Ameryce.

Inny dziennikarz świeżo zaimportowany z radia był przekonany, że w telewizji zdjęcia robią kierowcy. Bo skoro ten facet z kamerą prowadzi zwykle samochód, to jest kierowcą, prawda? Niejeden stary operatorski wyga pamięta to do dziś. Pamiętają też, którzy dziennikarze nazywają ich kamerzystami - a tego, kochani, nigdy nie róbcie. Bo będziecie bardzo brzydko wyglądać w telewizji. Naprawdę. Kamerzysta już o to zadba. Pan operator miewa bowiem swoje humory i czasem lubi o sobie przypomnieć. Tyle tytułem przydługiego wstępu.

Niezły numer wycięła Wojciechowi Nomejce z TVP jego sejmowa ekipa. Ekipa doświadczona i zgrana, z tysiącami zrobionych newsów na koncie. Może mieli gorszy dzień, może redaktor źle spojrział, w każdym razie wywiązała się dyskusja. W senacie. A trzeba jeszcze nadmienić, że w przeciwieństwie do sejmu w senacie trudno zrobić pasjonujące kino akcji. Łoża dziennikarska jest maleńka i z boku sali. Jedną trzecią senatorów filmuje się więc od tyłu, reszta siedzi na swoich fotelach, kularów nie ma, a do tego sala posiedzeń tchnie estetyką początków polskiej transformacji. Słowem: Hollywood.

- Zróbcie mi obrazki - zarządził pan redaktor.

- Ale jakie? - zapytał pan operator.

- No nie wiem, cokolwiek!

- A konkretnie?

- Cokolwiek, no mówię!

- OK, jak stryjenka sobie życzy - zakończył operator, zwołał ekipę i udał się robić zarządzane obrazki.

Cokolwiek to cokolwiek. Redaktor zniknął z pola widzenia. Operator bierze kamerę i statyw. Jego asystent (w TVP ekipy mają rozmach fabularny - nie to co w innych stacjach, gdzie pracuje się w duetach) chwyta walizkę ze światłem, dźwiękowiec zakłada na szyję mikser, na głowę słuchawki, a do ręki bierze profesjonalną tyczkę z mikrofonem. Idą. Gdzie? Do toalety. Otwierają drzwi. Rozstawiają lampy, zakładają odpowiednie filtry. Kibelek zalewa łagodne światło. Za muszlą stawiają kontrę, dzięki czemu porcelana pięknie rysuje się w obiektywie. Ujęcie pierwsze. Plan pełny. Zbliżenie. Otwieranie klapy. Przebitka na spluczkę. Leci woda. Dźwiękowiec zadbał, aby słycać ją było lepiej niż wodospad Niagara. Zamykanie klapy. Pstryk, asystent gasi lampy. Dźwiękowiec składa profesjonalną tyczkę. Wyłącza mikser. Koniec zdjęć. Ekipa opuszcza toaletę.

- Macie wszystko? - Oto pojawia się znów pan redaktor.

- Mamy.

- No to wracamy do firmy.

Kilkanaście minut później cała redakcja podziwia najpiękniej ograny kibelek w historii Telewizji Polskiej. Ale spokojnie, to byli jednak profesjonaliści. Klasyczne porywające zdjęcia z posiedzenia senatu też zrobili.

Kończymy, spuszczaamy na politykę wodę i lecimy dalej. Już za chwilę w studiu powitamy gości. Nie zawsze tych, których chcielibyśmy powitać, nie zawsze dobrze przygotowanych i nie zawsze miłych. Niektórzy sami wyjdą. Z siebie i ze studia też.

## NIEZŁY GOŚĆ

Goście w telewizji pojawiają się od rana i towarzyszą nam do późnego wieczora. Omawiają, komentują, kłócą się, czyli wprowadzają pożądany element dynamiczny. Nieraz tylko zamiast dynamizmu wychodzi dynamit wybuchający w najmniej oczekiwanym momencie - czasem za sprawą gości, a czasem prowadzących. Zacznijmy od początku. Poranek, włączamy telewizor, w kuchni skwierczy nam jajecznicą, a w studiu pichną specjalność medialnego zakładu.

## TELEWIZJA NA ŚNIADANIE

Telewizja śniadaniowa przypomina trochę szwedzki stół zastawiony mnóstwem potraw. Sięgając po serek, trzeba uważać, aby nie wsadzić ręki w konfitury. Nieważne, czy jest to „Dzień Dobry TVN”, „Kawa czy herbata” w TVP1 czy też „Pytanie na śniadanie” w TVP2 - scenariusz zwykle jest podobny. Mnóstwo gości, mnóstwo tematów, musi być tempo. Nad porządkiem panuje wydawca programu, a prowadzący na wszelki wypadek mają w rękach kartki z kolejnymi punktami porannego show.

Oto właśnie „Pytanie na śniadanie”, jeszcze w czasach, gdy prowadził je przeniesiony później do TVN duet Dorota Wellman - Marcin Prokop. W studiu dzień jak co dzień, chociaż to akurat wydanie tuż przed sylwestrem. Goście się zmieniają. Następny w kolejności podobno jest wróżbita Maciej. Scenariusz tej części programu zakłada, że prowadzący podchodzą do gości siedzących na sofach i zagadują. Redaktor Prokop już widzi swojego rozmówcę. Facet ubrany jest w sari. Na szyi metalowa obroża, na rękach bransoletki. Na głowie ekstrawagancka fryzura przypominająca skrzyżowanie Dariusza Szpakowskiego z dońskim Kozakiem. Słowem: czarnoksiężnik, nie ma żadnych wątpliwości. Jak nie ma, to nie ma. Wydawca już odlicza:

- Trzy, dwa, jeden, jesteś.

- A teraz naszym gościem jest wróż Maciej, którego zapytamy o nadchodzące wydarzenia - zagaja Prokop. W swoim stylu barokowo dorzuca jeszcze dłuższy wstęp, po czym przechodzi do rzeczy. - Wróżu Macieju, co tam nas czeka w przyszłym roku? - pyta.

- Panie redaktorze - wróż powoli zaczyna przemowę. - W zasadzie to nie jestem wróżem, tylko profesorem. Wiesław Olszewski, historyk z Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Nie umiem więc wróżyć, ale na podstawie doświadczenia mogę przedstawić naukową prognozę.

I niewytracony z równowagi nieco ekscentrycznie wyglądający profesor (przy okazji podróżnik, co tłumaczy jego dziwny strój) snuje opowieść o możliwych wydarzeniach nadchodzącego roku. Prognoza jest bardzo zgrabna, tylko prawdziwy wróż może się czuć nieco zdziwiony, że oto właśnie w tym pytaniu na śniadanie ktoś mu zjadł konfitury.

Podobną przygodę ten sam duet prowadzących przeżył później w „Dzień Dobry TVN”. Kończy się przerwa na reklamę, na fotelach czekają już goście - doświadczone aktorki z długim stażem: Ewa Kuklińska i Magdalena Cwenówna, żona Adama Hanuszkiewicza. Rzecz się dzieje jeszcze za jego życia. Prowadzący siadają na swoich miejscach, wydawca

odlicza sekundy do wejścia, zapala się czerwona lampka ON AIR. Redaktor Prokop zagląda w kartkę ze scenariuszem i już wszystko wie.

- A teraz porozmawiamy o trudach i wyzwaniach młodego, świadomego macierzyństwa. - Już gdy kończy zdanie, widzi, że coś tu zdecydowanie nie pasuje. W dodatku siedząca obok Dorota Wellman zaczyna lekko drżeć, a to widoczna oznaka, że zaraz się zagotuje i wybuchnie.

- To w zasadzie interesujący temat, panie redaktorze - wyzwanie podjęła Magdalena Cwenówna. - Poniekąd jestem trochę matką Adama Hanuszkiewicza. Wie pan, w tym wieku jest on już nieco jak dziecko...

A co to się tym razem stało? Och, no niestety skleiły się kartki. Młode i świadome matki wciąż czekały na swój występ, zachłystując się w tym momencie poranną kawą.

Na śniadaniowy deser może ostatnia z Prokopowych przygód z gośćmi. To będzie rok 2001 lub 2002, czyli jeszcze czasy, gdy jako dobrze się zapowiadający młody dziennikarz prowadził w MTV program „Select”. Program szedł na żywo, do studia zapraszano zawsze muzyczną gwiazdę. Swoją pierwszą solową przebojową płytę wydał wówczas Andrzej Smolik. Smolik jak to Smolik - z nazwiska jest znany, ale już z twarzy trochę mniej. Z imieniem też bywa różnie, bo jednak w tytule płyty stoi tylko nazwisko. Artysta przychodzi, wita się, siada. Startujemy.

Rozmowa idzie dynamicznie, gość jest dowcipny i elokwentny, prowadzący oczywiście też - tylko że każde pytanie zaczyna od „Panie Bohdanie”. I tak w kółko. Co Smolik skończy odpowiadać, znów słyszy „Panie Bohdanie”. Trzydzieści minut programu minęło, zanim się obejrzel, na koniec gość tylko zaznacza, że chciałby coś jeszcze dodać:

- Wie pan - lekko zmieszany zwraca się do Prokopa. - W zasadzie to ja mam na imię Andrzej, a nie Bohdan...

Teraz nieco się zmieszał prowadzący. A skąd ten Bohdan? No cóż. Tak się jakoś skojarzyło i pomyliło. Smolik - Smoleń... W sumie podobnie brzmi, chociaż muzycznie to jakby nieco inna półka.



## REAKCJA ŁAŃCUCHOWA

O ile z artystami na ogół rozmawia się miło, a i sami są chętni do występów, o tyle z naukowcami zapraszany do mediów jest pewien kłopot. Rzadko kto ma taki dar jak słynny duet Kurek - Kamiński z programu „Sonda”. Stosunkowo najprościej jest jeszcze w przypadku astronomii. Tu wiedzę bardzo dobrze sprzedać umieją Jerzy Rafalski z Torunia, Karol Wójcicki z Centrum Nauki Kopernik czy doktor Krzysztof Ziółkowski z Polskiej Akademii Nauk. Ale taka fizyka? No właśnie. Jest na szczęście profesor Łukasz Turski, zawsze bardzo miły i chętnie dywagujący na tematy nawet nieco wybiegające poza fizykę. A więc fizyka medialna równa się Turski i nie bądź pan głab, praw fizyki pan nie zmienisz. Nie? A Beacie Tadli się udało.

W czasach, gdy pracowała w TVN24, poprowadziła chyba najciekawszą swoją rozmowę. Właściwie to goście poprowadzili ją za nią. Było to tuż po tsunami, które w marcu 2011 roku uszkodziło elektrownię atomową Fukushima. W studiu dwaj profesorowie: specjalista od energetyki jądrowej Władysław Mielczarski i wspomniany fizyk Łukasz Turski. Dyskusja była wybuchowa, ale prawdziwie niekontrolowana reakcja łańcuchowa zaczęła się na koniec.

- Dziękuję bardzo, profesor Władysław Mielczarski... - I tu prowadząca podnosi wzrok, a profesor już na równych nogach.

- Niech państwo nie zapraszają ludzi, którzy publicznie zarzucają mi...

- No to pan zarzuca mi różne rzeczy, a poza tym mówi pan rzeczy, które są nietolerowalne. - Profesor Turski też już wstał. Prowadząca siedzi i oczom nie wierzy.

- Ale panowie, ja jeszcze panów nie pożegnałam!

- Przepraszamy - mówią profesorowie i grzecznie siadają na powrót na swoich miejscach.

- Bardzo panom dziękuję, już mogą panowie kontynuować - ze śmiechem stara się skończyć redaktor Tadla, ale śmiesznie to dopiero będzie, bo panowie profesorowie zachętę do kontynuacji wzięli sobie do serca.

- Szkoda kontynuować - rzuca profesor energetyk, a program wciąż na antenie. - Z prymitywami, którzy... Pan mi zarzuca, że ja panu coś mówię?! Proszę pana, kto panu dał tytuł?!

- Proszę państwa... - próbuje podsumować tę część programu prowadząca.

- Kto panu dał tytuł, wieśniakowi jednemu?!

-...proszę państwa, kolejni goście przed nami.

No właśnie. Kolejni goście, kolejne tematy. Wśród nich: komputery i informatyka. Tu to dopiero jest kłopot z ekspertami mówiącymi ludzkim głosem. Sam odkryłem dla telewizji Jerzego Łabudę z magazynu „Komputer świat”, który tak potrafi mówić o bitach, bajtach i łączach, że każdego złapie w sieć. Do tego krótko i na temat. Ale Łabuda jest jeden, a tematów informatycznych mnóstwo. Czasem więc szukamy nieco na oślep, czego efektem może być jeden wielki *error*.

Do studia TVN24 zaproszono kiedyś młodego informatyka. Producentka znalazła go jakoś w internecie, skontaktowała się, porozmawiała, facet ma wiedzę, łeb jak sklep albo serwer. W chmurze, ale tego jeszcze nie wiedziała. Zapraszamy. Rozmowę w studiu prowadzi Marta Kuligowska. Pojawia się informatyk. Sweter, okulary, trądzik, kucyk. Szesnastolatek jak z kawałów o informatykach. Nie znacie? Naprawdę? Informatyk informatyka zaprasza na imprezę:

- Wpadaj, będzie świetna zabawa. Drinki, muzyka, ściągamy też panienki.
- Drinki i muzyka? Super! A ile tych panienek?
- A tak z dziesięć gigabajtów.

Tośmy się pośmiali, a teraz oddajemy głos do studia w Warszawie. Chociaż z głosem może być kłopot, bo informatyk przywykł raczej do klawiatury. Co prowadząca zadaje pytanie, słyszy tylko „tak” lub „nie”. Próbuje pytań nieco bardziej otwartych, dostaje odpowiedź mieszczącą się w kilku bajtach. W dodatku zakodowaną jak system binarny. Czas dłuży się niczym gra wgrywana z kaseciaka na atari. Rozmowę zaplanowano na sześć minut, dwie minęły, a tu wciąż tylko „tak” i „nie”. No to jednak nie. Dostyc tego. Wydawca do ucha gorąco namawia na kontynuację, ale redaktor Kuligowska już widzi, że tu pomoże tylko zamknięcie systemu zanim ostatni telewidzowie się przegrzeją i wcisną na pilocie reset. Trzecia minuta, koniec rozmowy. *Game over*.

## TERAZ MY ROBIMY AFERĘ

Żaden *over*. Gra z gośćmi dopiero się rozkręca, ale zanim zaprosimy następnych, proste pytanie: czy wiecie, że tytuł programu „Teraz my!”, czyli największego publicystycznego show w historii TVN, nawiązywał do Jarosława Kaczyńskiego? Było to jeszcze za czasów Akcji Wyborczej Solidarność. W jednym z wywiadów Kaczyński stwierdził: „W AWS jest silne ugrupowanie o nazwie TKM, ale to nie jest cały AWS”. Dzieci muszą przeskoczyć do następnego akapitu, rozwinięcie skrótu jest bowiem niecenzuralne i brzmi „Teraz, k... my”. Tyle lat minęło, o Akcji Wyborczej Solidarność dzieci uczą się już na historii - chociaż pewnie pomija się wątek TKM, a szkoda, bo w przeciwieństwie do AWS to ugrupowanie wciąż ma się znakomicie. Zmienia tylko szyldy. To był wtęret historyczno-etymologiczny, a teraz do rzeczy.

Program Tomasza Sekielskiego i Andrzeja Morozowskiego „Teraz my!” na antenie TVN chodził tylko (może aż? czasy się zmieniają...) pięć lat, ale w historii dziennikarstwa i polskiej polityki zdążył zapisać się: aferą taśmową, aferą billboardową, Dodą śpiewającą dla premiera czy wiwisekcją generała Jaruzelskiego. Przy okazji także garścią soczystych anegdotek. Po kolei.

Afera taśmowa to chyba najśłynniejsze odkrycie duetu Sekielski - Morozowski. Dwa słowa przypomnienia: chodziło o to, że po rozpadzie koalicji Prawa i Sprawiedliwości, Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony politycy Prawa i Sprawiedliwości podkupywali i przekonywali posłów partii Andrzeja Leppera, aby porzucili barwy klubowe i dołączyli do drużyny Kaczyńskiego. Lepper mówił nawet o tym na konferencjach, ale mówić to jedno, a mieć w rękę twardy dowód - drugie. Tylko jak go zdobyć? Sekielski z Morozowskim skontaktowali się z Januszem Maksymiukiem z Samoobrony, ten wyznaczył Renatę Beger do roli przynęty. W pokoju hotelu sejmowego zainstalowano ukryte kamery, zarzucono haczyk i nawet nie trzeba było długo czekać - rybka chwyciła. Nagrali się poważni politycy partii rządzącej składający pani Renacie równie poważne oferty, jeżeli tylko - cytat - „z grupą kilku osób” przejdzie do PiS-u. Kiedy już redaktor Morozowski wiedział, że rybka chwyciła i że jest to raczej gruba ryba, a nie płotka, przyszło nieoczekiwane zaproszenie.

Michał Kamiński, wówczas jeden z dwóch (drugim był Adam Bielan) strategów wizerunkowych Prawa i Sprawiedliwości, zaprosił go na kinderbal. W tym miejscu mała dygresja: Michał Kamiński dla wielu dziennikarzy zaczynających kariery w początkach III Rzeczypospolitej to nie żaden pan poseł, tylko Misiek. Gawędziarz, lew salonowy, po prostu -

do rany przyłóż. Spotkania z nim są okazją do żartów, plotek i wspominek, ale także do załatwiania tego, czego oficjalnie załatwić się nie da: na przykład do namówienia prezesa Jarosława Kaczyńskiego na wywiad dla „Teraz my!”. Podchody i umizgi trwały od dłuższego czasu, równoległe zresztą z przygotowaniem do nagrań w pokoju Beger. Teraz nagrania już są, taśmy zmontowane, jest niedziela. Jutro poniedziałek i o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści trafią one na antenę. A tu ten kinderbal. Iść czy nie iść? No ale jak tu nie iść? Dopiero będzie podejrzana sprawa. Redaktor Morozowski idzie. Na miejscu zaskoczenie. Misiek rozpromieniony, ma niespodziankę dla gości z TVN. Jest decyzja! Prezes się zgodził na wywiad, może jutro przyjść do programu. Masz babo placek. Tu Kaczyński, a tu taśmy. Zderzenie prezesa z taśmami będzie wyglądało na bardzo grubymi nićmi szyty zbieg okoliczności z gośćmi. Z drugiej strony - jak tu odpuścić? Trudna rada. W końcu jednak pewnie pierwszy i jedyny raz w swoim politycznym życiu to Beger okazuje się ważniejsza od Kaczyńskiego. Redaktorzy uprzejmie dziękują, ale sami wiecie... Są plany, umówieni goście, ważna bieżączka polityczna, słowem: może za tydzień? No może... Przyjęcie powoli się kończy. Nadchodzi wieczór, pora „Faktów” i „Wiadomości”. Towarzystwo ogląda i komentuje, a Andrzej Morozowski czuje się bogiem. Ma w ręku coś, co jutro wywróci polityczny świat, a stojący obok luminarze PiS-owscy niczego nie przeczuwają. Swoją drogą - zastanawia się redaktor - ciekawe, ile razy Misiek i inni polityczni kumple, stojąc obok niego, byli w identycznej sytuacji i sami czuli się jak bogowie?

Po emisji programu z taśmami świat zadrżał, ale się nie zawalił. Zawaliła się za to koncepcja zaproszenia Kaczyńskiego, do TVN Prawo i Sprawiedliwość wolało teraz wysłać swojego człowieka od medialnych misji niemożliwych. To oczywiście Jacek Kurski, wówczas niezbyt pieszczotliwie nazywany bulterierem. Rozmowa - oględnie mówiąc - też nie była najprzyjemniejsza. A mówiąc wprost, to panowie skoczyli sobie do gardeł. Bez pardonu. W końcu poseł Kurski żegna się z widzami oświadczeniem:

- Takiego chamstwa w telewizji jeszcze nie widziałem - I wychodzi. Wzburzony wraca do domu? Gdzie tam. Czas na kolejną dygresję.

Program „Teraz my!” nadawano z Janek pod Warszawą. Przy szosie krakowskiej stoją tam obok siebie dwie hale, podobno kiedyś prowadzono w nich hodowlę indyków. W jednej nagrywany jest „Szymon Majewski Show”, w drugiej stoi dekoracja do show politycznego. Łączy je część „socjalna” dla gości. W niej sofy, fotele, stół. Na stole tace z przekąskami, kawa, herbata, sok i kieliszki z winem, gdyby któryś z gości po programie chciał się nieco odstresować. Często właśnie tak się dzieje. Z niektórymi gośćmi pozaantenne rozmowy przy winie trwają do późnej nocy. Publiczność już dawno wychodzi, światło w studiu gaśnie,

ekipa jedzie do domu. Zostaje stróż, redaktorzy i gość. A także Biuro Ochrony Rządu, jeżeli gościem jest premier - bo i tak się zdarzało. Wino zbliża ludzi od czasów antycznych, w XXI wieku wiele się nie zmieniło. Jacek Kurski też dobrze o tym wie, też uczestniczył w nocnych pogawędkach z dziennikarskim duetem. W końcu znajdują się nie od dziś. Koniec dygresji.

Po wybuchowej dyskusji w studiu Kurski wychodzi. Do części socjalnej. Siada na sofie i czeka. Prowadzący wciąż w studiu. Gasną światła, wychodzi publiczność. Prowadzący nadal w studiu, poseł na sofach obok kieliszków. Dziennikarze mają zgryz. Co robić? Po takiej kłótni na oczach całej Polski jak tu rozmawiać z Kurskim? Po prostu się nie da. A na pewno nie za szybko. To oczywista oczywistość, jak mawia prezes. Jak wyjdą teraz, ciąg dalszy wzajemnego obrażania mają jak w banku. Zwłaszcza że z pomieszczenia dla gości słychać podniesiony głos pana posła. Pewnie chce jeszcze dorzucić trzy grosze na koniec. Ale oto ktoś wchodzi z części wspólnej do studia. Może coś wie?

- Jest tam jeszcze poseł Kurski?

- Jest.

- Awanturuje się?

- Owszem.

- Co mówi?

- Pyta, gdzie są redaktorzy, bo chciał się z nimi napić wina i trochę pogadać...

Niewiele mniejszą temperaturę miała też rozmowa z Wojciechem Jaruzelskim. Prowadzący postanowili mu zadać wszystkie pytania, których zwykle w wywiadach dziennikarze bali się zadawać - dość powiedzieć, że nazajutrz wyjątkowo czuła na punkcie rozliczania Jaruzelskiego „Gazeta Wyborcza” dała tekst pod tytułem *Teraz my zabijemy generała*. Wywiad na żywo rzeczywiście był ostry i to od samego początku. Po kilkunastu minutach przerwa na reklamę. Gaśnie czerwona lampka na kamerze. Jaruzelski twardo siedzi przy stole. Prowadzący też. Atmosfera ciężka jak transporter opancerzony.

- Powinienem wyjść - przerywa milczenie generał. - Powinienem wyjść.

- No... w każdej chwili może pan przecież wyjść - odpowiada Morozowski. - Może pan po prostu wyjść.

-...ale to byłoby... - Jaruzelski zrobił krótką pauzę - to byłoby tchórzostwo!

## GORĄCO WITAMY ZIMNO

W przeciwieństwie do generała Jolanty Kwaśniewskiej w programie „Teraz my!” nikt słowem chłostać nie zamierzał. Bardzo trudnych pytań też raczej nie przewidywano. Goleń i flaga były już historią, o chorobie filipińskiej jeszcze nie słyszano. Było to tuż po lub w okolicy wyborów z 2005 roku. Aleksander Kwaśniewski kończył właśnie drugą kadencję, a autorzy programu chcieli na nią spojrzeć z innej strony. Strony żony. Podobnie jak w przypadku Jarosława Kaczyńskiego rozmowy o jej wizycie w studiu trwały miesiącami. W końcu się udało. Pierwsza Dama przybędzie, po co więc zapraszać gości - powiedzmy - awaryjnych. Zapowiada się świetny program.

Około siódmej wieczorem na planie zjawiają się oficerowie Biura Ochrony Rządu. Psy obwąchują każdy kąt, redaktorzy chowają kanapki, pirotechnicy sprawdzają dekorację, wszyscy wchodzą, nikt nie wychodzi. Standard przy wizytach na tym szczeblu. Wybija dwudziesta. Do pokoju autorów wpada wyraźnie zdenerwowany kierownik produkcji:

- Panowie, BOR się zwinął!

Jak to - zwinął się? Przecież to niemożliwe. Oficerowie muszą czekać do przyjazdu ochranianego VIP-a. Ale niestety. W hali BOR-owców nie ma. Zabrali psy, kanapek nikt nie ruszył. Czuć bardzo wyraźną woń kłopotów. Chyba z wizyty Pierwszej Damy nici, cały fantastyczny pomysł na program trafia właśnie szlag. Ale tak bez zapowiedzi? Czas na telefon do przyjaciela. No, z tym przyjacielem to może lekka przesada. Telefon do Waldemara Dubaniowskiego, szefa Gabinetu Prezydenta.

- Co się stało? Miał być wywiad! Tygodnie przygotowań za nami, a tu przed chwilą ochrona wyszła z planu...

- No tak, niestety. Pani Prezydentowa nie przyjdzie. Strasznie zachorowała.

- Jak to zachorowała? Ale my tu mamy lekarza w pełnej gotowości i to lekarza cudotwórcę! Raz jak miałem czterdzieści stopni - próbuje przekonać ministra redaktor Morozowski - to mi dał taką miksturę, że zapomniałem o chorobie. Na dwie godziny programu, bo potem oczywiście mnie zważyło z nóg. To może jednak?

- Nie - ucina minister. - Ale jeszcze porozmawiam z Panią Prezydentową i oddzwonię.

I tu dopiero trzeba zadzwonić do przyjaciela, czyli do w miarę znajomych polityków, którzy zgodzą się przyjść na żywioł, za dwie godziny wejść na antenę i uratować program, wiedząc, że jeżeli Kwaśniewska jednak się zgodzi, to mogą wracać do domu. Gdy Morozowski przekonuje Dubaniowskiego, Sekielski obdzwaniania partię. W końcu udaje się

namówić Tomasza Nałęcza i Artura Zawiszę. Obaj panowie są bardzo medialni, błyskotliwi i celnie rzucają bon motami - tyle że powiedzmy sobie szczerze: nawet stu Nałęczów i Zawiszów nie zastąpi jednej Pierwszej Damy. Ale oto pojawia się iskierka nadziei, oddzwania minister Dubaniowski.

- Pani Prezydentowa jednak nie przyjdzie.

- Ale my na wszystko się zgodzimy! Złote góry obiecamy, może jednak...

- Panowie - przerywa minister. - Ja wam powiem prawdę. Ona wcale nie ma gorączki. Ma zimno na wardze i źle wygląda.

- Królu złoty! - Słysząc głuchy łoskot, redaktorom kamień spadł z serca. - My tu mamy charakteryzatorki lepsze niż w Hollywood, najlepszych oświetleniowców na świecie i operatorów od mistrza Wajdy. Zrobimy taki make-up, ustawimy takie światło i pokażemy pod takim kątem, że żadnego zimna nie będzie widać!

I faktycznie, mroząca krew w żyłach sytuacja nieco się ociepla. Dubaniowski znowu oddzwania, Pierwsza Dama się zgodziła. Przyjeżdża i jest piękny show. Show, który wywaliłby się o pryszcz. Opryszczkę.

Jeszcze może opowieść z początków programu. Koncepcja zakładała, że zawsze będzie on nadawany na żywo - no ale w dzisiejszych czasach, gdy większość talk-showów jest nagrywana i kolaudowana, to jednak spore ryzyko. Chociaż próby trwały dwa miesiące, to jednak dyrektor programowy Edward Mischak zarządził przed wpuszczeniem na antenę przygotowanie programu zerowego, czyli takiego, który będzie wyglądał identycznie jak gotowy produkt, ale nigdy się nie ukaże. Plan niezły, ale skąd wziąć pierwszoligowych polityków, którzy zgodzą się na udział w takim programie, wiedząc, że swój czas poświęcają tylko po to, aby redaktorzy przekonali szefów stacji, że pomysł chwytą i żre? To jeszcze gorsza rola niż gość awaryjny zastępujący Panią Prezydentową. Ten przynajmniej ma szansę zaistnieć na antenie - gość programu zerowego zaistnieje tylko w archiwum.

Jedynie wyjście to zagrać w otwarte karty. Zadzwoń do znajomych posłów i nie kręcąc, powiedz im, do czego są zapraszani, ale jeżeli dzięki temu występowi program pojawi się w końcu na antenie, to i oni w przyszłości też się w nim pojawią. Jasne. A gdyby tu było przedszkole w przyszłości i wasz synek mały tędy przechodził w przyszłości? No nie. Redaktorzy dzwonią. I co? Sukces! Dwóch posłów się zgodziło na udział w takim ustawianym show. Pierwszym był przedstawiciel Prawa i Sprawiedliwości Michał Kamiński. Na Miśka zawsze można liczyć. A drugim - oczywiście ktoś z Platformy. Kto? Nie uwierzcie. Pan poseł Bronisław Komorowski. Czasem hasło „Teraz my!” może być bardzo prorocze. Bez dodatkowych określeń oczywiście.

## CZAS NA NAS

Powoli już dziękujemy gościom, na koniec tej części programu sytuacja odwrotna. Goście podziękują prowadzącym. Andrzej Morozowski w 2005 roku zorganizował w TVN24 debatę niszowych kandydatów na prezydenta Rzeczypospolitej. W studiu stawili się: Jan Pyszko, Adam Słomka i Stanisław Tymiński. Redaktor rozpoczął od przypomnienia, że w sondażach przytaczanych przez Polską Agencję Prasową wszyscy ci kandydaci cieszą się stabilnym, zerowym poparciem. Początek więc jak u Hitchcocka, a potem napięcie tylko rosło.

Padaly pytania: A po co startują? A ile kosztuje kampania? A nie są to może jednak wyrzucone pieniądze? Na co właściwie liczą, skoro poparcie ani drgnie? Pierwszy nie wytrzymał Słomka, chociaż to akurat chyba źle powiedziane. Adam Słomka - były działacz Konfederacji Polski Niepodległej - ma przecież ogromne doświadczenie w branży demonstracji politycznych, po prostu więc wyczekał na odpowiedni moment, wstał i wyszedł, ciągnąc za sobą przypięty nadajnik mikrofonu. Stanisław Tymiński też postanowił wykorzystać zamieszanie. Oświadczył, że w życiu nie widział tak napastliwych i wrednych dziennikarzy, po czym również wstał i poszedł. Na miejscu został tylko Jan Pyszko. Ale nie na długo. Korzystając z nielimitowanego już czasu antenowego i braku konkurentów, wygłosił długie i dramatyczne oświadczenie na temat przyszłych losów Rzeczypospolitej i też zaczął się zbierać. Na wizji, na żywo. Redaktor Morozowski serdecznie podziękował mu za wytrwałość i tak debata się skończyła.

Kandydaci, którzy wyszli, daleko jednak nie odeszli. Nie trzasnęli drzwiami, nie wypadli z hukiem z siedziby TVN-u. Stanęli poza zasięgiem kamer i czekali na koniec debaty. Gdy Jan Pyszko skończył tyradę, a Andrzej Morozowski program, zaczęła się dogrywka, jeszcze ciekawsza. Goście - oględnie mówiąc - dali upust swojemu rozczarowaniu poziomem dzisiejszego dziennikarstwa. Ale to naprawdę powiedziane jest bardzo oględnie. Mówiąc wprost, o mały włos, a doszłoby do rękoczynów, zresztą obie strony miały wsparcie: kandydaci - rosłego asystenta jednego z nich, redaktor - pracownika straży TVN. Na szczęście po wzajemnej wymianie uprzejmości (a może ocenie argumentów siły) strony się pożegnały. Raczej niezbyt wylewnie.

Swoją drogą Andrzej Morozowski ma do gości wyjątkowe szczęście. To przecież u niego w programie Jan Rokita skończył swoją karierę polityczną. Rok był 2007, jeszcze trwała IV Rzeczypospolita, a we wracającej III RP niedoszły premier z Krakowa nie miał już



przyszłości. Ogłosił więc zakończenie kariery. Skąd ta dramatyczna decyzja?

- Bo kocham moją żonę oraz by dowieść przed samym sobą, że dochowuję własnych standardów - oświadczył.

Mało kto pamięta, ale powodem odejścia Jana Rokity było przyjęcie przez Nelli Rokitę funkcji doradcy prezydenta Lecha Kaczyńskiego do spraw kobiet. Po wygłoszeniu oświadczenia Rokita jeszcze dodał uwagę o ludobójstwie Rosjan na narodzie czeczeńskim, Morozowski zauważył, że rozmówca popada mu w patos, na co ten wypalił:

- Myślę, że powinniśmy skończyć tę rozmowę.

Po czym panowie podali sobie ręce i Rokita opuścił studio, zaskakując nieco dźwiękowca, bo gdy wstawał, przypięty mikrofon wydał z siebie okropny metaliczny zgrzyt.

Drobnym zgrzytem żegnamy naszych gości wychodzących ze studia, w następnym odcinku reporter w terenie usiłuje nagrać wywiad. Opisane wyżej perypetie z gośćmi przychodzącymi do studia to przy tym pikuś. Za chwilę dowiedzimy, że rasowy dziennikarz nie odpuszcza nigdy. Nawet jak mu się Sting zamknie w toalecie, to i tak przeprowadzi z nim rozmowę.

## AS WYWIADU

Ech, przeprowadzić tak wywiad z prezydentem Stanów Zjednoczonych albo znaleźć się sam na sam z prezydentem Rosji. Porozmawiać na spokojnie z Mickiem Jaggerem albo nagrać ekskluzywny wywiad z Michaeliem Jacksonem. Niejeden dziennikarz o tym marzy, nieliczni dostali takie szanse, ale tylko prawdziwi mistrzowie potrafili je koncertowo wykorzystać - tak że z wywiadu nici, ale za to sami przeszli do legendy. I to jakiej!

## POLAND OK?

To chyba najczęściej opowiadana anegdota dziennikarska. Ile ma już wersji! Nie zmienia się główny bohater: Wojciech Nomejko, reporter polityczny telewizyjnej „Panoramy”. Zmieniają się za to lata, zmieniają się miejsca - raz jest to Kraków, raz Warszawa, raz sejm, raz Starówka. Zmienia się też drugi z bohaterów - prezydent Stanów Zjednoczonych. Raz jest nim George Bush, innym razem Bill Clinton. Nie zmienia się natomiast wywiad, jakiego Nomejce miał udzielić ów prezydent. Wywiad jest dosyć krótki, przytoczę go w całości:

- *Mister President, Poland OK?* - pyta Nomejko.

- *OK!* - odpowiada prezydent. Koniec wywiadu.

Opowieść zweryfikowałem u głównego bohatera i niech od teraz będzie to wersja obowiązująca. Wywiad powstał w 1994 roku, podczas pierwszej wizyty Billa Clintona w Polsce. Nie w Krakowie, tylko w Warszawie, nie w sejmie, tylko na Starówce. Konkretnie to przed pomnikiem Małego Powstańca.

Na miejsce ma przyjechać prezydent, złożyć kwiaty i wygłosić może króciutkie przemówienie okolicznościowe. Pierwszy przyjeżdża jednak redaktor Nomejko. Z ekipą, acz bez akredytacji. Pakuje się do wydzielonego taśmą na trawie sektora dla operatorów i fotoreporterów, w dodatku do części, z której jest lepszy widok i która oczywiście przygotowana jest dla dziennikarzy amerykańskich. Ale Nomejce nikt nie będzie w kaszę dmuchał. Wszedł i zejść nie zamierza, chociaż organizatorzy z ambasady USA od uprzejmych próśb zaczynają powoli przechodzić w stronę gróźb i zdecydowanie już zapomnieli o amerykańskiej zasadzie *keep smiling*. Za chwilę pojawi się Clinton. Wyruszył już z hotelu Marriott. Za jego limuzyną ciągnie się kolumna, w jednym z autobusów jadą akredytowani dziennikarze. Podczas takich wizyt niby mają lepiej, ale nie zawsze. Niby są cały czas w sercu wydarzeń i blisko VIP-a, ale to jednak VIP wszędzie jest pierwszy i muszą go gonić. Chwilowo więc przewagę ma nieakredytowany Nomejko. O ile nie da się zepchnąć z podwyższenia. Nie daje się. Zwłaszcza że oto podjeżdża pan prezydent.

Otwierają się drzwi limuzyny, krótkie powitanie, idzie przed pomnik. Zajechali też akredytowani dziennikarze, już łapią sprzęt, już biegną na podest. Ale tu czeka przecież silna ekipa „Panoramy”, zaraz będzie to Panorama Raclawicka i skandal dyplomatyczny... Ochrona trzyma naszych zuchów na dystans, Clinton się zbliża. Ścisną kolejne ręce, przechodzi obok kojca reporterów, Nomejko wychyla się zza ochroniarzy i krzyczy swoim potężnym głosem:

- *Mister President!!!*

A *Mister President*? Jak twierdzi Nomejko: nic. Przeszedł obok, złożył kwiaty, uklonił się i odjechał. To skąd się wzięło „*Poland OK*”? No właśnie. Dobre pytanie. Albo te słowa jednak w tym zamieszaniu i przepychance padły, albo rzucił je ktoś z widzów, albo złe języki zazdrośników postanowiły redaktora ośmieszyć (nawiasem mówiąc, sam Nomejko chwali się też nieco dłuższym wywiadem z Hillary Clinton przeprowadzonym podczas tej wizyty). W każdym razie okrzyk przykleił się do Nomejki na tyle, że kilka lat później postanowił sam do niego nawiązać. Był z wizytą w Kosowie, gdzie polskich żołnierzy tradycyjnie odwiedzał minister obrony. Przygotowując relację, redaktor skończył ją stwierdzeniem brzmiącym mniej więcej tak: „i kiedy zapytamy miejscowych, co sądzą o polskich żołnierzach, najczęściej usłyszymy: *Poland OK!*”.

## JELCYN W ODSTAWKU

Odpowiedź Clintona może nie była zbyt rozbudowana, pytanie też raczej z tych prostszych, ale Nomejko przynajmniej spróbował je zadać, co przy spontanicznych spotkaniach z prezydentami supermocarstw nie jest wcale takie proste - choćby nawet sytuacja sprzyjała, a sam pan prezydent nie miał nic przeciwko.

Rzym, połowa lat dziewięćdziesiątych. Prezydent Rosji Borys Jelcyn z szefem dyplomacji Jewgienijem Primakowem składają wizytę we Włoszech. Miejscowym korespondentem Radia Zet jest Jacek Pałasiński, który liczy, że przy okazji uda mu się zadać jedno pytanie w sprawie polskiej. Sprawa bowiem jest i to największego kalibru. Polska stara się o wejście do NATO, na drodze do paktu stoi jednak Rosja i jej twarde *niet* powtarzane w kółko, chociaż Lech Wałęsa twierdzi, że podczas wizyty prezydenta Rosji w Polsce odpowiednią zgodę na rosyjskim koledze wydebił. Najwyraźniej tylko Jelcyn nic o tym nie wie, bo dyplomacja rosyjska wciąż tylko *niet i niet*. Ale wróćmy do Rzymu.

Rosyjska delegacja mieszka w eleganckim hotelu. W jednym apartamencie minister spraw zagranicznych Jewgienij Primakow, w drugim - prezydent Borys Jelcyn. Dostać się tam nie sposób, wejścia strzegą ochroniarze, o żadnych wywiadach nie ma więc mowy. Naprawdę? Spokojnie, jesteśmy we Włoszech. Jacek Pałasiński mieszka tu ładnych parę lat i wie, jak miejscowi załatwiają sprawy niemożliwe. Pogadał dłuższą chwilę z portierem i już dowiedział się, którędy wejść, aby dostać się na piętro zajmowane przez Rosjan. Powinno być nawet trochę łatwiej, bo przed hotelu odjechała kolumna dyplomatyczna, a więc prezydenta już nie ma. Został tylko szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To nawet lepiej. O Jelcynie krążyły różne opowieści, Primakow natomiast zawsze trzeźwo oceniał sytuację. W zasadzie pytanie jest jedno: od czego Rosja uzależnia swoją zgodę na wejście Polski do NATO. Niby proste, no ale od odpowiedzi zależy przecież pomyślność i bezpieczeństwo Ojczyzny!

Jacek Pałasiński zakrada się na rosyjskie piętro i zajmuje stanowisko przy windzie. W myślach układa sobie pytania po rosyjsku: *gospodin ministr, skażycie... gospodin ministr, wtoroj wopros...* Wokół cicho i pusto. Ochrona została na dole i pilnuje hallu. Czekaemy. Trzeba włączyć i sprawdzić mikrofon. Działa? Działa. Nagrywa? Nagrywa. Świetnie. Czekaemy. Mijają minuty. Cicho, pusto. W którymś z tych apartamentów mieszka Primakow. Zaraz pewnie wyjdzie, potem jedno pytanie i jest piękny strzał, ekskluzywny news z Rzymu. Czekaemy. Nadal cicho i pusto. Jedno pytanie. Jeden rozmówca. Primakow. *Gospodin ministr, skażycie...* Czekaemy. Cicho... nie! Szczęknał zamek, skrzypnęły drzwi, z apartamentu

wychodzi... Jelcyn?! Wyraźnie zaskoczony patrzy na stojącego przy schodach człowieka z mikrofonem, chociaż nie wygląda, jakby miał wołać ochronę. Pałasiński zdębiał. Przecież Jelcyn wyjechał, w hotelu miał być Primakow! *Gospodin ministr*, a nie *gospodin prezident*... Jelcyn robi kilka kroków, Pałasiński nic. Zatkało go. Czeką na Primakowa. To nic, że na widelcu ma właśnie prezydenta Rosji. Zasadził się przecież na ministra. Jelcyn podchodzi do okna, patrzy nawet chyba zachęcająco na polskiego wysłannika, ten jednak wciąż nic. Z apartamentu wychodzi żona prezydenta. Może teraz? Nie, skąd. Czekamy na Primakowa. Jelcyn z żoną mijają redaktora, schodzą na dół i wyjeżdżają z hotelu. A udało się w końcu zapytać Primakowa? Ależ skąd. Wyjechał oczywiście tą kolumną, która wcześniej opuściła hotel. *Wot, eto taka istorija.*

## ENGLISHMAN IN WARSAW

Zostawmy już tę politykę, znacznie ciekawszymi rozmówcami są gwiazdy rocka. Politycy są przewidywalni, ich słowa wyważone - a tu nigdy nie wiesz, co ci odpowiedzą, nigdy nie wiesz, na jaki trafisz stan i humor. I nigdy nie wiesz, co z takiego spotkania wyniesiesz.

W 1996 roku do Polski pierwszy raz przyjechał Sting. Promował swoją nową płytę *Mercury Falling*. Było z tego wielkie halo, w owym czasie takie gwiazdy wcale tak chętnie do nas nie zaglądały. Patronat nad warszawskim koncertem miało Radio Zet. Całodniowa ramówka podporządkowana była koncertowi, reporterzy też przygotowywali okolicznościowe relacje: co czeka na gwiazdora w hotelu, skąd przyjeżdżają jego fani, czy policjanci słuchają The Police i takie tam. Miało być wszystko o Stingu, a jedyne, czego będzie miało zabraknąć, to wywiad. Sting w umowie zawarł punkt: żadnych wywiadów. No trudno. Nie to nie, trzeba po prostu zrobić więcej tak zwanych „boczków”, czyli wszystkiego, co się dzieje wokół koncertu.

Redaktor Michał Wójcik - wówczas początkujący reporter, a dziś szef magazynu „Focus Historia” - dostaje proste zadanie: jedź na lotnisko i nagraj, jak fani witają Stinga. Banał. Wsiada i jedzie. Na miejscu dziki tłum. Do hali przylotów nie ma jak się wcisnąć, ale... od czego są znajomi. Redaktor ma znajomego celnika. Celnik zbiera autografy i zawsze stara się odprawiać przylatujące gwiazdy. To jeszcze było przed World Trade Center, przed paranoją terrorystyczną. Procedury były nieco mniej ścisłe, a i kontrola czasem przymykała oko. Celnik otwiera służbowe przejście. Jeden korytarz, drugi. O kurczę, płyta lotniska! I właśnie wylądował piękny srebrny samolot Stinga! Maszyna dokołowuje na miejsce. Jeszcze pracują silniki, a już otwierają się drzwi. Wójcik nie wierzy własnemu szczęściu - jest (prawie) sam na sam ze Stingiem na płycie lotniska! Za chwilę będzie miał ekskluzywny wywiad! Długo się nie namyślając, sięga po mikrofon, a przy okazji też pamięcią wstecz. Co właściwie ten Sting ostatnio nagrał? O promowanej płycie *Mercury Falling* redaktor nie wie nic, no ale przecież kawałek *Englishman in New York* znają wszyscy. Nie ma czasu na myślenie, oto pan Sting. I pan Wójcik z mikrofonem na płycie też.

- Hello, Mister Sting, *Englishman in Warsaw*?

- What?! - Mina *mister* Stinga jest nie do opisania, mina redaktora Wójcika owszem: ma przyklejony najbardziej niedorzeczny uśmiech, na jaki mógł się w tej sytuacji zdobyć.

- What is your favourite Polish musician?

- Eee... Chopin?

- *No!* - Redaktor uśmiechnął się jeszcze milej. - *He is French*, ha ha! *Nice to see you, have a good concert, please say something to our listeners.*

- *Emmm... Hello, I am Sting. Good luck.*

- *Thank you, mister Sting!* - Wójcik sam nie może uwierzyć w to, co właśnie udało mu się zrobić. Ma ekskluzywny wywiad ze Stingiem! Może krótki, ale zawsze. Dzwoni do radia i chwali się swoim dokonaniem, przy okazji swoich kolegów raczy nazwać frajerami. Ci oczywiście próbują zachować pozory i zdyskredytować jego wielkie dzieło, ale on zaraz im pokaże. Zaraz jak tylko odsłucha.

Wkłada słuchawkę, włącza play. Szum. Stop. Play. Szum. Stop. Co jest, do cholery?! Play. Szum. Co to za szum?! Silnik... Samolot Stinga nie wyłączył silników. Nic się nie nagrało poza gwizdem lotniczej turbiny. Niedobrze. A on już ich tam zwyzywał od frajerów. Nic prostszego - trzeba powtórzyć wywiad! Gdzie jest Sting? W saloniku VIP. Z płyty do saloniku redaktora znów przeprowadza znajomy celnik. W środku gwiazdora jednak nie ma. Siedzi za to jego basista. Widzi Wójcika i zaczyna się śmiać. Znakomicie! Nawiązała się jakże teraz cenna nić porozumienia.

- Gdzie Sting?

- W kiblu - rechocząc, odparł muzyk.

Świetnie. Mamy go. Redaktor włącza mikrofon, sprawdza odsłuch i wkracza do toalety. Znaną metodą zagląda na poziom podłogi, widzi opuszczone spodnie - jest! Czeka.

- Szuuu - poleciała spuszczana woda, drzwi się otwierają. Sting we własnej odprężonej osobie.

- *Hello, Mister Sting!*

- *Yes?!*

- *Englishman in Warsaw?*

- *No!!!*

- *What is your favourite Polish musician?*

- *Chopin!!!*

- *No! He is French! Nice to see you, have a good concert, please say something to our listeners.*

- *Good luck!!!*

No i co, kto to mówił, że się nie uda?! Jest wywiad! Redaktor wraca do radia. Siada, obrabia dźwięk. Po montażu ekskluzywny wywiad, w którym Sting powiedział: „*yes, no, Chopin, good luck*”, trwa... siedem sekund.



## WEEKEND ZE STONESAMI

Sting to gwiazda pierwszej ligi, ale teraz będzie prawdziwa legenda. Rolling Stones. Stonesi jak dotąd byli w Polsce trzy razy, trochę częściej o Polskę się ocierali, ale jakoś nad Wisłę nie mogli skręcić. Tak na przykład było w 2003 roku, kiedy objeżdżali Europę. W samej Holandii dali pięć koncertów, u nas ani jednego. Podczas pobytu w Amsterdamie zorganizowano dzień dla prasy. Zebrano dziennikarzy z całej Europy, wynajęto barkę, na której zespół odpowiadał na z reguły podobne lub te same pytania kolejnych stacji radiowych. Każdy miał kwadrans, a na koniec obowiązkowo podkładał mikrofon, aby nagrać „*Hi, we are The Rolling Stones and you're listening to...*”. W naszym przypadku było to Radio Zet, które postanowiło przy okazji urządzić na antenie cały weekend ze Stonesami. Wysłano więc do Holandii reportera. Obiecałem, że nie powiem, kto to był.

Przyjeżdża na miejsce. Spokojna ulica, przy ulicy kanał, na kanale barka. Obsługa zapisuje kolejnego umówionego dziennikarza. Tak się złożyło, że nasz wysłannik trafił na koniec wyjątkowo długiego i męczącego dla zespołu dnia. W końcu nadchodzi jego piętnaście minut. Wchodzi. Chłopaki leżą porozwalani na sofach, na stole stoją niedopite szklanki z herbatą lub whisky. Raczej z tym drugim i to chyba dziś nie pierwszym. W powietrzu czuć dyskretną atmosferę coffee shopu. A zegar tyka i robota czeka. Kwadrans, ani sekundy więcej. Redaktor włącza mikrofon. Pierwsze pytanie oczywiście do Jaggera, ale Mick już tego dnia nie jest w szczytowej formie.

- Kiedy znowu przylatujecie do Polski?

- Musisz o to zapytać Keitha... - wybąkał lider.

- Zapytaj Wattsa. - Keith Richards też chyba nie jest w najlepszym nastroju.

- Dobrze jest - tak albo coś podobnego wyrzucił z siebie Charlie Watts.

- No dobrze. A jak wam się kojarzy Polska? Pamiętacie poprzedni występ? - Redaktor ma nagrać materiał na kilka weekendowych wejść, a jak na razie nie wygląda to najlepiej.

- Ughhh - Jagger chyba potwierdził.

- Tak, znamy Polskę... 1967 rok... - Richards się ożywił. Na chwilę. Za to nasz wysłannik zaraz zejdzie. Piętnaście minut męczarni. Jedyne logicznie ułożone i wygłoszone w tempie zdanie wywiadu brzmi: „*Hi. We are The Rolling Stones and you're listening to Radio Zet*”. Koszmar. Makabra. Z weekendu ze Stonesami raczej nici. W Warszawie udaje się skleić jakieś sześć minut i to głównie dzięki tłumaczeniom kryjącym postękiwania i posapywania zespołu. Szefowie nie są zbyt zadowoleni i - mówiąc oględnie - sugerują

redaktorowi, że nie pytał na każdy możliwy sposób. Ależ pytał, przecież pytał. Mógłby nawet zaśpiewać za bohaterami swojego wywiadu: „*Cause I try and I try and I try and I try. I can't get no, I can't get no satisfaction*”.

## KRÓL NA ZAKUPACH

Był Sting, byli Stonesi, teraz sam Król. W 1996 roku do Polski przyjechał Michael Jackson. Była to pierwsza, historyczna wizyta w ramach trasy HIStory World Tour. Gwiazdor zagrał na warszawskim lotnisku Bemowo. Patronem koncertu było radio RMF FM, które do obsługi wydarzenia wysłało wszystkie swoje siły, środki i reporterów. Wśród nich był Paweł Płuska, który śledził każdy krok gwiazdora, jeżeli tylko się dało, to na żywo, przez słynny żółto-niebieski wóz satelitarny. Zanim Jackson zaśpiewał, znalazł czas na zwiedzanie Warszawy. Przebrany w mundur i z maską na twarzy odwiedził ogród zoologiczny, szpital dziecięcy i Łazienki Królewskie. Traf chciał, że w Łazienkach czy to ochrona gwiazdora chwilowo osłabła, czy też może redaktor Płuska miał wyjątkowe szczęście - w każdym razie nagle znalazł się tuż obok Jacksona. Co za cudowne zrządzenie losu i niepowtarzalna szansa na wywiad!

- *Michael, how do you feel in Poland?* - zapytał.

Michael wziął do ręki jego żółto-niebieski mikrofon, pochylił się nad gąbką, słodkim głosem wyszeptał do sitka:

- *I love Poland!* - Po czym oddał lekko zdziwionemu Płusce mikrofon.

Koniec wywiadu, wkroczyła ochrona. Ale nic straconego. W planie wizyty były też odwiedziny w księgarni, gdzie gwiazdor wybierał książeczki dla dzieci. Księgarnia istnieje do dziś na tyłach warszawskich Domów Towarowych Centrum. Kilkanaście lat później wyborcze zakupy dla swoich córek robił tam też Grzegorz Napieralski, ale wróćmy może do Króla. Wybrał już część książek i poszedł na pierwsze piętro. Koszyk z zakupami został na dole. Redaktor Płuska wchodzi na żywo na antenę, bierze koszyk i relacjonuje. Co tam Michael kupił? Oto i pierwsza książka. Jane Fonda? A to ci dopiero. Co tam jeszcze jest? O, proszę państwa, musimy przerwać. Król już wraca. O, wskazał na nas. Może więc będzie szansa zamienić na żywo kilka słów? O, podchodzą jego ochroniarze. O, wylatujemy właśnie ze sklepu... Z Warszawy Paweł Płuska.

## KURCZĘ PIECZONE

Wizyty zagranicznych gwiazd to zawsze ciekawe tematy - ale gdy przyjeżdża skandalista, to dopiero jest hit. Co takiego wymyśli, czym zabłyśnie, jak zgorszy publiczność? W rankingu skandalistów Marilyn Manson ma pozycję dosyć wysoką. Raz podpalił perkusistę, innym razem odgryzł głowę kurczakowi, jeszcze kiedyś rwał Biblię, rzucając kartkami w publiczność. To ostatnie skopiował Nergal i też mieliśmy z tego spory skandal, a nawet proces, natomiast takiego kozaka, który spróbowałby przebić Amerykanina w dwóch pierwszych konkurencjach, to u nas nie było - chociaż prawie był i prawie się pojawił na antenie Radia Zet.

Działo się to chyba w 2001 roku. Marilyn Manson przyjeżdżał do Polski. Błdy strach padł na nasz spokojny kraik, więc do obsługi tego wydarzenia radio wysłało Pawła Łukasika (dziś w TVN24). Ten nieraz już udowadniał, że strach to uczucie mu obce. Nieraz też potrafił słuchaczy czymś zaskoczyć, czymś normalnie nie do zobaczenia. Właśnie. „Nie do zobaczenia”. Słynny magazyn reporterów Radia Zet, konkurencja dla „Zapraszamy do Trójki” - dziś już nie do usłyszenia, bo takich form komercyjne radio nie uprawiają. Wtedy jeszcze dbały o resztki misji. Cofnijmy się więc te kilkanaście lat wstecz.

Do popołudniowego magazynu przychodzi relacja redaktora Łukasika. Wydawcą jest Dariusz Prosiecki, dziś w „Faktach” TVN. Zakłada słuchawki i puszcza dźwięk.

- Marilyn Manson zbudował swój wizerunek na skandalach. Kiedyś podpalił perkusistę, ostatnio urwał głowę kurczakowi... - i tu nastąpiła dziwna cisza przerywana tylko dźwiękiem kilkakrotnie zapalanej zapalniczki, po czym... - a ja nazywam się Paweł Łukasik i też podpalam w radiu kurczaki!

Kurczaki na antenę jednak nie poszły. Autorzy magazynu zgodzili się, że akurat ten koncept redaktora jest ciekawy i oryginalny, chociaż zdecydowanie ani nie do zobaczenia, ani nie do usłyszenia, ani nawet nie do pomyślenia.

## GDZIEŚ DZWONIA

Na chwilę odwrócimy role. Czasem gwiazdą jest sam dziennikarz, zwłaszcza dziennikarz znany i z długim stażem. Zdarza się wtedy, że koledzy po fachu dzwonią z prośbą o komentarz. Mnie na przykład co jakiś czas proszą o wypowiedzi na temat Ursynowa jako klasycznego blokowiska PRL-u, bo tak się złożyło, że prowadząc od lat stronę poświęconą mojej dzielnicy i napisawszy jej monografię, uważam się w tej dziedzinie za eksperta. Na szczęście inni też tak sądzą.

A za eksperta w jakiej dziedzinie można uważać Marcina Prokopa? I to nawet nie dziś, gdy jest gwiazdą telewizji z licznymi dokonaniem na koncie, tylko ponad dziesięć lat temu, kiedy był redaktorem naczelnym magazynu popkulturowego „Machina”? Otóż zdziwicie się. Katolicka Agencja Informacyjna uznała go za specjalistę od nominacji kardynalskich i przeprowadziła z nim wywiad.

- Dzień dobry, Katolicka Agencja Informacyjna, czy pan Marcin Prokop?

- Tak, to ja. - Początkowo trochę się zdziwił.

- Chcielibyśmy poprosić o komentarz do ostatnich nominacji kardynalskich.

- Eee... Nominacji kardynalskich? - Prokop jeszcze bardziej zdziwiony, ale pomyślał sobie, że chyba jest już ważnym gościem, skoro dzwonią doń w sprawach wagi najwyższej.

- Tak, tak. Nominacji. - Teraz zdziwienie Prokopa zdziwiło jego rozmówcę. - Ale mówię z panem Prokopem, Marcinem Prokopem?

- Tak, to ja. Proszę pytać.

Agencja więc pyta, młody redaktor naczelny odpowiada, jak umie, ale coś rozmowa się nie klei. Chyba jednak dzwoniący spodziewał się czegoś innego. Może zraziły go liberalne poglądy, a może śmiałość ocen decyzji samego Ojca Świętego?

- Hmm. No dobrze. To ja wszystko zanotowałem - słychać z drugiej strony. - Wysłać do autoryzacji?

- Tak, tak. Bardzo proszę - Prokop może jest śmiały w komentowaniu, ale jednak opinie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej wymagają nieco chłodniejszej oceny.

- Adres ten co zawsze?

- Tak, tak. Nic się nie zmieniło.

- Marcin-prokop-małpa-jezus-żyje-pl?

- Nie, nie. Marcin-prokop-małpa-machina-pl.

- Machina...?

- Tak. Machina-pl.

- No dobrze. To ja dziękuję bardzo. Bóg zapłać.

I tu naszego Prokopa coś tknęło. Szybkie sprawdzenie w internecie i jest. Marcin Prokop. Z czasopisma „Jezus Żyje”. „No pięknie - myśli sobie redaktor. - Ciekawe, czy jemu z kolei inni wysyłają pytania o Black Sabbath?”.

## PRZEPRASZAM, MOŻNA?

Przez telefon można się pomylić - nazwisko się zgadza, a może i głos podobny? Ale pomylić się, rozmawiając twarzą w twarz z bardzo znaną osobą? O, żaden problem. Młodzi dziennikarze mają czasem spory kłopot z rozpoznawaniem znanych twarzy. Znane twarze mają bowiem to do siebie, że są znane, więc jeżeli taki żółtodziób zapyta kogoś, kim jest ta znana twarz, wyjdzie na kompletnego ignoranta. A tego za wszelką cenę każdy stażysta chce przecież uniknąć. No i oczywiście wpada w pułapkę.

Sejm, czasy IV Rzeczypospolitej, trwa barwna koalicja Prawa i Sprawiedliwości, Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony. Jednym z częściej pojawiających się w mediach działaczy LPR jest Wojciech Wierzejski. Krótko ostrzyżony blondyn, rocznik 1976. Czy podobny do Jakuba Sobieniowskiego z „Faktów” TVN, krótko ostrzyżonego blondyna, rocznik 1974? W oczach młodej reporterki telewizyjnej najwyraźniej tak. Nieco speszone dziewczę zaczepia na korytarzu redaktora Sobieniowskiego:

- Panie pośle, można?

- Słucham? - Redaktor zdziwił się nieco swoim nowym tytułem.

- Czy można poprosić pana posła o wypowiedź?

- Oczywiście. - Kolega Sobieniowski kątem oka rejestruje podśmiewających się dziennikarzy. - Słucham panią.

Dziewczyna pyta o Ligę Polskich Rodzin i jej stanowisko w jakiejś bardzo wówczas ważnej sprawie. Redaktorowi już świta, za kogo wzięła go młoda reporterka, dzieli się więc z nią krótką analizą polityczną, z której sam Roman Giertych na pewno byłby dumny.

- Czy może się pan poseł dla porządku jeszcze przedstawić? - Kończy wywiad ze znaną twarzą kandydatka na telewizyjną gwiazdę.

- Oczywiście. Wojciech Wierzejski.

W oczach reporterki widać ten błysk „tak właśnie myślałam!”, ale niestety... Chóralny rechot obserwujących scenę nieco starszych kolegów po fachu oraz własnej ekipy wyprowadza ją z błędu. To chyba nie jest jednak Wojciech Wierzejski, tylko inna twarz. Ale też znana!

Podobna historia przytrafiła się też Markowi Nowickiemu. Widać reporterzy „Faktów” często podpadają pod kategorię „skądś tego gościa znam, tylko kto to jest?”. Specjalizujący się w tematyce medycznej dziennikarz pojechał na Śląsk. Rok 2013, w Gliwicach przeprowadzono właśnie pionierską operację przeszczepu twarzy ratującego

życie. Zespołem lekarzy kierował profesor Adam Maciejewski. Czy podobny do redaktora Nowickiego? No cóż... Oba panów łączy to, że fryzjer nie ma przy nich zbyt dużo pracy. A poza tym to raczej trudno ich pomylić. Trudno, ale można. Przed konferencją w gliwickim Instytucie Onkologii do Marka Nowickiego podchodzi lekko poddenerwowany młody dziennikarz TVP Katowice.

- Panie profesorze, czy zechciałby pan przyjąć zaproszenie do naszego studia?

- Z przyjemnością, ale nie wiem, czy pańscy szefowie byliby zadowoleni.

- Ale o co chodzi? Czemu?

- Wie pan... Ja nie jestem profesorem Maciejewskim. Nazywam się Marek Nowicki i jestem dziennikarzem TVN - odparł redaktor, który ze swoją wiedzą mógłby oczywiście już być profesorem, chociaż raczej historii, bo takie właśnie studia skończył.

Czasem bywa jednak odwrotnie i to dla celebryckich dziennikarzy może być trudne do zniesienia. Gdańskie lotnisko. Trwa właśnie pierwsza edycja programu TVN „Mam talent”. Na odprawę czeka współprowadzący show, wspomniany przed chwilą Marcin Prokop. Dziesięć lat po wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej jest już pierwszoligową gwiazdą telewizji. Gdy tak stojąc w kolejce do kontroli, rozgląda się wokół, jego wzrok krzyżuje się ze wzrokiem strażnika granicznego. „Oho. - Prokop niejedną raz widział już takie spojrzenia. - Zostałem rozpoznany” - myśli i ma rację. Celnik już szturcha kolegę i coś mu szepcze, wskazując na dziennikarza. Ten w końcu dochodzi do stanowiska kontroli.

- No, naprawdę - zagaja strażnik. - Nieźle pan to zrobił. Jestem pod wrażeniem.

- Dzięki!

- No, naprawdę. Trudna to na pewno sztuka, ale niech pan powie: jak pan to zrobił, że wyszło tak realistycznie?

- Och, wie pan. To normalne w moim zawodzie.

- No właśnie. Ten pański zawód. Scenariusz, kamera...

- No, tak, tak. Scenariusz, kamera. - Prokop zastanawia się, do czego to wszystko zmierza? Czyżby funkcjonariusz był znajomym kogoś startującego w „Mam talent”?

- No, ja sobie myślę. - Strażnik nie tylko pomyślał, ale i familiarnie poklepał Prokopa po ramieniu. - Tak sobie myślę, że ten Rysiek po drugiej stronie też pana kiedyś klepnie i powie: „Dobra robota, panie Tomaszu!”.

Zaraz, zaraz. Co za Rysiek? Riedel. Z Dżemu. A ten Tomasz? To Tomasz Kot, który Riedla zagrał właśnie w filmie. Zresztą Kota też podobno myślą z Prokopem i podczas spontanicznych spotkań z publicznością nieraz słyszy:

- Panie Marcinie, pan koniecznie pozdrowi Dorotkę Wellman!



Pozdrawiamy więc wszystkich rozpoznanych i pomyłonych dziennikarzy. W następnym odcinku czekają nas pomyłki znacznie grubszego kalibru - te, przy których omawianiu przyda się maszyna robiąca „piii”. Jeżeli więc ktoś zaplanował czytanie dziecku na dobranoc, to niech lepiej przeskoczy dwa rozdziały. Czytelników pełnoletnich za to serdecznie zapraszamy. Porzucamy sobie mięsem. Na żywo albo w studiu.

## MOTYLA NOGA

Jak pamiętają wszyscy fani *Misia*, motyla noga była ulubionym przekleństwem Tomka Mazura. Nazwisko zobowiązuje może nie tyle do powtarzania jej na antenie, co do zgłębienia tematu. Zwłaszcza że z najlepszymi w tej dyscyplinie i tak nie mam co konkurować, bo jednak palnąć taką siarczystą k... w programie na żywo to naprawdę jest coś. Coś, co zapisuje się złotymi wielokropkami w historii polskiego dziennikarstwa. Zajmę więc pozycję Wujka Dobra Rada i na początek rada pierwsza: nie czytajcie tego na głos, bo w tym rozdziale od teraz wszystko drukujemy bez skrótów.

## ŚNIADANIE MISTRZÓW

Jeżeli chodzi o mistrzostwo w kategorii „bluzgi na antenie”, to mocnym pretendentem do tytułu niewątpliwie jest Marcin Meller. Zwłaszcza po swoim występie z listopada 2010 roku. W sobotnie południe na antenie TVN24 „Drugie śniadanie mistrzów” prowadzi oczywiście redaktor Meller, oczywiście na żywo. W kawiarnianym studiu Maria Czubaszek, Krzysztof Materna, Henryk Sawka i Janusz Zaorski. Trwa dyskusja o kształcie sceny politycznej, a konkretnie o tym, kto może przejść z Prawa i Sprawiedliwości do Platformy Obywatelskiej. Oddajemy głos do studia w Warszawie, właśnie prowadzący pyta Maternę:

- Krzysztof, ja wiem, że ty jesteś bliski Platformie, ale czy nie zaniepokoiłoby cię, gdyby jeszcze liberałowie PiS-owscy przystąpili do Platformy, to mielibyśmy, kurwa... - I tu redaktor błyskawicznym gestem zatkał sobie usta. - Oj, przepraszam! Przejęzyczyłem się... Przepraszam! Chciałem... yyy... Meksyk... W Meksyku... Partia rządząca... Instytucjonalna... Krótko mówiąc... - Nie jest dobrze, krótko mówiąc. Co gorsza, naprzeciwko Mellera siedzi Materna, który wyraźnie się gotuje. Aby nie parsknąć śmiechem, zasłania usta, co widząc, Meller też zaczyna się gotować, czerwieni się i bardzo szybko próbuje sobie przypomnieć, co właściwie mu się wymknęło? Może „kurczę”?

„Co ja powiedziałem?” - zastanawia się w duchu, ale widząc coraz bardziej ugotowanego Maternę, już wie, że to kurczę było jednak bardzo pieczone. Operatorzy puścili kamery, program leci więc bez trzymanki.

- Przerwywamy program? Bo będzie katastrofa! - wrzeszczy Mellerowi do słuchawki wydawca. Ale jak tu przerwać, co powiedzieć? Że kurwa poszła na antenie?! Katastrofa to już jest! Prowadzący nie może się pozbierać, operatorzy po cichu rżą, Materna schował twarz w dłoniach i chlipie ze śmiechu. I kiedy już wydaje się, że nic ich nie uratuje, że właśnie oglądają państwo nie drugie, tylko ostatnie śniadanie mistrzów świata, sytuację ratuje Henryk Sawka. Jak gdyby nigdy nic zaczyna opowiadać, że Kongres Liberalno-Demokratyczny to była świetna wolnorynkowa partia. Włącza się Janusz Zaorski i jakoś program wraca na prostą. Dobili do końca. Miesiąc później redakcja przygotowuje wydanie na Boże Narodzenie. Wydawca dostaje mailem drobną wskazówkę od szefa TVN24: „To jest program świąteczny. Może niech prowadzący popracuje trochę nad słownictwem?”.

## DZIADEK Z ANTENY

W „Drugim śniadaniu mistrzów” przekleństwo było tylko jedno. W „Antysalonie” na antenie TVP Info antysłownictwo połało się już szeroko, a prowadzący Rafał Ziemkiewicz dał się poznać jako bardzo niepokorny publicysta.

To wydanie programu było wyjątkowe, trafiło akurat na niedzielę z wyborami do europarlamentu w 2009 roku. W takie dni w telewizji informacyjnej obowiązkowymi punktami ramówki są konferencje prasowe Państwowej Komisji Wyborczej. Od rana co trzy-cztery godziny członkowie Komisji wychodzą na spotkania z dziennikarzami. Do zakończenia głosowania nie są one zbyt porywające. Ograniczają się do podania aktualnej frekwencji i przykładów łamania ciszy wyborczej lub utrudniania głosowania. A to, że ktoś gdzieś podrzucił ulotki, a to, że członek którejś z lokalnych komisji był w stanie wskazującym, ewentualnie „stękanie o tym, że ktoś w Olsztynie zatkał zamek yale w szkole” - jak to ujął Rafał Ziemkiewicz, komentując na antenie TVP Info poranną konferencję PKW.

Ziemkiewicz prowadził wówczas przedpołudniowy niedzielny program „Antysalon”, do którego zapraszał niepokornych (wtedy to słowo jeszcze nie było w szerokim obiegu) dziennikarzy. Tym razem wydarzenia tygodnia w studiu omawiali: Zuzanna Dąbrowska z „Dziennika”, Stanisław Janecki z „Wprost” i Łukasz Warzecha z „Faktu”. Chwilowo wydarzenia tygodnia przysłoniła jednak transmisja konferencji PKW, więc dziennikarze mieli czas dla siebie i wesoło komentowali doniesienia podawane na konferencji. Widzowie TVP tego nie widzieli ani nie słyszeli, na antenie leciał na żywo przekaz z Komisji. A tymczasem w studiu robiło się coraz weselej.

- Dziadek! Zejdź, kurwa, dziadek! - rzucił śmiejący się Rafał Ziemkiewicz w stronę ekranu, z którego zaawansowany wiekiem wiceprzewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej podawał kolejne mrożące krew w żyłach przykłady zakłócenia przebiegu wyborów. - Spierdalaj z tej anteny! - dodał Ziemkiewicz i tu wydawca musiał chyba do ucha przestrzec coraz weselszego prowadzącego, że wszystko, co mówi, jest nagrywane. - I bardzo dobrze, że się gra! Trzeba mieć jakieś minimum szacunku dla ludzi! - odparł na głos redaktor.

Ziemkiewicz najwyraźniej zapomniał o podstawowej zasadzie: każdy mikrofon i każdą kamerę traktuj jak włączoną i nagrywającą. Chcesz rzucić kurwą lub dosadnym dowcipem - zrób to poza zasięgiem, bo nie znasz dnia ani godziny, gdy ktoś nagranie odsłucha. Tym razem dzień jest znany: dzień po. Godzina też: druga w nocy. Wtedy TVP Info powtarza „Antysalon”. Nie może jednak powtórzyć puszczonej o dziesiątej rano konferencji

Państwowej Komisji Wyborczej. Na antenę trafia więc tylko obraz i dźwięk ze studia. Kiedy „dziadek” wychodzi do dziennikarzy i opowiada o zapchanym zamku yale w Olsztynie, widzowie zamiast pana sędziego z komisji widzą i słyszą redaktorów ze studia. Leci wszystko otwartym tekstem. I zamek yale, i kurwa, i spierdalaj z anteny. I minimum szacunku dla ludzi oczywiście też.

## ZATRZĘSŁO SIĘ

Jacek Pałasiński, dżentelmen stateczny i o bardzo szerokiej wiedzy, też raz dał się poznać widzom TVN24 z nieco innej strony. Marzec 2011 roku, tragedia w Japonii. Trzęsienie ziemi, tsunami, gigantyczne fale wdzierają się na ląd, z uszkodzonej elektrowni atomowej ulatnia się radioaktywny pył. Wszystko dzieje się na żywo, przerażający przekaz transmituje chyba każda stacja informacyjna na Ziemi. Woda zalewa miasta, zmywa samochody z autostrady, porwanymi z morza statkami rzuca w domy. Kilka minut po trzęsieniu światowe agencje udostępniają zdjęcia z monitoringu różnych budynków i widać, jak reagują zaskoczeni kataklizmem ludzie.

W popołudniowym programie „Świat według Jacka” swoje pierwsze podsumowanie dramatycznych wydarzeń dnia przedstawia redaktor Pałasiński.

- Proszę zobaczyć moment, w którym uderzyło trzęsienie ziemi - zapowiada.

Widzowie (i redaktor zresztą też) oczekują w tym momencie właśnie wymienionych wyżej obrazów uderzającego żywiołu... Ale nie. Na ekranie pojawia się mapa wysp japońskich z zaznaczonym epicentrum oraz kręgami wyznaczającymi kolejne stopnie w skali Richtera wstrząsów odczuwanych w danych miejscowościach. Mapie towarzyszy kompletna cisza. Prowadzący nie komentuje. Mijają sekundy. Wreszcie pojawia się film z jakiejś księgarni. Regały się trzęsą, lampy chybczą, przestraszeni sprzedawcy nerwowo spoglądają. Redaktor prowadzący też się zdenerwował.

- Po chuj ta mapa weszła?! - wypalił.

Niestety... Dźwiękowiec akurat nie zamknął mu mikrofonu i widzowie też usłyszeli dosadną uwagę. Trudno. Telewizja na żywo ma swoje prawa. Ale jak to się stało, że taki dżentelmen nie wytrzymał? Jacek Pałasiński zdradził mi, że zadziałał trochę jak automat:

- Kiedy pojawiła się ta mapa i zapanowała dłuższa cisza, dostałem na ucho od wydawcy krótki sygnał: „no mów!”. No to powiedziałem.

## RESZORT

Pozostaniemy jeszcze na antenie TVN24, choć cofniemy się do barwnych początków tej telewizji. Po czym poznać dziennikarza stacji z długim stażem? Wystarczy rzucić hasło „reszort”, a zawsze usłyszycie niecenzuralny odzew. Ci najstarsi pamiętają bowiem jedną z najzabawniejszych wpadek pionierskich czasów telewizji informacyjnej.

Jeszcze wtedy nie było osobnego kanału biznesowego, wiadomości ekonomiczne podawano w programie „Bilans” między serwisami informacyjnymi. Jednym z jego stałych elementów było łączenie ze studium na Giełdzie Papierów Wartościowych. Na miejscu Damian Kuraś krótko podsumowywał notowania. Czasem na żywo, a czasem były to wejścia nagrane. Grunt to nie pomylić się, kiedy wchodzimy na żywo, a kiedy nagrywamy.

Popołudniowe wydanie „Bilansu” prowadzi Roman Młodkowski.

-...a o tym z giełdy Damian Kuraś.

- Inwestorzy przez cały dzień napełniali portfele pieniędzmi, które zarobili na tegorocznej hossie. Od rana indeksy traciły na wartości. - Redaktor podaje wyniki, po czym przechodzi do pozostałych doniesień o ekonomicznych. - Agencja Reuters, powołując się na wysokie źródło rządowe, poinformowała, że reszort... Reszort? No kurwa! - Redaktor rozkłada ręce. - No reszort! - Po czym macha jeszcze raz ręką i będąc przekonany, że relacja jest nagrywana, zaczyna od nowa. - Inwestorzy przez cały dzień napełniali portfele pieniędzmi...

- Bardzo państwa przepraszam, najwyraźniej chochliki ścigają nas w dzisiejszym programie. - Wyjątkowo spokojnie z kryzysu reszortowego wybrnął redaktor Młodkowski.

## PULS DNIA

Dla odmiany teraz coś z rynku lokalnego. Wielkopolska Telewizja Kablowa, wieczorny program „Puls dnia” prowadzi Agnieszka Gulczyńska. To nie tylko dziennikarka, ale i sportswomenka-amatorka z sukcesami w kolarstwie górskim, co może trochę tłumaczy jazdę bez trzymanki. Zresztą akurat zapowiada temat z działki sportowej.

- Otwarte Mistrzostwa Miasta Poznania przez cały weekend będą rozgrywały się na Jeziorze Kierskim. Gościem „Pulsu dnia” był komandor klubu żeglarskiego „Mewa”, Andrzej Józwiak. Zobaczmy w tej chwili fragment tej rozmowy. - I tu prezenterka, nie czekając aż ów fragment zaistnieje na wizji, postanowiła spuścić nieco powietrza z opony. - Ja pierdolę - wyszeptała, po czym wrzuciła wyższy bieg, patrząc w kamerę, jak gdyby to był ciąg dalszy zapowiedzi. - Jeszcze sonda, kurwa mać! - Dopiero w tym momencie pan komandor z klubu „Mewa” wypłynął na antenę. Taki lokalny koloryt. A wielkie gwiazdy ze stolicy to niby nie klną? Klną! Czyli pierwszy krok do kariery ogólnopolskiej zrobiony - umieszczony na YouTube filmik bardzo szybko przekroczył granice miasta Poznania. Nic dziwnego. Dziennikarska kolarka tym razem pojechała na sam szczyt.



## MIĘDZY SŁOWAMI

Wśród wielu wulgaryzmów, które pojawiły się w mediach, są też te niewypowiedziane. Czyli takie, które poszłyby o mało co. Przykład z radia i to publicznego: pewna dziennikarka dzwoni do redakcji i przez telefon nagrywa swoją relację z sejmiku, gdzie akurat doszło do wyjątkowo ostrej dyskusji z użyciem słów zwykle (choć nie powszechnie) uważanych za obraźliwe. W przygotowanym tekście relacji pada więc zdanie „nawet największe emocje nie usprawiedliwiają nieparlamentarnego języka” na którym to „parła” język parlamentarny - mówiąc włoszczyzną - nie parła. Łamie się i wyprostować nie chce nawet przy trzecim powtórzeniu. W końcu za pomocą wyjątkowo nieparlamentarnej siarczystej kurwy pani redaktor odblokowuje aparat mowy. Relacja nagrana, oby tylko osoba nagrywająca pamiętała, aby spontaniczny przykład omawianego języka wyciąć. Tym razem pamiętała, chociaż za chwilę zapomni. Ale to za chwilę.

W gazecie - chociaż może trudniej w to uwierzyć, w końcu operujemy tu słowem pisanim - też udaje się czasem autorowi umieścić w tekście mały wtręcik. Oto Mikołaj Lizut z „Gazety Wyborczej” kończy spisywać wywiad z Jackiem Soską, posłem Polskiego Stronnictwa Ludowego, który zresztą w słowach nie przebiera - wslawił się kiedyś groźbami demonstrantom językiem wysoce nieparlamentarnym. Wywiad powstaje podczas długich i zmudnych negocjacji przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Soska raczej nie słynie z euroentuzjazmu. Lizut wreszcie skończył, a dla odstresowania dopisał dwa słowa już w pierwszym pytaniu: „Czy Polska powinna w pizdu wstąpić do Unii?”. Enter, wywiad wysłany do autoryzacji. Soska na pewno się ubawi. Ping, jest odpowiedź. Lizut pobieżnie czyta, kopiuje tekst do systemu i zapisuje jako gotowy.

Wieczorem na ścianie w redakcji wiszą wydrukowane kolumny jutrzejszego wydania. Autorzy ostatni raz czytają swoje teksty - tak na wszelki wypadek, gdyby komputer coś przepuścił, a oni nie zauważyli. Redaktor Lizut patrzy na wywiad z posłem Soską. Patrzy i coś mu się nie zgadza. Skoro to wersja już autoryzowana, to dlaczego pierwsze pytanie brzmi: „Czy Polska powinna w pizdu wstąpić do Unii?”. Poseł nic nie zmienił! Albo uznał, że pytania to już sprawa tylko redaktora, albo też doszedł do wniosku, że tak ma być. Albo rzeczywiście tej Unii wyjątkowo nie kochał.

## WYCINANKI PRZEKLINANKI

Miało być o redaktorze z radia, co to kurwę puściła na antenę - oto i ta historia. W połowie lat dziewięćdziesiątych do Krakowa przyjechał Szymon Wiesenthal. Wizyta miała napięty harmonogram, spotkanie gonilo spotkanie, a reporterzy pomiędzy kolejnymi punktami programu próbowali się czegoś dowiedzieć, coś nagrać, o coś zapytać oraz oczywiście przesłać newsy do redakcji.

Telefony komórkowe mieli wtedy nieliczni biznesmeni z listy najbogatszych Polaków, dziennikarze musieli sobie radzić sami. Dzwonili z budek telefonicznych, kawiarni, sklepów - skąd się dało. RMF FM do obsługi wizyty słynnego tropiciela zbrodniarzy wojennych wysłało Pawła Płuskę. Redaktor ganiał po mieście z żółto-niebieskim mikrofonem, a co nagrał, to własnymi słowami relacjonował przez telefon prosto na Kopiec Kościuszki (do siedziby radia). Tam to było montowane i leciało na antenę. Rutyna. Skończyło się właśnie kolejne spotkanie Wiesenthala, tym razem bardzo wysokiej rangi, bo z przedstawicielami episkopatu Polski. Płuska szuka budki telefonicznej. Jest. Giętka plastikowa karta Telekomunikacji Polskiej? Jest. Ząbkowany szlaczek wskazuje, że jeszcze zostało na niej trochę impulsów. Dzwoni. Nie było czasu na spisanie relacji na kartce, poukładał więc sobie w głowie kilka zdań i nadaje:

- Szymon Wiesenthal spotkał się z przedstawicielami epid... Sorry! Szymon Wiesenthal spotkał się z przedstawicielami... Jeszcze raz. Szymon Wiesenthal spotkał się z przedstawicielami epidkop... Kurwa!!! - wymknęło się redaktorowi, ale jak zwykle pomogło. - Szymon Wiesenthal spotkał się z przedstawicielami episkopatu. - Wreszcie się udało, relacja dalej poszła jak z płatka. - Z Krakowa Paweł Płuska. Ale wytniesz tę kurwę, prawda? - dopytuje na koniec.

- A właśnie, że nie wytnę. - Słyszy w słuchawce redaktorkę nagrywającą.

- Cha, cha. No to tyle, cześć. Muszę lecieć dalej.

- Cześć.

Reporter wraca na trop. Pod koniec dnia, kiedy ma już wszystko, czego potrzebuje, wsiada w tramwaj i wraca na Kopiec.

- O, Płusek! - witają koledzy. - Uciekaj, won! Jak cię Miszczak spotka, to zabije!

- Ale o co chodzi?

- Jak to o co?! O tę kurwę, co poleciała na antenie!

Redaktor zbladł. Poczzerwieniał. Zbladł. Oj, chyba nie ucieknie. Nadchodzi dyrektor

Edward Miszczak. Koniec kariery? Nie. Pomogło zapewne duchowe wstawiennictwo trudnego do wymówienia episkopatu. Tym razem skończyło się tylko na mocnej reprimendzie.

## KONCERT ŻYCZEŃ

Antena radiowa to nie film Pasikowskiego, tu wulgaryzmów raczej się unika - no, chyba że antenę obejmuje na żywo sam pan prezes. Wtedy mówi, co chce, i niech go ktoś spróbuje wyłączyć. Zwłaszcza gdy prezesem jest Stanisław Tyczyński, twórca RMF FM.

W sylwestrową noc polską tradycją narodową są życzenia. Po dzienniku na Jedynce pojawia się pan prezydent i głądzi przez kilka minut, że rok był trudny, ale następny będzie znakomity, czego sobie i obywatelom życzy. Po północy w podobnym tonie życzenia składają zwykle prowadzący sylwestrowy wieczór.

- Nuda, dawajcie szopkę! - niemo krzyczą telewidzowie oczekujący na tradycyjny dalszy ciąg programu. Najlepszą szopkę wystawiał jednak prezes Tyczyński.

Krótko po dwunastej przejmował antenę RMF i w kilku zdaniach składał życzenia słuchaczom. A że prezes znany był z tego, że myśli szybko, robi jeszcze szybciej (raz jak się wkurzył, to w pionierskich czasach wziął i wyłączył całe radio), a mówi to, co chce - w swoim koncercie życzeń zadzierał ze wszystkimi. Na przełomie 1999 i 2000 roku słuchaczom życzył roku bez AWS-u. Spełniło się już w roku następnym. Ale to też się prezesowi nie podobało, bo jako dawny solidarnościowy bojownik nie mógł kochać czerwonych. W 2004 życzenia brzmiały więc tak:

- Słuchajcie, kochani, siedzę sobie w kraju, gdzie północ minęła już dwie godziny temu. Jestem człowiekiem szczęśliwym, a wiecie dlaczego? Włączam tutejszy telewizor i nie widzę w nim mordy Millera. Czego i wam w Polsce na najbliższy rok również, jako i sobie, życzę!

Ówczesny rzecznik rządu obraził się strasznie, straszono Krajową Radą Radiofonii i Telewizji, ale prezes oczywiście nic sobie z tego nie robił. Zwłaszcza że po jego życzeniach leciał słynny śpiewany dżingiel: „Ujebała misia pszczoła - RMF FM!”.

I tyle w temacie motylej nogi. W następnym odcinku Wujek Dobra Rada zajmie się znacznie poważniejszymi sprawami. Powie nam, jak pisać relacje z pielgrzymek papieskich i co może wyniknąć z podawania się przez telefon za Ojca Świętego. Będzie więc z grubej rury, chociaż oczywiście godnie i na temat. Ekskomuniki może uda się uniknąć.

## POWAŻNA SPRAWA

Zpolitykami czy gwiazdami show-businessu można sobie pożartować, nie trzeba tak bardzo zważać na język, czasem nawet wybaczą przecinki niezbyt parlamentarne. Są jednak rozmówcy i sytuacje, w których lepiej trzymać język na wodzy i zachowywać się tak, jak gdyby mieli zaraz przyznawać odznaki „wzorowy uczeń”. Weźmy takie pielgrzymki papieskie. Wszyscy poważni, skupieni, tu nie ma miejsca na dowcipy. Naprawdę? A gdyby tak poudawać przez chwilę papieża lub wrzucić jakiś mały żarcik z narodowej tradycji? Nie da się? Jak się nie da, jak się da. Zaraz przeczytacie.

## KOLEJKA NA KASPROWY

Zanim przejdziemy do żartów z majestatu, najpierw całkiem poważne spojrzenie za kulisy jednego z najświetniejszych wydarzeń w historii papieskich pielgrzymek do Polski, czyli wizyty Jana Pawła II na Kasprowym Wierchu w 1997 roku. Wizytę sfilmowała tylko jedna ekipa - Katarzyny Kolendy-Zaleskiej, wówczas pracującej w „Wiadomościach” TVP, reszta (łącznie z tak zwanymi *volo papale*, czyli reporterami z najwyższym priorytetem dostępu, lecącymi z papieżem samolotem) mogła sobie historyczne zdjęcia obejrzyć wieczorem w telewizji. Jak to się robi? Jak się zdobywa ekskluzywny news z papieżem? No cóż. Trzeba mieć szczęście, a ono - jak wiadomo - sprzyja lepszym, co w dziennikarskim fachu oznacza: lepiej poinformowanym.

Na trasie pielgrzymki podczas przystanku w Zakopanem wypadał akurat dzień wolny. Wszyscy się zastanawiali, co tego dnia zrobi papież. Oficjalny komunikat nie wymieniał żadnych planów. Pozostają kanały nieoficjalne, czyli polscy księża z otoczenia papieża. Tych akurat Kolenda nieźle zna. Podpytała więc tego i owego i pod groźbą niemalże ekskomuniki w przypadku zdradzenia wiadomości dowiedziała się, że papieżowi przygotowano niespodziankę: wjazd kolejką na Kasprowy. Bomba! Tylko jak się dostać na górę? No cóż. Przyda się odrobina szczęścia, nieco znajomości i sporo uroku osobistego. Dziennikarka przekonała więc biskupa Jana Chrapka, że to jedyna szansa na doskonały materiał pokazujący papieża od strony prywatnej. Komu jak komu, ale biskupowi Chrapkowi nie trzeba było tego tłumaczyć. On media miał we krwi. Obiecał porozmawiać z Dziwiszem. Może przez względy krakowskie, a może jakieś inne, w każdym razie Dziwisz się zgodził. Są jednak pewne warunki, w końcu misja jest tajna i nikt nie może się dowiedzieć - wiadomo, ekskomunika. Po pierwsze: ekipa do Kuźnic musi przyjechać nieoznakowanym samochodem. Po drugie: Kolenda musi udawać, że jest tam prywatnie.

Z nieoznakowanym autem problemu nie ma, z zachowaniem „jak gdyby nigdy nic” może być trudniej, bo gdy ekipa pojawia się w Kuźnicach, na miejscu czeka sporo dziennikarzy przeczuwających, że może coś być na rzeczy.

- A co ty tu robisz? - pytają koledzy. - Czyżby papież wybierał się na Kasprowy?

- Nieee, skąd - odpowiada Kolenda. - Przyjechałam tylko zrobić kilka obrazków Tatr, Kuźnic, turystów - przekonuje, łamiąc jedno z przykazań, ale skoro robi to dla papieża, to chyba będzie jej odpuszczone.

- A nie wiesz może, jakie są plany na dziś? - dopytują dziennikarze.

- Do końca to nie wiem, ale słyszałam, że podobno papież ma pojechać na Bachledówkę.

Tego nie trzeba było dwa razy powtarzać. Kolenda przecież wie, co mówi. Zna tyłu tych księży i biskupów... Koledzy w te pędy pakują się i ruszają na wspomnianą Bachledówkę. No i proszę, droga wolna. Ekipa wsiada do kolejki, jedzie na Kasprowy. Na górze niesamowity widok. Pusto, Tatry i samotna biała postać. Wśród warunków umowy był też ten najważniejszy: żadnych pytań! Ale to papież nie wytrzymał. Na widok ekipy uśmiechnął się i zawołał:

- O, dziennikarze! - Chociaż akurat tu dziennikarze występowali w liczbie pojedynczej. W liczbie mnogiej podziwiali w tym czasie panoramę Tatr z Bachledówki.

## SZCZĘŚĆ BOŻE!

Przy okazji historii o redaktorze Płusce mówiącym głosem Waldemara Pawlaka wspomniałem, że umie on również naśladować głos Jana Pawła II. Nawiasem mówiąc - wychodzi mu to jeszcze lepiej niż udawanie lidera ludowców. W przypadku papieża redaktor naprawdę jest nie do odróżnienia. Zanim ktoś się obrazi, już pędzę z wyjaśnieniami: dziś niezmiernie trudno go do tego namówić. Ale dawniej... Dawniej nie stawiał zbyt dużych oporów.

Oto pielgrzymka z 1999 roku. Siedlce. Papież spędza tu pierwszą część dnia. Poranna msza, homilia. Po mszy zaplanowany jest wypoczynek i przelot do Drohiczyzna. Akredytowani dziennikarze tę trasę pokonają autokarem. To już szósty dzień spędzany w tym samym rytmie: msza - przejazd - msza - przejazd i atmosfera nabożnego skupienia oraz wsłuchiwania się w homilie zaczyna się nieco rozluźniać. Kończy się siedlecka część dnia. Reporterzy w podgrupach idą do autokarów. Obok Pawła Płuski maszeruje Jan Mikruta z Polskiego Radia. Chyba zaświtał mu jakiś pomysł.

- Płusek, widzisz tego gościa przed nami? - zagaja.

- Widzę.

- To mój szef. Weź do niego zadzwoń i powiedz coś papieżem.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Redaktor Płuska bierze telefon i dzwoni. Mężczyzna z przodu sięga po komórkę. Odbiera.

- Szczęść Boże. Mówi biskup Dziwisz. Łączę z Ojcem Świętym. - Redaktor nastraja odpowiednio głos i zwalnia kroku, bo gość aż się z wrażenia zatrzymał.

- Tak, oczywiście. Słucham.

- Szczęść Boże - odzywa się głos Jana Pawła II. - Chciałbym, żeby pan przekazał serdeczne życzenia i podziękowania dla wszystkich dziennikarzy obsługujących pielgrzymkę.

- I tu redaktor Płuska musi przerwać połączenie, zanim zakrztusi się od śmiechu, bo jego rozmówca aż się zachwiał i z daleka widać, że twarz zmienia mu kolory jak tęcza. Dochodzą do autokaru.

- Cześć. No jak tam, co tam? - pytają jak gdyby nigdy nic.

- A nic, nic... - Radiowy dyrektor wciąż nie odnalazł równowagi. W autokarze łamiącym się głosem wyznał kolegom dziennikarzom, z kim właśnie rozmawiał, i zaczął się dopytywać, kto ma numer do biskupa Pieronka, bo przecież trzeba zadzwonić z podziękowaniami za taką łaskę... Koledzy mu wytłumaczyli, że lepiej tego może jednak nie



robić.

## NIECH MOC BĘDZIE Z WAMI

Lepiej też nie robić sobie żartów w tekstach o papieskich pielgrzymkach. To wyjątkowo delikatna materia. Tak dziś, jak i wtedy, gdy Jan Paweł II żył. Zwłaszcza gdy artykuł dotyczy pielgrzymki, która w zgodnej ocenie obserwatorów jest historyczna, wiekopomna, przełomowa. Ot - taka jak wizyta w Izraelu, Jordanii i Autonomii Palestyńskiej w 2000 roku. Z ramienia „Gazety Wyborczej” pielgrzymkę obsługiwał czteroosobowy zespół dziennikarski, a w nim Mikołaj Lizut. Już miesiąc wcześniej pojechali do Ziemi Świętej przygotować cykl reportaży. Teraz wizyta się kończy, papież wyjeżdża. Jest już na lotnisku. Lizut śledzi pożegnanie Jana Pawła II na monitorze w centrum prasowym w Jerozolimie. Po tak ciężkiej miesięcznej orce myślami odleciał znacznie szybciej niż papieski samolot i krąży już gdzieś nad Tel Awiwem, gdzie czeka huczna impreza o charakterze podsumowująco-pożegnalnym. Jeszcze tylko ta jedna, ostatnia relacja.

Na ekranie z papieżem żegnają się właśnie jacyś zakonnicy. Zakapturzone postacie, skupione miny, wiatr na płycie lotniska podwiewa im długie szaty. Wypisz - wymaluj: rycerze Jedi! Albo tak się tylko redaktorowi przez chwilę zdawało. Napisał więc w swojej relacji takie zdanie: „przed samym odlotem Jan Paweł II spotkał się z Yodą, mistrzem Jedi”. Pięknie wyszło. Klik, wysyłamy i jedziemy na balangę. Na miejscu coś jednak Lizuta tknęło. Zanim zacznie świętować wyjątkowo udaną wizytę, jeszcze zadzwoni do Warszawy, do działu zagranicznego. Odbiera Marek Magierowski, dziś piszący bardzo „Do Rzeczy”, a wówczas niepokorny skrycie dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

- Cześć, Magier. Doszło?
- Doszło, w porządku.
- Czołóweczka OK?
- OK, super jest. Dobry tekst.
- Ty, ale wyrzuciłeś to zdanie?
- Jasne. Ale jakie zdanie?
- Nie przeczytałeś dokładnie tekstu?!!!

Tym razem moc była z redaktorem Lizutem. W ostatniej chwili udało się wykreślić mistrza Yodę z tekstu o historycznej wizycie papieża w Izraelu. A już Gwiazda Dziennikarskiej Śmierci była blisko. Bardzo blisko.

## CUD NAD WISŁĄ

Ze sfery sakralnej przechodzimy do cudów w narodowej historii. Najśłynniejszym jest oczywiście cud nad Wisłą. Dziś, po trzy de filmie Jerzego Hoffmana z Nataszą Urbańską walącą z cekaem i serii barwnych rekonstrukcji bitwa warszawska zaistniała w popkulturze, ale jeszcze w latach dziewięćdziesiątych była świętą częścią narodowej tradycji i szablami ręce ciąć każdemu, kto się na nią zamachnął.

Siedemdziesiątą piątą rocznicę cudu nad Wisłą „Gazeta Wyborcza” postanowiła uczcić okolicznościowym komentarzem. Napisał go oczywiście Włodzimierz Kalicki, gazetowy ekspert od historii. Artykuł był mocno patetyczny, aczkolwiek kombatantom i admiratorom Marszałka Piłsudskiego z pewnością bardzo by się spodobał. Ale się nie spodobał, a wszystko przez drobny żart redaktora Piotra Pacewicza. Jakoś tak się złożyło, że Kalicki napisał swój artykuł tuż przed urlopem, na który się udał w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Pacewicz też zaczynał urlop, więc ostatnie godziny w pracy postanowił sobie umilić małą psotą i spuścić nieco powietrza z narodowego balonu. Otworzył zapisany już w systemie tekst Kalickiego i na koniec wywodów o wiekopomnym znaczeniu cudu dopisał: „I dlatego w tym dniu wielkiego czynu i wielkiej chwały pochylam się nad Wisłą i popijam z niej wodę”. Ciach, *save*, do widzenia, jedziemy na urlop. Korekta na pewno wychwyci i wszystko będzie dobrze.

Ale korekta nie wychwyciła. Wiceszefowa „Gazety” Helena Łuczywo tekst przeczytała, trochę się pewnie zdziwiła ciekawą puentą, ale nie chcąc przeszkadzać autorowi w urlopie, artykuł puściła. Nazajutrz telefon do redakcji. Znany historyk chciał zapytać, ile Kalickiemu zapłacono za takie drwiny i opluwanie wielkiego narodowego święta.

Sam Włodzimierz Kalicki na koncie ma też inny ciekawy tekst (oczywiście ma mnóstwo ciekawych tekstów o historii, ale na potrzeby tej książki pozwoliłem sobie zwrócić uwagę na ten jeden), w którym opisał największe wpadki „Gazety Wyborczej”. To dopiero się czyta! Na przykład opowieść o tym, jak Konstanty Gebert zirytował się narzekaniami działu zagranicznego, że zbyt zawile przedstawia i tak skomplikowaną sytuację w byłej Jugosławii. No to napisał raz coś dla ludzi. Artykuł pod oryginalnym tytułem *Wielka przewalanka*. Jego początkowy fragment zacytuję w całości pod rozważę młodszym kolegom po fachu: „W Chorwacji pokłócili się ci politycy, którzy rządzą. Póki trzymali sztamę, to inni mogli im naskoczyć, bo rządząca paczka (zwana po ichniemu Zajednicą) była największa. Zajednica mówiła Chorwatom, że wszystko, co robi, to dla ich dobra, i że sama wie najlepiej,

a zwłaszcza najważniejszy Tudjman. Ale okazało się, że politycy z Zajednicy nachapali się za bardzo u złoba i narozrabiali za granicą. Ludzie zaczęli sarkać, a inne paczki znów dobrały się Zajednicy do skóry”.

Proste? Proste. I jakie barwne! Działowi zagranicznemu niebanalne podejście do polityki tak się spodobało, że tekst poszedł do druku. Zanim doszło do interwencji czynników wyższych, ukazał się w części nakładu. I co? I znowu nie! Najwyraźniej się spodobało - chociaż Gebert nie chciał już tego sukcesu powtarzać.

Spory sukces na koncie ma też Dominika Wielowieyska. Gdy zaczynała pracę w „Gazecie”, opisała historię o tym, jak to znana firma fonograficzna XOHA odnalazła w tajemniczej skrzynce walec z nagraniem dźwięku fortepianu, na którym walca wygrywać miał sam Fryderyk Chopin. Nagranie miało pochodzić z 1818 roku, czym ustanowiłoby historyczny rekord świata. Dołączono je na płycie do magazynu „Classic CD” z kwietnia 1991. Niestety, pani redaktor nie zwróciła uwagi, że wydanie magazynu pochodzi z pierwszego kwietnia, a nazwa wytwórni XOHA to anagram angielskiego słowa HOAX, czyli - jak mawia młodzież - „wkręt”.

I co, niby nad Wisłą było miejsce tylko na jeden cud? Ależ skąd! Z ulicy Czerskiej, siedziby „Gazety Wyborczej”, nad Wisłę jest rzut niewielkim kamieniem, więc cudowna aura najwyraźniej wciąż działa, skoro wszystko nadal świetnie się kręci.

## PSTRYK I JEST PAN ZDROWY

Cud też chyba uratował pacjenta, którego operację postanowiła pokazać telewizja. O ile teoretyczne prasowe wywody o znaczeniu rocznicy nie wpłyną raczej na stan zdrowia czytelników, o tyle wesółą ekipą na sali operacyjnej niejednego przyprawić może o zawał. Dosłownie. I to dopiero poważna sprawa.

Aby zrozumieć, co zaraz się wydarzy, po drodze na blok operacyjny przejdziemy przez krótką dygresję teoretyczną. Kto w swoim aparacie fotograficznym wyszedł poza tryb automatu, ten pewnie odkrył funkcję balansu bieli. Kierując obiektyw na białą kartkę, można tak ustawić rejestrowanie barw, aby uzyskać efekt ciepłych lub zimnych kolorów, czerwień zmienić w zieleń, a kolor biały - w niebieski. Podobnie jest w kamerze telewizyjnej, a ponieważ w newsach zwykle chodzi jednak o to, aby kolory były wiernie oddane, każdy operator przy zmianie warunków oświetleniowych na wszelki wypadek balansuje kamerę, żeby to, co ma być białe, było wzorcowo białe. Kłopot pojawia się, gdy w jednym pomieszczeniu mamy kilka źródeł światła - na przykład zimne jarzeniówki i ciepłe żarówki. Trudno wtedy znaleźć odpowiedni punkt odniesienia. Przydługi ten fotograficzny wstęp, a pacjent czeka, przechodzimy więc do rzeczy.

Jeden z warszawskich szpitali, blok operacyjny. Marek Nowicki z „Faktów” TVN przygotowuje relację o przełomowej operacji kardiologicznej. Ekipa jest już przebrana. Zielone kitle, czepki, sterylne kapcie. Przechodzą przez śluzy. Lekarze przypominają: panowie, nie ma żartów. Niczego nie dotykać, nie przeszkadzać, filmujcie sobie z pewnego oddalenia i nie wchodźcie w zasięg pracy chirurga. Na stole leży żywy człowiek, a przy operacjach na otwartym sercu jeden niepotrzebny ruch i nieszczęście gotowe. Jasne? Oczywiście, jesteśmy profesjonalistami. Niejedną operację już nagrywaliśmy. No to zapraszamy na salę.

Zabieg już się rozpoczął. Operator włącza kamerę i nic mu tu nie gra. Nad pacjentem mocne światło punktowe. Na suficie jarzeniówki. Migoczą strasznie, czego oko ludzkie nie wychwytuje, ale kamera - owszem. Zdjęcia będą do bani, zwłaszcza że jeszcze przez szybę prześwieca kolejne źródło światła. Nie, no tak pracować się nie da. „Z czegoś trzeba zrezygnować” - myśli operator i nie zastanawiając się zbyt długo, naciska klawisz na ścianie. Na sali operacyjnej gaśnie główne światło. Pozostaje tylko punktowa lampa nad pacjentem. Ten - chwała Bogu - tego nie widzi, bo takich emocji jego sfatygowane serce mogłoby nie wytrzymać. Serce redaktora też jest bliskie zawału. Na szczęście to kardiologia. Na szczęście

chirurg jest profesjonalistą i ręka mu nie drgnie. Na szczęście też nie uniesie jej po chwili, pokazując naszej dzielnej ekipie drzwi. Operacja się skończy, pacjent znów będzie zdrowy. Miało być w końcu przełomowo, prawda?

Brzmi nieprawdopodobnie, a przecież to wszystko powyżej to najprawdziwsza prawda. W następnym rozdziale trochę od niej odejdziemy, bo opowiemy o newsach wyspanych z palca, miejskich legendach wymyślanych przez gazety, a wreszcie i o tym, jak w końcu dziennikarze muszą czasem za swoje wesołe pomysły zapłacić.

## **FAKT PRASOWY**

Spokojny weekend to marzenie większości ludzi dobrej roboty i przekleństwo ludzi od ciężkiej roboty medialnej. Nie ma nic gorszego niż spokojna niedziela lub długi weekend, gdy nie jest ani zimno, ani ciepło, kierowcy bezpiecznie jadą do domu, politycy nie mają ochoty na wzajemne opluwanie i nawet bandziorem nie chce się zaistnieć w kronice kryminalnej. Wieczorne wiadomości każdy jednak chętnie obejrzy, jutro gazetę też każdy kupi i będzie narzekał, że redaktorzy nie mieli o czym pisać. A co niby mieli zrobić - powymyślać wydarzenia, żeby było ciekawiej?! No właśnie... Czemu nie?

## URBAN LEGEND

Dyżur depeuszowy to wyjątkowa nuda. Zwłaszcza w niedzielę lub święto. Przychodzi człowiek do redakcji, włącza radio, telewizor, komputer i czeka, aż się coś wydarzy. Za daleko nie można odejść, bo a nuż coś właśnie huknie, jak się na chwilę opuściło firmę. Trzeba więc siedzieć. Jak za karę. Dziś przynajmniej jest Facebook, więc zawsze można poużalać się znajomym, markując jednocześnie ciężką pracę na komputerze. W 1999 roku Zuckerberg był dopiero w liceum, a Mikołaj Lizut z Wojciechem Staszewskim siedzieli już na dyżurze redakcyjnym w „Gazecie Wyborczej”.

Staszewski skończył właśnie jakiś tekst, Lizut niemiłosiernie się nudził. Żadne ciekawe depeze nie spływały. Świat spał albo leczył kaca. Nadszedł więc czas, by go nieco obudzić.

- Chodź, Szkielet. - Tak z racji potężnej postury koledzy nazywali redaktora Staszewskiego. - Napiszemy tekst do „Stołecznej” - zaproponował znudzony redaktor Lizut, mając na myśli warszawski dodatek lokalny. Długo nie trzeba było namawiać. Staszewski już zakłada nowy tekst, Lizut dyktuje:

- Na stacji Wilanowska pojawił się wczoraj po południu koń. - Redaktor piszący spojrzał dziwnie, redaktor dyktujący wie jednak, co robi, i płynie dalej. - Zwierzę było zdenerwowane. Podkute kopyta ślizgały się po lastryko, którym wyłożony jest peron. Pięciu mężczyzn przez kilka minut...

Płynął i płynął. Cały tekst z 17 września 1999 roku wciąż jest dostępny w archiwum „Gazety Wyborczej”, więc kto chce, niech sięgnie do źródła, a ja tylko pobieżnie streszczę. Pięciu mężczyzn siłuje się z koniem, strażnicy miejscy próbują go zwabić na schody kostkami cukru. Dzieje się, ale to jeszcze nic. W artykule wypowiedają się pasażerowie metra. Jedni twierdzą, że zwierzę uciekło pijanemu dorożkarzowi. Inni sugerują, że rumak zwiął z policyjnego patrolu. A na końcu artykułu: „tylko mały chłopczyk upierał się bez przerwy, że koń przybiegł tunelem od strony Ursynowa, świecąc ślepiami”. Enter, tekst gotowy. Tytuł? Przypomniała się szkolna lektura, dawaj: *Koń, który chciał jeździć metrem*. Podpis pod dziełem? ROG. Kto to? Nikt. Dziennikarz zmyślony.

Autorzy pękają z dumy, obnoszą swoje dzieło po redakcji. Wszyscy mają kupę zabawy łącznie z Adamem Michnikiem, który rzuca: „tak, tak, wrzucie to do Stołecznej, na pewno się ukaże!”. Cha, cha. W tak miłej atmosferze reszta dyżuru zleciała, jak z bicza (nad koniem) strzelił. Panowie zapisali potomnym na dysku swój wesoły tekst i w doskonałych



humorach udali się do domu. Wreszcie można odpocząć, przed redaktorem Lizutem wspomniała perspektywa dwóch wolnych dni i kolejnego dyżuru w niedzielę.

Nazajutrz dzwoni telefon. Szósta rano? Kto to może być - zastanawia się wyrwany ze snu Lizut i widzi „Katarzyna Montgomery”. Koleżanka redakcyjna leci o tej porze z prezydentem Kwaśniewskim do Charkowa (to ta słynna wizyta z bolesną gołenią), może coś się stało?

- Halo?

- Ty idioto, ty kretynie! - Koleżanka na linii wydaje się dosyć zdenerwowana. - Już po was!

- Ale o co chodzi?

- Jak to o co?! Druga strona „Stołka”! Nie czytałeś?!

- Kaśka, bardzo śmieszne, ale wiesz... ja śpię. Jest szósta rano. Cześć.

Redaktor jednak zasnąć już nie może. Właściwie to od koniuszków palców u nóg w górę zaczyna pełznąć fala zimnego potu. „Nie. Nie, to niemożliwe” - powtarza sobie w duchu, ale jednak decyduje się sprawdzić. Wyskakuje z łóżka, szybko się ubiera i schodzi do kiosku.

- „Gazetę Wyborczą” poproszę.

- Proszę bardzo.

Lizut wyciąga ze środka dodatek stołeczny, otwiera, druga strona. „Koń, który chciał jeździć metrem. Na stacji Wilanowska pojawił się wczoraj po południu koń...”. Podpisano: ROG. O Jezu...

Nie lepiej tego poranka czuje się współautor sukcesu. Wojciech Staszewski musiał iść do pracy. Na porannym kolegium omawia aktualny numer. Główny grzbiet. Pierwsza strona, druga, trzecia. My mamy to, konkurencja to. Dobry artykuł ten, słabszy tamten. „Gazeta Stołeczna”? Dziś nic ciekawego, przejdźmy do stron ekonomicznych. Udało się. Szczęście sprzyja bohaterom, bo akurat w pracy nie ma Heleny Łuczywo, która bardzo nie lubi żartów uderzających w powagę gazety.

Około południa do Lizuta dzwoni Jacek Żakowski.

- Słuchaj, z tym waszym tekstem to poważna sprawa!

- Jak to poważna?! - Lizut zastanawia się, jaką lawinę wywołał ich żarcik.

- Słucham właśnie Trójki i cały czas o tym mówią.

- Że nieprawda?

- Nie, o tym ani słowa. Sporo za to mówią, jaka to groźna sytuacja była w metrze i jak się przed nią ustrzec w przyszłości!

A teraz najciekawsze. Do końca dnia nikt, ale to nikt nie zadzwonił ze sprostowaniem. Ani zarząd metra, ani strażacy, ani nawet dorożkarze. Nikt. Nazajutrz sprawa trochę już przycichła, wszyscy i tak mówili o gołeni prezydenta Kwaśniewskiego. Minęły dwa dni, trzy, tydzień, miesiąc, rok. I nic! Mało tego. W siedzibie metra artykuł do dziś wisi w gablocie zbierającej najlepsze teksty o podziemnej kolejce. Jeżeli więc ktoś by kiedyś zapytał, to tak się właśnie tworzy miejskie legendy.

## ŚWIAT WEDŁUG JACKA

Był przez jakiś czas taki program na antenie TVN24. Popołudniami Jacek Pałasiński podsumowywał w nim najciekawsze wydarzenia zagraniczne. Nie ograniczał się jednak do przeglądu doniesień agencyjnych. To potrafiłby zrobić nawet średnio rozgarnięty stażysta po odpowiednim przyuczeniu. Program z prowadzącym w tytule musi mieć charakter osobisty. Taki był też „Świat według Jacka”. Gospodarz cały dzień przeszukiwał serwisy internetowe w poszukiwaniu rzeczy, które umknęły uwadze polskich kolegów po fachu, a po południu plon swoich poszukiwań przedstawiał widzom. Były tam rzeczy śmieszne i straszne. Makabry i ciekawostki. Do obejrzenia tylko u Jacka, tylko na antenie TVN24.

Taki styl przygotowywania programu gwarantuje świeżość i nowatorskie spojrzenie, ale niestety jest też nieco ryzykowny. Jedno niesprawdzone czy opacznie zrozumiane doniesienie, jedna błędna interpretacja czy niedokładne tłumaczenie i wpadka gotowa. Na ogół udawało się ich uniknąć, ale jeden raz nie. I była to wpadka bardzo wysokich lotów. Najpierw krótka dygresja.

Jacek Pałasiński - jak zresztą bardzo wiele osób pracujących w telewizji - nie jest telemaniakiem. Nie ogląda ogłupiających programów rozrywkowych, z rzadka zerka na seriale, a na filmy chodzi do kina. Ze mną jest podobnie. W domowym telewizorze - o ile w ogóle jest włączony - najczęściej lecą serwisy informacyjne, czym pewnie pozbawiam swojego synka możliwości zapoznania się z bardzo edukującym przekazem stacji kreskówkowych lub zabawnym do bólu repertuarem TVP Rozrywka. No cóż, trudno. Przynajmniej może będzie bardziej w świecie oblatany. Wróćmy jednak do świata Jacka, w którym produkty Hollywood nie goszczą zbyt często.

Poranny program TVN24, w nim redaktor ma wejście na żywo zapowiadające, co dziś ciekawego przynosi dzień na świecie. Czasu na zweryfikowanie podawanych informacji nie ma zbyt wiele. Przygotowując się do wejścia, Pałasiński odbiera maila. Kolega podsyłający co jakiś czas różne ciekawostki tym razem zachęca do obejrzenia niesamowitych zdjęć z brazylijskiej gazety. Klik... no faktycznie! Zdjęcia porażające. Widać ujęty z kabiny pasażerskiej rozpadający się samolot z urwanym ogonem, ludzie przypięci do foteli kurczowo trzymają maski tlenowe, z tyłu kogoś właśnie wysysa przez dziurę. Tragedia! Wszystko jeszcze nieco rozmyte i roztrzęsione. Podpis informuje, że są to zdjęcia znalezione na karcie pamięci telefonu należącego do aktora - jednej z ofiar katastrofy samolotu, który niedawno rozbił się nad amazońską dżunglą. Sensacja! I to na skalę światową - czegoś takiego jeszcze

nikt nie pokazywał w mediach!

I tu czujność trochę redaktora zawiodła, bo można przyjmować zakłady, że taka sensacja błyskawicznie obiegłaby jednak świat... No ale cóż. Jest poranek, czas goni. Jeszcze tylko szybkie sprawdzenie w portugalskiej wersji Google. Jest potwierdzenie, sporo brazylijskich portali publikuje te zdjęcia. No dobrze. Trzy, dwa, jeden - jesteś. Zapala się czerwona lampka na kamerze w studiu, sensacja leci w świat. Jacek Pałasiński pokazuje dramatyczne zdjęcia, okraszając je mrozącą krew w żyłach historią. Widzowie patrzą jak osłupiali. Zwłaszcza ci, którzy oglądają bardzo wówczas popularny amerykański serial *Lost* (*Zagubieni*). Doskonale widzą przecież, że to po prostu kilka wyciętych kadrów z pierwszego odcinka, w którym samolot rozbija się nad wyspą na Pacyfiku. Koniec wejścia na żywo, prowadzący wraca do pokoju. Tu komputer już nie nadąża z odbieraniem kolejnych maili od ubawionych widzów. No cóż. Nie da się już z tym nic zrobić. Poszło w świat. W następnym wejściu Pałasiński wszystko odwołuje i wyprostowuje. Co jednak ciekawe, news raz puszczony w świat żyje dalej. Tydzień później te same zdjęcia pokazała telewizja z Boliwii. Tym razem już jednak nie przedstawiały katastrofy nad Amazonką, o nie. Boliwijczycy byli jeszcze lepsi. Poinformowali, że są to jedyne zdjęcia z pokładu Airbusa linii Air France, który wpadł do oceanu w trakcie lotu z Rio do Paryża.

## ZA, A NAWET PRZECIW

Fakty prasowe podzielić można z grubsza na te stworzone świadomie, od początku do końca wymyślone i te powstające nieświadomie, w wyniku pomyłki, niezrozumienia bądź przejęzyczenia. O ile w kalendarzu nie mamy dziś pierwszego kwietnia, większość należy do typu drugiego. Dziennikarze nie są aż tak perfidni we wprowadzaniu w błąd odbiorców. Czasem tylko tak im wyjdzie. Tak jak raz wyszło samemu Kamilowi Durczokowi.

Cofniemy się do początków jego kariery, gdy w katowickim ośrodku Telewizji Polskiej prowadził cotygodniowy program na żywo „Obserwatorium”. W tym odcinku prowadzący z zaproszonymi gośćmi obserwował będzie lokalną aferę polityczno-obyczajową.

Do Katowic przyjechać ma premier Józef Oleksy. W urzędzie wojewódzkim czekają na niego zebrani prezydenci śląskich miast. Premier się spóźnia. Kwadrans, pół godziny, czterdzieści minut. Prezydentom kończy się cierpliwość. Na premiera oczywiście czasem można i trzeba poczekać (wiadomo, sprawy wagi państwowej), ale gdy mija godzina i nie wiadomo, ile to jeszcze potrwa, można też się zdenerwować. A jak się jest z opozycji, to nawet trzeba. Zwłaszcza że słone paluszki i gazowana woda mineralna już się kończą. I rzeczywiście, po godzinie oczekiwania kilku prezydentów wychodzi z urzędu. Zostają ci związani z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Im wyjść nie wypada. W końcu Oleksy się zjawia, zjada ostatniego paluszka, gada chwilę po gospodarsku i wraca do stolicy. Nazajutrz na Śląsku zaczyna się wielka dyskusja - czy wypada tak ostentacyjnie wychodzić, czy może jednak na pana premiera trzeba czekać?

Dyskusja swój finał ma w studiu TVP Katowice. W uzupełnieniu dyskusji zaproszonych gości: prezydenta Katowic (który wyszedł wcześniej ze spotkania z Oleksym), przedstawiciela wojewody oraz polityka Sojuszu Lewicy Demokratycznej redakcja zaplanowała telefoniczną sondę na żywo wśród widzów. Dzisiaj to banał. Kto za - prosimy o SMS na numer siedem tysięcy jeden, kto przeciw - SMS na numer siedem tysięcy dwa. Płaci się dwa złote plus VAT, ale dla zamawiającego taki sondaż bezcenne jest to, że nie musi sam liczyć wyników, które ponadto spływają na bieżąco. No ale kiedyś oczywiście tak nie było, głosowano więc tradycyjnie - dzwoniąc na podany numer, potem wystarczyło zliczyć rozmówców. Wszystko jasne? No to zaczynamy.

Panowie w studiu sobie pogadają, a widzów prosimy o głosowanie: czy prezydenci słusznie postąpili, obrażając się na premiera? Kto ich popiera, dzwoni do pani Ewy, kto nie popiera - dzwoni do pani Ani. Numery macie Państwo u dołu ekranu. W programie trwa

ożywiona dyskusja, pod koniec prowadzący prosi o kartki z wynikami głosowania widzów. Od pani Ani dostaje komplet głosów krytykujących demonstracyjne wyjście, pani Ewa (która liczyła głosy popierające demonstrację samorządowców) też podaje wyniki, aczkolwiek zastrzega: „Ale do mnie dzwonili też ci, którym to się nie podobało”.

Czy to przez hałas w studiu, czy przez roztargnienie, redaktor Durczok usłyszał to jednak nieco inaczej: „Ale do mnie dzwonili też tylko ci, którym to się nie podobało”. Znakomicie! No to mamy jasność, wszystkie głosy są przeciwne demonstracyjnemu wychodzeniu. Nie tracąc czasu na zbędne wątpliwości, redaktor obwieszcza więc zdumionym widzom:

- Szanowni Państwo, wyniki naszej sondy nie pozostawiają wątpliwości co do oceny tej demonstracji. Otóż wszyscy, którzy do nas zadzwonili, byli oburzeni zachowaniem prezydentów... - I tu kątem oka prowadzący widzi, że pani Ewa podnosi się z miejsca i daje rękami nerwowe znaki, ale niezrażony ciągnie dalej. - W dzisiejszym programie to wszystko...

Teraz już do wstającej pani Ewy dołącza też prezydent Katowic rzucający na cały głos:

- To niemożliwe!!!

-...dziękuję bardzo i dobrej nocy! - kończy młody i ambitny redaktor.

Na antenie widać już napisy końcowe i powoli dociera do niego, że może to być ostatni raz, kiedy na ekranie widzi nazwisko Durczok. Zwłaszcza że prezydent Katowic już drugi raz w tym tygodniu ostentacyjnie wychodzi z pomieszczenia, tym razem ubarwiając swoje wyjście głośniejąco uwagą o propagandzie godnej Goebbelsa. Pani Ewa jeszcze raz pokazuje listę odebranych telefonów. Może jest ich rzeczywiście trochę mniej, ale jednak wielu widzów gest samorządowców poparło. Trudno, co robić? Pierwsze przeprosiny redaktor składa w wieczornym serwisie lokalnym. Drugie - nazajutrz u szefa katowickiego ośrodka TVP. Trzeci raz telefoniczną wpadkę wyjaśnia na antenie własnego programu tydzień później. W życiu się tyle nie naodkręcał. I w życiu tyle też nie pokręcił. Takie to były fakty przed „Faktami”.

## TRZEBA TO SPROSTOWAĆ

Sprostowania to przekleństwo. Każda redakcja zrobi wszystko, aby ich uniknąć, ewentualnie opóźnić publikację do granic grożących procesem. Nikt nie lubi się przecież przyznawać do pomyłki. Kiedy już nie można uniknąć przykrego obowiązku, pisze się coś najmniejszą czcionką u dołu strony. Komu by się chciało wtedy chodzić do sądu? Zresztą korporacje medialne mają swoich zaprawionych w bojach prawników, którzy tak potrafią napisać odpowiedź na pismo z żądaniem sprostowania, że to pokrzywdzony czuje się, jakby coś przeszkrobał.

No ale czasem po prostu nie da rady inaczej. Trzeba przełknąć gorzką pigułkę, zjeść żabę, wypić nawarzone piwo i napisać tych parę słów. Igor Zalewski napisał kiedyś w „Życiu Warszawy” relację ze spotkania w sejmie, w którym uczestniczyli działacze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego oraz znany działacz polonijny z Litwy Ryszard Maciejkianiec. Czy to redaktor źle usłyszał, czy też może zadziałały inne względy, w każdym razie czytelnicy dowiedzieli się, że z ZChN-em spotkał się Maciej Kijaniec. Sprostowanie - jak przyznaje sam autor - brzmiało idiotycznie, ale koleżanka redakcyjna postawiła poprzeczkę jeszcze wyżej. Napisała tekst, w którym błąd gonił błąd. Sprostowanie było więc długości podobnej jak sam artykuł, a kończyło się stwierdzeniem, że główny bohater tekstu nie nazywa się W. Maślanko, tylko A. Śmietanko.

Ale to jeszcze nic: uśmiercić osobę żyjącą i następnie palnąć sprostowanie w stylu Marka Twaina - „pogłoska o mojej śmierci była mocno przesadzona” - to dopiero coś! A jednak się udało, co zresztą w 1996 roku opisał Włodzimierz Kalicki w „Gazecie Wyborczej”. Historia wydarzyła się w najdłuższym okresie młodego kapitalizmu, czyli w 1993 roku. Późnym wieczorem do redakcji zadzwonił ważny polityk i poinformował o zabójstwie Janusza Leksztonia, wówczas jednego z najbogatszych Polaków, twórcy firmy El-Gaz. Ważny polityk wiadomość otrzymał od pewnego lokalnego polityka z Trójmiasta, którego znajomym był jeszcze inny polityk blisko związany z resortem spraw wewnętrznych. Dwaj ostatni spotkali się przy flaszczyce i po spożyciu odpowiedniej ilości w przypiływie szczerości polityk resortowy przekazał lokalnemu wiadomość o rychłym aresztowaniu biznesmena. Ten postanowił podać ją dalej do Warszawy, ale bojąc się podsłuchu, w rozmowie z kolegą zastosował pewien skomplikowany szyfr:

- Słuchaj, Leksztonia już nie ma. Powtarzam, Leksztonia już nie ma!

Jak nie ma, to nie ma - znaczy: trup. A że człowiek był młody, to pewnie nie zawał,

tylko morderstwo. Czasy były przecież dzikie. I z tą wiadomością ostatni w łańcuchu polityk dzwoni do „Gazety”.

Pełna sensacja, tylko jak ją potwierdzić? Znajomi policjanci nic nie wiedzą albo może wiedzą, tylko nie chcą powiedzieć. Znajomi politycy tak samo. Pokusa jest jednak silna: jako pierwsi puścić takiego newsa?! W końcu kolegium zarządza: publikujemy, ale w tytule na wszelki wypadek damy znak zapytania. Numer idzie do druku. Rano Leksztoń wstaje, wsiada w auto i jedzie z Trójmiasta do Warszawy. O ósmej rano dzwoni do niego sekretarka i przekazuje pogłoskę o jego śmierci. Do firmy dzwonią tabuny dziennikarzy - nic dziwnego, przecież wiadomość jest sensacyjna! W końcu w wieczornych „Wiadomościach” TVP sam Leksztoń występuje w roli Marka Twaina. Nazajutrz „Gazeta” publikuje wyjątkowo głupio brzmiące sprostowanie, jednak szczegółów, jak doszło do tej pomyłki, nie zdradza. Po takiej gafie redakcja woli już działać w imię zasady „ciszej nad tą trumną”.

No dobrze. Sprostowania sprostowaniami, ale najbardziej kuriozalne sprostowanie w historii polskiego dziennikarstwa to wcale nie taka odległa historia. 30 października 2012. „Rzeczpospolita” publikuje słynny artykuł *Trotyl na wraku tupolewa*. W tekście stwierdzenie, że na trzydziestu fotelach we wraku samolotu znaleziono ślady trotylu i nitrogliceryny. Artykuł od świtu jest sensacją dnia. Padają mocne słowa o morderstwie dziewięćdziesięciu sześciu osób, po czym wczesnym popołudniem prokuratura wojskowa organizuje konferencję i dementuje sensacyjne doniesienia „Rzeczpospolitej”. Co wtedy robi gazeta? Publikuje oświadczenie na stronie internetowej. Píše, że jeszcze do sprawy się odniosą, że mają dodatkowe informacje i jutro je opublikują? Ależ skąd. Redakcja obwieszcza: „Pomyliliśmy się, pisząc dziś o trotylu i nitroglicerynie”. Pomyliliśmy się! Nie ma sprawy, drodzy czytelnicy. Ot - taka pomyłka. Chochlik po prostu.



## WYROK W ZAWIESZENIU

Jak zapewnić sobie dwa tygodnie wolnego, gdy nie chcą dać urlopu? To bardzo proste. Trzeba coś przeszkrobać. Z przytupem, ale nie za mocnym, żeby nie wylali z pracy. Nam przecież chodzi o urlop, a nie bezrobocie. No dobrze. Śmichy-chichy, a temat jest poważny. Będzie o karach.

W pracy reportera pułapki kryją się co krok. A to coś się wymysknie człowiekowi na antenie, a to zapomni kogoś nagrać, a to nie zdąży z relacją, a to pokręci fakty. O ile nikt się nie obraził, redakcja nie musi przeproszać, a reporter nie zrobił z siebie wyjątkowego idioty, kończy się zwykle na mniej lub bardziej ostrej reprimendzie. Uszy po sobie i do roboty. Gorzej, gdy trzeba pisać sprostowanie, przeproszać lub patrzeć, jak w wyniku dziennikarskiego błędu wyprzedza nas konkurencja. Wtedy nie ma co liczyć na łaskę, trzeba po męsku znieść karę. Będzie bolało, bo pożegnamy się z częścią wypłaty, ale przynajmniej nas nie wyrzucą. Co więc zrobią? Zawieszą!

Przez szesnaście lat pracy w mediach taka nieprzyjemność spotkała mnie dwa razy. Pierwszy raz zawiesił mnie szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej TVP za próbę wprowadzenia nieznanego gościa na teren Pałacu Prezydenckiego jako członka ekipy „Teleexpressu”. Brzmi grubo, tę historię opisuję w innym rozdziale. Dostałem dwa tygodnie wolnego, a w TVP dwa tygodnie wolnego to dwa tygodnie bez pieniędzy, płacili bowiem za każdego wyemitowanego newsa, a nie za siedzenie w domu. Nie wyszło jednak tak źle - gdyby nie przymusowy odpoczynek, pewnie nigdy nie znalazłbym czasu na napisanie pracy magisterskiej. Wiadomo: człowiek kończy studia, zachłystuje się pracą w telewizji, kto by tam myślał o magisterce. A tak - sukces. Jest dyplom i to na piątkę.

Drugie zawieszenie dopadło mnie już w początkach pracy w TVN24. W dodatku w Boże Narodzenie. Na porannym kolegium dostałem wyjątkowo proste zadanie: pojedziesz do katedry Świętego Jana i nagrasz błogosławieństwo oraz słowo prymasa. Jasne? Jasne! Banał. Jedziemy na Starówkę. Rozstawiamy się w katedrze. Operator filmuje mszę, ja stoję z mikrofonem pod głośnikiem. Krótkie kazanie wygłosił biskup Jarecki. Msza powoli się kończy, a mi w brzuchu burczy.

- Słuchaj, wracamy - mówię do operatora.
- Ty, ale na pewno? Jeszcze się nie skończyło.
- Wracamy, wracamy. Wyjdziemy przed wszystkimi, to łatwiej stąd wyjdziemy.
- Na pewno?

- Na pewno. Zwijaj się, lecimy.

Jak lecimy, to lecimy. Pakujemy sprzęt, wierni trochę są zdziwieni, ale co tam wierni. Koledzy z konkurencji też jeszcze zostają. Ich sprawa. Jak chcą słuchać ogłoszeń, to niech zostaną. Wychodzimy. Wyszliśmy, wracamy do stacji.

- Masz to? - pytają w redakcji.

- Mam.

- Dobra, wgraj kasetę do systemu i masz chwilę luzu. „Fakty” wezmą sobie twoje nagranie, Mikołaj Kunica robi dzisiaj temat o świątecznym głosie Kościoła w sprawie bezrobotnych.

- W porządku.

I tu naszła mnie pewna wątpliwość, bo w kazaniu biskupa nie było ani słowa o bezrobotnych. No ale co tam. Wgrywam materiał. Zjadam kanapkę. Kończę już kawę, gdy przychodzi wydawca.

- Słuchaj, ale nie wgrałeś wszystkiego. Weź wrzuc jeszcze kazanie Glempa.

- Yyy... Kazanie Glempa? Jakie kazanie? Nie było kazania!

- Jak to nie było?! Na koniec mszy prymas wygłasza bożonarodzeniowe posłanie, weź je zrzuć z taśmy. „Fakty” już nas poganiają.

I tu zrobiłem się bardzo blady. Wtedy jeszcze nie pracowałem w „Faktach”, tylko w raczkującym TVN24. Stosunki między pełnym młodych i ambitnych reporterów kanałem a dowodzoną przez Lisa ekipą wyjadaczy charakteryzowała dosyć szorstka przyjaźń. Teraz będzie jeszcze bardziej szorstka. Redaktor Kunica jest - oględnie mówiąc - niezadowolony. Sprawa opiera się o dyrekcję. Do stacji jedzie ściągnięty ze świątecznego obiadu Adam Pieczyński, szef TVN24. Czekając, aż wpadnie do redakcji i gwałtownie zakończy moją karierę reportera, jeszcze gorączkowo się miotam, szukając wyjścia awaryjnego. Koleżanka dzwoni do Polsatu. Mówi, że zepsuła nam się kamera i czy nie mogą w ramach solidarności zawodowej pożyczyć nagrania. W końcu to żaden ekskluzywny wywiad, tylko ogólnodostępna msza. Nie ma sprawy. Koledzy z Polsatu mogą, ale nie pożyczyć, tylko sprzedać. I to za grube pieniądze. Odpada. Ostatnia szansa. Dzwonię do szefa „Teleexpressu”, w którym jeszcze niedawno pracowałem. Też wciskam mu, że kamera się zepsuła i czy może tego Glempa nie pożyczą? Pożyczą, a jakże. Ale musimy podpisać materiał „zdjęcia dzięki uprzejmości TVP”. To też niestety odpada, Lis w życiu na to nie pójdzie. No to koniec. Chłopaki i dziewczyny, miło się z wami pracowało. Szkoda, że akurat w Boże Narodzenie przyjdzie się żegnać, no ale cóż. Do nikogo nie mogę mieć pretensji.

W końcu zjawia się Szef. Wzywa do gabinetu. Rozmowa nie należy do

najprzyjemniejszych, ale tym razem z okazji świąt okazał łaskę. Dał ostatnią szansę. Nie wyrzucił z pracy, tylko zawiesił karnie na dwa tygodnie. To Boże Narodzenie będę długo pamiętał. Szansa była rzeczywiście ostatnia i więcej już cierpliwości szefa na próbę nie wystawiałem. A co z tymi wolnymi dwoma tygodniami? Po pierwsze - nieco się zbliżyłem do narzeczonej, dzięki czemu później została moją żoną. Kryzysy hartują każdy związek. Po drugie... Rzuciłem się w wir hip-hopu. To był rok 2002, wybuch polskiego rapu. Z kolegami tworzyliśmy wówczas grupę Senior Skład. Nasz dorobek do dziś krąży gdzieś po obrzeżach YouTube. Dostałem przy okazji odpowiedni pseudonim, bez niego przecież żaden hip-hopowiec nie może tworzyć. Wiecie, co mi koledzy wymyślili? MC Zawieszony!

Hip-hop w swoich tekstach opiera się głównie na porównaniach i skojarzeniach. Wiem, bo sam je też pisałem. Dawno, bo dawno, ale jednak, i nie jest to żaden fakt prasowy. W następnym odcinku zajmiemy się właśnie skojarzeniami. Mały Józef Oleksy poznaje smak kakao na plebanii, nieco starsi robią hops do buzi, a w TVN grozę wśród dziennikarzy budzi kryptonim „Prosiaczek”. Co takiego? O tym już za chwilę.

## **SKOJARZENIA TO PRZEKLEŃSTWO**

Starsi pewnie świetnie pamiętają, młodszym niewiele to powie - tytuł pochodzi z doskonałej telewizyjnej szopki „Polskie Zoo” Marcina Wolskiego, Jerzego Kryszaka i Andrzeja Zaorskiego, która przez pierwsze lata III Rzeczypospolitej była żelaznym punktem sobotniej ramówki TVP1. Będzie więc o skojarzeniach. W większości takich, których najmłodszy czytelnicy jeszcze raczej nie rozumieją, ale niech się nie przejmują. Redaktorzy tacy niby duzi i doświadczeni, a też niejedną co najmniej dwuznaczność potrafią przepuścić. I jest o czym mówić i w dziennikarskim zoo znów mamy szopkę.

## KAKAO LUB DO BUZI

Redakcja „Polityki” wpadła kiedyś na oryginalny pomysł. Zbliżał się Dzień Dziecka, trzeba było coś zrobić i dziecięco, i politycznie. Hmm. Skoro ma być o dzieciach, to powinno być słodko, a skoro jeszcze o politykach... No jasne! To przecież bardzo proste. Trzeba napisać tekst o politykach, którzy jako dzieci próbowali słodczy. Bohaterowie chętnie opowiadają swoje historie - wiadomo, że nic tak nie osładza wizerunku jak garść lukrowanych wspomnień z dzieciństwa. Wśród przepytanych znalazł się Józef Oleksy. Późniejszy premier i marszałek sejmu swoją służbę publiczną zaczynał przy ołtarzu jako ministrant. Czasy były ciężkie. W „Polityce” można więc było przeczytać: „Józef Oleksy pierwszy raz poznał smak kakao na plebanii u proboszcza”. Pięknie napisane, poszło. W poniedziałek kolegium redakcyjne omawia poprzedni numer. Młodsza część zespołu chichocze po kątach, starsza chyba nie do końca rozumie, o co chodzi. W szkole w takiej sytuacji pani nauczycielka zwykle mówi: „No, proszę, opowiedz wszystkim, chętnie się pośmiejemy!”. Marcin Meller, przedstawiciel chichoczącej części młodzieżowej, zabiera więc głos:

- To może ja wyjaśnię starszym kolegom. To określenie, „kakao”, wiąże się często z seksem. Analnym. I homoseksualnym zresztą też.

Podobno starsze pokolenie było wyjątkowo zniesmaczone. Co też tej dzisiejszej młodzieży chodzi po głowie!

Kolejne skojarzenie pochodzi z sejmu. Pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych, ekipa Telewizji Polskiej dostaje zadanie. Relację trzeba zilustrować ładnie sfilmowaną laską marszałkowską. Niby nic trudnego. Ekipa w składzie: operator, asystent i dźwiękowiec udaje się więc do Kancelarii sejmu z prośbą o możliwość wejścia na salę plenarną. Aktualnie nie ma obrad, poszukiwane insygnium parlamentarnej władzy stoi więc obok pustego fotela nad mównicą. Puk, puk, ekipa przyszła prosić o pozwolenie.

- Dzień dobry, chcielibyśmy zrobić laskę marszałkowską.

- Ale na sali plenarnej jest ciemno.

- Nie szkodzi. Poświecimy i każdy zobaczy laskę pana marszałka.

Skoro już przeszliśmy do skojarzeń z opowieściami snutymi po godzinie dwudziestej trzeciej. Marta Kuligowska - dziś doskonale znana z TVN24 - swoją karierę zaczynała w radiu. Najpierw w Pogodzie, potem w Kolorze. Było to dość dawno, ale do dziś prześladowe ją wspomnienie pewnej radiowej reklamy cukierków. Niby nic, zwykle słodczy, ale ta

reklama szła tak:

„Hops, hops, hops

Raz do buzi

Wszyscy tak robią

Mali i duzi”.

Piękne, prawda? Za każdym razem, kiedy reklama leciała na antenie - a jak na złość leciała akurat pod koniec bloku reklamowego - Marcie odbierało głos i dusiła się od śmiechu. A to przecież nie chodziło o żadne krówki mordoklejki, tylko o proste cukierki z nadzieniem. W różnych smakach. Co gorsza, wredna koleżanka za szybą, chcąc pognębić prowadzącą, gdy tylko zapalała się czerwona lampka ON AIR, bezgłośnie składała usta w powolnym grymasie układającym się w te przekłete HOPS, HOPS, HOPS... I redaktor znów się gotowała. Ech, skojarzenia. Czasem prowadzą wprost do rozkojarzeń.

Przy okazji skojarzyła mi się jeszcze jednak opowieść radiowa, też zresztą z Martą Kuligowską w roli głównej. W radiu muzycznym praca jest lekka, łatwa i przyjemna - w sumie sprowadza się do inteligentnego zapowiadania kolejnych zestawów piosenek. Aby było inteligentnie pełną gębą, czasem trzeba trochę nad zapowiedzią pomyśleć. Odpowiedni czas do namysłu daje tak zwany pilot automatyczny, czyli po prostu program obsługujący playlistę. Prowadząca zapowiedziała właśnie kolejny secik przebojów, więc ma chwilę na oddech. Można nawet wyjść ze studia. Na korytarzu też słyszać antenę. To znaczy: powinno być słyszać. Pani redaktor słucha, lecz nie słyszy. Słyszy ciszę. Ojoj. W radiu to nie najlepszy znak. Już dzwoni telefon z góry, już w eterze wisi grubsza afera. Wpada z powrotem do studia, patrzy na ekran komputera, coś tam się chwilowo przywiesiło, ale już znów wszystko gra. A co tam akurat w radiu gra? Budka Suflera. *Cisza jak ta.*

## GRUCHNĘŁO W PRASIE

Najlepsze dwuznaczności to oczywiście te puszczone na żywo. Zwłaszcza w telewizji śniadaniowej, gdy człowiek jeszcze nieco zaspany, a tu nagle z ekranu leci coś mocniejszego niż podwójne espresso. Stałym elementem porannych programów jest przegląd prasy. Zależnie od autora czasem mamy w nim wiadomości cięższego, czasem lżejszego kalibru - z grubsza o poranku chodzi o to, aby tych drugich nie było mniej niż pierwszych. Po co ludziom tak od rana psuć humor? I tak za chwilę popsują go sobie w pracy.

Tuż przed świętami „Dzień Dobry TVN” prowadzi duet Dorota Wellman - Marcin Prokop, a przegląd prasy przygotowuje Szymon Hołownia. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Wiadomo: Boże Narodzenie za pasem, katolicki publicysta idealnie wpisze się w nastrój ze swoim autorskim spojrzeniem na prasę. I faktycznie. Znalazł doskonale odpowiadający potrzebom chwili tekst o anglikańskim duchownym, który naucza, że gdy ktoś w szczerzej życiowej potrzebie popełnia grzech, to ten zostanie mu odpuszczony. Gdy na przykład głodny ukradnie ze sklepu chleb - potępienie mu nie grozi. Piękna opowieść wigilijna z uniwersalnym przesłaniem.

- Eee, Szymon... To żadna nowość! - redaktor Prokop postanowił nieco przesłanie rozwinąć. - W Kościele już od dwóch tysięcy lat mówi się: „bierzcie i jedzcie z tego wszyscy!”.

Hołownia zrobił oczy w słupek, widzowie podobnie. Zwłaszcza widz o nazwisku Witold Kołodziejcki, wówczas przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Awantura wybuchła straszna, pod choinkę wesoły prowadzący dostał różgę, ale w przypiływie świątecznej dobroci nie stracił jednak posady. Szybko też - na swoją zgubę oczywiście - odzyskał dobry humor.

Znów wspólne spotkanie przy porannym przeglądzie prasy. Akurat w imieniny Marcina. Szymon Hołownia pojawił się w studiu z okolicznościowym drobnym upominkiem. Tuż przed programem wręczył Prokopowi taką małą kopię bokserskiej gruszki na przyssawkę - idealny gadżet, który można przykleić sobie do biurka i w stresującej sytuacji przydzwonić weń pięścią. Jakoś tak się złożyło, że czasu było mało i niestety solenizant nie zdążył prezentu nigdzie schować. Odłożył go więc tylko na podłogę. Zaczyna się wejście na żywo. Hołownia - jak to konserwatywny publicysta - do przeglądu prasy wybiera raczej poważne tematy. „Rzeczpospolita” o sytuacji międzynarodowej, „Gazeta Wyborcza” - dajmy na to - o prześladowaniach mniejszości, słowem: można się obawiać, czy widzowie przy śniadaniu

na pewno wytrzymają kolejną dawkę takich artykułów. W głowie redaktora Prokopa zaświtał więc pewien szatański plan. Trzeba natychmiast zrobić coś, co spuści nieco powietrza i rozładuje zbyt już poważną sytuację. Spogląda na podłogę, a tam sprezentowana mu przed chwilą gruszka.

- Szymon... - W momencie, gdy Hołownia sięga po kolejny poważny tytuł, on sprawnym ruchem wyciąga zabawkę na stół i przykleja ją między płachtami papieru. - Szymon, a waliłeś kiedyś publicznie w gruchę?

Usłyszawszy swój głos i nie usłyszawszy „w” przed ostatnim wyrazem, Prokop lekko pobladł. Hołownia prawie zemdłał. W studiu zapadła nieoczekiwana cisza. Współprowadząca program Dorota Wellman zaczyna się gotować od zduszanego śmiechu. „Oj, tym razem chyba był to bardzo celny cios o charakterze samobójczym” - myśli redaktor Prokop... Ale nie. Znow nie. Chociaż przed końcem programu w słuchawce słyszy wydawcę:

- Był telefon z góry. Z samej góry. Z pytaniem, czy za każdym razem, kiedy pan Prokop pojawi się w telewizji, będzie musiał wypraszać swoje wnuki z pokoju?



## KRYPTONIM PROSIACZEK

To będzie krótka dyktoryjka z początków telewizji TVN. Mało kto z widzów dziś pamięta, ale „Fakty” zaczęły z dużym zadęciem, rzucając wyzwanie magicznej godzinie dziewiętnastej trzydzieści, o której od zawsze Polacy włączali Jedynekę, aby oglądać „Dziennik Telewizyjny”. Gdy w 1997 roku startował TVN, „Dziennika” oczywiście już nie było - zastąpiły go „Wiadomości”, ale przyzwyczajenia widzów zostały. Debiutująca stacja próbowała je zmienić.

Z billboardów reklamowych spoglądali na przyszłych widzów dynamiczni reporterzy poruszający się motocyklami, a nawet śmigłowcem, choć o Błękitnym nikt wówczas nawet nie marzył. W studiu zasiadł znany z TVP korespondent ze Stanów Zjednoczonych - młody, ambitny i modnie uczesany z bocznym przedziałkiem Tomasz Lis. Miała być Ameryka. I była. Prawie. Pierwsze wydanie 3 października 1997 roku nie należało do tych najbardziej udanych. Lis zająknął się już w pierwszym zdaniu, zresztą dziś na pewno nie wsadziłby sam siebie na minę, wrzucając tyle liczebników do jednego zdania:

- Zaczynamy od trwającej trzydzieści godzin... trwającego trzydzieści godzin dramatu dwudziestu pasażerów niemieckiego jachtu w tym dziewiętnaściorga polskich i niemieckich dzieci, wśród których jest półroczne niemowlę.

Wysłana do Gdańska Iwona Radziszewska miała wejście na żywo i też wpisała się w konwencję dramatu - na tym poprzestańmy, debiutanta kopać nie wypada. Oglądalność była znikoma i taka niestety utrzymywała się przez pierwsze miesiące.

Co gorsza, co jakiś czas wypadał ten straszny dzień, gdy popołudniową porą grozę w redakcji siał prosiaczek. „Kryptonim Prosiaczek”. Taki serial szpiegowsko-komediowy, którego prawie nikt nie oglądał. Po nim było jeszcze gorzej niż zwykle. Prosiaczek na szczęście odszedł do chlewika, a niecały rok później stacja odpuściła walkę o magiczną dziewiętnastą trzydzieści. Przeniosła program na punkt siódmą i od razu ruszyło. Powoli, bardzo powoli, acz konsekwentnie „Fakty” zaczęły odbijać widzów telewizji publicznej. Wiele zależało od wysiłków i samozaparucia zespołu, ale sporo też od tego, co aktualnie było na antenie konkurencji i co macierzysta stacja puszczała przed „Faktami” - klątwa prosiaczka wciąż działała. Jeżeli w Jedynce na dobranoc leciały Smerfy, można było sobie darować ciężką pracę. Smerfy zawsze grały Lisowi na nosie - albo raczej to ich mali fani grali na nosie swoim rodzicom. Kiedy natomiast w TVN przed godziną dziewiętnastą kończyła się meksykańska telenowela „Esmeralda”, sukces był jak w banku. Grającą Esmeraldę Leticję

Calderon oglądało pół Polski, które następnie siłą rozpędu podziwiała też redaktora Lisa. Prawdę mówiąc, Esmeralda dla „Faktów” była punktem zwrotnym. Dzięki pokręconym losom meksykańskiej dziewczyny chłopaki znad Wisły wreszcie wyszli na prostą. I tylko jeszcze przez długie lata w dni, kiedy trafiały się fatalne wyniki oglądalności, mawiali, nawiązując do pionierskich czasów: „Co dziś? »Kryptonim Prosiaczek«„.

## INWAZJA MOCZU

Ze skojarzeń telewizyjnych wróćmy do radia. Druga połowa lat dziewięćdziesiątych w eterze należała do radia RMF FM. Dynamicznie atakowało ono rynek, czego kulminacją co roku była wielka wakacyjna trasa promocyjna „Inwazja mocy”. Rzeczywiście, moc była. Przez ponad dwa miesiące po Polsce krążył potężny konwój żółto-niebieskich ciężarówek, samochodów, wozów pancernych, motocykli, a nawet helikopter. Na plenerowych koncertach grały najlepsze polskie zespoły, rozdawano tony gadżetów, zabawa była przednia. W 2000 roku kulminacją imprezy był koncert Scorpionsów w Krakowie, na który przyszło od siedmiuset do ośmiuset tysięcy osób - z takim rozmachem organizowano tylko pielgrzymki papieskie.

Wielka impreza, to i wielkie przygotowania. Przed rozpoczęciem „Inwazji” odbywały się treningi. W leśną głuszę, z dala od cywilizacji sprowadzano sprzęt, reporterów przebierano w żółto-niebieskie firmowe wdzianka i zgrywano wszystko ze sobą. Jedne z takich manewrów odbywały się w Cisnej w Bieszczadach. Rozstawiona scena, namioty, sprowadzony wóz transmisyjny i wóz pancerny też. Dookoła kręcą się żółto-niebieskie ludki. Nagle leśnym duktem wychodzi parka niemieckich turystów. Rozgląda się po tym bieszczadzkiem zbiegowisku i wyznaje:

- Ojej... Tak nas ostrzegano, że w tej Polsce tylko dzicz i bandyterka, a tu tylu ratowników!

Wśród pracowników radia imprezę przezywano „Inwazją moczu”, co dyrektora Edwarda Mischczaka doprowadzało do białej gorączki. Prosił, groził, apelował:

- Nie mówcie tak, bo pewnego dnia ktoś się zapomni i polecą to antenie!

Ale kto by tam słuchał dyrektora. „Inwazja moczu” brzmi przecież bardzo zabawnie. No i słuchacze też w końcu setnie się ubawili, gdy jedna z gwiazd rozgłośni palnęła w wejściu na żywo:

- Kolejne miasto na trasie „Inwazji Mocz” RMF...

To skoro już zeszliśmy na ten poziom. „Inwazja” podbijała serca słuchaczy mnóstwem gadżetów w barwach radia. Rozdawano koszulki, długopisy, kubki - ale wielki wizjoner radiowego biznesu i twórca RMF Stanisław Tyczyński wymagał więcej. Bo rzeczywiście: koszulki, długopisy i kubki rozdawać może równie dobrze lokalna gazeta na festynie gminnym. Wielkie ogólnopolskie radio musiało zaskoczyć czymś innym. Czymś, co będzie absolutnym hitem i odróżni je od innych.

Przed jedną z „Inwazji” zebrały się więc mądre głowy ze wszystkich ośrodków radia i radzą nad gadżetem przebojowym.

Prezes otwiera dyskusję:

- Z czym wam się kojarzą wakacje? Co ludzie najczęściej robią w lecie?

- No właśnie, co? - zasepili się dziennikarze.

Jedzą, piją... No ale noża i widelca w barwach radia przecież im nie damy, bo w tłumie się pozabijają. Opalają się? Olejek? Eee tam. To co jeszcze robi młodzież w lecie? No jak to co? W lecie młodzież uprawia seks! Na obozach, pod namiotami, na plażach Bałtyku, wśród mazurskich komarów i na skałach Podhala. A skoro tak, to najlepszym i najbardziej przydatnym gadżetem radiowym będzie prezerwatywa! Ten genialny w swej prostocie plan szybko przekuto w czyn i podkrakowski Unimil miał nowe zajęcie: tłoczenie tysięcy gum opakowanych w żółtą folię z wychodzącą ze skórki banana niebieską smoczyką Matyldą, maskotką RMF FM. Prezerwatywy sypały się ze sceny, były też przedmiotem bardzo rozrywkowych konkursów opartych oczywiście na odpowiednich skojarzeniach, takich jak „zrób sobie czapkę pilota”. Jak wyglądała modelowa czapka pilota wykonana z produktów przemysłu gumowego? Pozostawiam wyobraźni - fakt faktem, że był to pomysł wysokich lotów.

## ZWIĄZEK ŻYDÓW

Ech, skojarzenia. Zwykle są zabawne, ale gdy zahaczają o tematy mniejszości, robi się niebezpiecznie. Raz strażnicy narodowej tradycji mówią ci, że pracujesz w żydowskiej gazecie, radiu czy telewizji, innym razem postępowe środowiska oburzają się na twój zaściankowy język i na dzień dobry walą na odlew oskarżeniami o antysemityzm. I bądź tu człowieku mądry.

W sejmie pierwszej kadencji toczyły się prace nad nową ordynacją wyborczą. Ówczesny parlament wybrano tak, że dostało się do niego mnóstwo partii (z Polską Partią Przyjaciół Piwa włącznie), a zastosowany algorytm przeliczania głosów oraz brak progu wyborczego powodowały, że żaden rząd nie mógł liczyć na sensowną i stabilną większość, skoro w koalicji miał kilkanaście ugrupowań. Nowa ordynacja miała to ukrócić i zresztą ukróciła - z niewielkimi zmianami obowiązuje do dziś.

Komisja przygotowująca projekt zdecydowała, że listy kandydatów wystawiać mogą jedynie partie, związki zawodowe i organizacje mniejszości narodowych. To już jakiś news, trzeba napisać tekst. Czytelnikom „Życia Warszawy” nowe koncepcje wyborcze przybliżał Igor Zalewski. Redaktor usiadł i pisał. Szło mu jak z płatka do czasu, gdy miał pomyśleć nad tytułem. Tu wena nieoczekiwanie się skończyła. Tytuł oczywiście być musiał, zebrało się więc konsylium w składzie: autor, Piotr Zaremba i Robert Krasowski. Nadal im jednak nie szło. Tytuły banalne odrzucili, te niebanalne nie zmieściły się w layoucie strony, redaktorzy niebezpiecznie więc skręcali w stronę absurdu. Jeden z odjazdowych wariantów brzmiał: *Listy partii, związków i Żydów*. Gdzieś tam go zapisali, po czym radzili dalej. W końcu sięgnęli po tytuł banalny, wrzucili na stronę i gotowe. Chochlik też był już w pełnej gotowości. Wyrzucił zaakceptowany tytuł i sięgnął po partie, związki i Żydów. Tekst w tej wersji przeszedł przez redakcję i korektę, trafił na ścianę. Tu też nikt nie zauważył oryginalnego tytułu. Gazeta poszła do druku.

Następnego dnia w sejmie redaktor Zalewski spotyka kolegów z od zawsze wyczulonej na wszelkie takie aluzje „Gazety Wyborczej”. Koledzy relacjonują, że chochlikowy tytuł bardzo się nie spodobał redaktorowi naczelnemu. No cóż. Wszystkim dogodzić się nie da. Za to Michał Kamiński (wówczas polityk Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego) piał z zachwytem. Dziś pewnie tego nie kojarzy.

## KOŃ, OWIES I HARCE NA SIANKU

To dopiero będzie gra skojarzeń! Renata Beger to nie tylko najbardziej znana była posłanka Samoobrony, ale i największa seksbomba IV Rzeczypospolitej, co powszechnie wiadomo, odkąd na łamach „Super Expressu” obwieściła: „Seks lubię jak koń owies”, a „kolega twierdzi nawet, że mam kurwiki w oczach”. O temperamencie pani poseł przekonał się Michał Wójcik (ten od wywiadu ze Stingiem) piszący dla „Przekroju” tekst *Królowa Samoobrony*. Materiał jest świetny, fragment zacytuję za chwilę, ale najpierw słówko o kulisach jego powstawania.

Piotr Najsztub, wówczas (rok 2003) naczelny „Przekroju”, wpadł na pomysł stworzenia cyklu artykułów pod hasłem „24 godziny z życia”. Jedną z bohaterek miała być pani poseł Beger. Redaktor Wójcik opisywanie doby życia pani poseł rozpoczął od porannej wizyty w jej warszawskim mieszkaniu. Przyszedł z fotoreporterem. Porozmawiali, wywiad piękny, zdjęcia zrobione, powoli można zmieniać lokal i przenieść się do sejmu. Pani poseł się ubiera. U góry już szykowny kostium, na nogach jeszcze papucie. Uwagę redaktora przykuł jakiś szczegół, zamyślił się, po czym odwrócił i jak zza ściany słyszy: „Możemy zrobić na dwa baty” oraz widzi uchachaną panią Renatę i kolegę fotoreportera czerwonego jak burak. O co chodziło? Czy to żart, czy może przegapił kontekst? Kolega zeznaje, że pani poseł raczyła zażartować na temat ewentualnych wieczornych zabaw raczej dla dorosłych. A to ci dopiero! Ale czy tak naprawdę powiedziała?

Wątpliwościami co do interpretacji żartu redaktor podzielił się z kolegami podczas spotkania towarzyskiego w piwnicy „U Architektów”. Na spotkaniu bawi się dziennikarskie towarzystwo, a Wójcik - świeżo po wywiadzie z gwiazdą Samoobrony - wciąż nie może dojść do siebie i dosyć emocjonalnym tonem opowiada o tajemniczych „dwóch batach”, co do których wciąż nie jest pewien, czy chodziło o zaproszenie do *ménage à trois*, czy też może o obserwację stajenną. A w stajni - wiadomo - koń i owies, a więc w sumie sprowadza się do tego samego. Można było się jednak spodziewać, że snucie tej arcyciekawej opowieści publicznie „U Architektów” sprawi, że ktoś ją usłyszy. Na przykład redaktorzy Robert Mazurek i Igor Zalewski, autorzy rubryki „Z życia koalicji, z życia opozycji”. No i niestety. Na wyniesionym z architektonicznej piwnicy ruszcie zbudowali własną opowieść, po czym opublikowali ją w tygodniku „Wprost”. Redaktora Wójcika nie wymienili z nazwiska, napisali tylko „dziennikarz tygodnika zaczynającego się na literę P”, ale kto miał wiedzieć,

o co chodzi, ten wiedział. Bohaterka tekstu też. Obiecywałem jednak cytat, więc dosyć już didaskaliów. Oto i on:

„Godzina 8.00. Pobudka pani poseł. Przez okna wynajętego mieszkania na warszawskim Powiślu wpadają promienie słońca.

- Bez tego - pani poseł wskazuje pierwsze liście na drzewach - udusiłabym się w Warszawie.

Po drugiej stronie ulicy mieści się siedziba SLD. Każde spojrzenie w tamtą stronę napawa posłankę szczerą radością. Z ostatnich niepublikowanych i - według pani Beger - utajnionych badań opinii publicznej wynika, że Samoobrona ma już 26 procent poparcia i wyprzedza SLD. Zwycięstwo w przyspieszonych wyborach to zatem tylko kwestia czasu. Wtedy Samoobrona utworzy rząd. Renata Beger zajmie się w nim finansami państwa. Koleżanki i koledzy z partii widzą ją na stanowisku ministra. Pani Renata myśli o sobie skromniej. Raz mówi, że chce być w otoczeniu ministra, raz, że w jego cieniu. W końcu wyznaje:

- Będę wiceministrem”.

Prorok jaki czy co? I to wszystko pisane było w maju 2003 roku, czyli właśnie wtedy, gdy ukazał się słynny wywiad z „kurwikami w oczach” dla „Super Expressu”. Premierem był Leszek Miller, trwały prace Komisji Rywina. Renata Beger pytała świadków, jakimi są ludźmi, a słuchając odpowiedzi, snuła po cichu wizje przyszłości, które już za dwa lata miały się spełnić. Z ministrowania nic nie wyszło, ale udało się zostać bardzo poważnym politykiem, zainstalować w pokoju kamery TVN i zabłysnąć na antenie programu „Teraz my!”. Już nie na dwa baty, tylko na cztery fajery. I co? I niestety to by było na tyle. Minął kolejny rok, Renata Beger ostatecznie opuściła sejmowy hotel wraz z resztą gości z Samoobrony. Tak to już jest. Raz człowiek bryluje w życiu koalicji, raz w życiu opozycji, ale nigdy w życiu nie spodziewa się, że tak szybko brylować przestanie i w publicznej pamięci zostaną po nim głównie kurwiki.

I tym słodko-gorzkim akcentem zamykamy ten rozdział. Jak pamiętają widzowie „Polskiego zoo” - „skojarzenia to przekleństwo, więc możemy dziś dać głowę: jakiegokolwiek podobieństwo było czysto przypadkowe”. Ponieważ trochę chyba obniżyliśmy loty, za chwilę polecimy na znacznie wyższy pułap. Wsiądziemy w rządowego tupolewa i ruszymy w delegację zagraniczną. Niech tam poznają, co potrafią nasi wysłannicy!

## W DELEGACJI

Po czym poznać za granicą polskiego turystę? Po skarpetach założonych do sandałów, krótkich spodniach podciągniętych powyżej wydatnego brzucha i braku jakichkolwiek wątpliwości co do tego, że świat należy do nas i wszyscy powinni mówić po polsku. Jeżeli jeszcze nie mówią, to mają się nauczyć. A po czym poznać za granicą polskiego dziennikarza? Po zamieszaniu. Nikt tak jak my nie potrafi robić wokół siebie tyle hałasu. Zaczyna się już w drodze.



## TAK W TU JEST

Samoloty Tu-154 w barwach polskich sił powietrznych dziś nie kojarzą się najlepiej, ale jeszcze kilka lat temu latający nimi dziennikarze mieli same dobre wspomnienia. Też kiedyś miałem przyjemność lecieć którymś z nich na Litwę z prezydentem Kwaśniewskim. Wystartowaliśmy rankiem z Warszawy bez prezydenta, ten miał dołączyć do nas w Szczytnie, gdzie odwiedzał szkołę policyjną. Tupolew podchodził do lądowania w Szymanach we mgle - może nie takiej jak ta smoleńska, ale widoczność była jednak ograniczona. Tuż nad ziemią pilot nagle wrzuca pełną moc i maszyna odchodzi na drugi krąg. Lecimy, lecimy, okrążamy lotnisko, drugie podejście. Już widać drzewa i znowu pełna moc. Ki diabeł?

- Proszę państwa, spokojnie - słyhać głos kapitana. - Zwierzyna jest na pasie. Sarny. Służby lotniska właśnie je przeganiają - wyjaśnia.

Za trzecim razem się udaje i zieloni z wrażenia dziennikarze oraz biznesmeni zabrani przez prezydenta witają na pokładzie gospodarza.

Kwaśniewski się dosiada, zamienia parę słów i idzie do swojej salonki. A my wraz z biznesmenami przechodzimy na tył. Po takiej przygodzie czas na coś mocniejszego (wcale nie słynne małpki - whisky lano z dużych butelek) i papieroska. Bo tupolewy były już ostatnimi maszynami pasażerskimi w cywilizowanym lotnictwie, w których wolno było palić. Siadało się z tyłu, koło toalety, za popielniczkę robiła puszka po coli i skolatane nerwy nieco się uspokajały. Zwłaszcza że podobnych przygód z tymi samolotami było bez liku.

Jacek Pałasiński też opowiadał mi jedną taką historię. Leciał z premierem Buzkiem oraz delegacją polskich biznesmenów z Palma de Mallorca do Madrytu. Trafiło mu się miejsce obok przedsiębiorcy z Opolszczyzny. W tupolewie kto miał szczęście, siedział w rzędzie prezesowskim. Kilka foteli było wyjętych, a między rzędy wmontowano stoły. Normalne stoły, nie żadne tam lotnicze plastikowe namiastki. Drewniane meble ze składanymi blatami. Cud, elegancja! Przy stołach toczyło się życie towarzyskie pasażerów rządowych linii lotniczych przerywane tylko wychodzeniem na tył samolotu celem puszczenia dymka. No więc siedzi tam redaktor Pałasiński ramię w ramię z biznesmenem. Samolot startuje, nabiera wysokości. Warunki fatalne. Leje deszcz, na dodatek błyska się i grzmi. Nagle jak coś nie błysnie, jak nie huknie! Przygasło światło, ale i tak jest bardzo jasno. Rąbnął piorun i na końcu skrzydła przyczepiła się właśnie kula ognia.

- Wie pan... - zaczyna przedsiębiorca. - Ja pierwszy raz w życiu lecę samolotem. To tak ma być, prawda?

- Ależ oczywiście - zapewnia reporter. - To zupełnie normalne!

Zupełnie normalne jest też to, że samolot w Madrycie lądował zdecydowanie lżejszy. Niektóre butelki jakoś wyschły. Podawanie alkoholu na pokładzie ukrócił dopiero prezydent Lech Kaczyński. Może i dobrze, bo przez nadmiar odlotowych pomysłów maszyna sama mogła wylecieć w powietrze.

Znów Madryt, ale już nie za czasów premiera Buzka, tylko Millera. Wizyta się kończy, wybiła godzina odlotu. Premier się spóźnia. Samolot stoi na lotnisku Barajas kwadras, pół godziny, godzinę. W środku czekają dziennikarze i współpracownicy Leszka Millera. Aby skrócić oczekiwanie i rozluźnić atmosferę, stewardessy podają whisky. Mija kolejna godzina. Towarzystwo się podochociło. Zapaliłby człowiek. Jeden z bardziej dziś znanych dziennikarzy wychodzi więc zapalić. Do przedsiönka. A tam otwarte drzwi i trap. Co za cudowne zrządzenie losu! Jeszcze można się przewietrzyć! Wychodzi na schodki i walczy z zapalkami. Trochę wszak wieje. W końcu udaje się. Rzuca zapalkę i zaciąga się dymem. Oraz jakimś jeszcze zapachem. A co to? Nafta?! O, trwa właśnie tankowanie... Dalszą podróż do wnętrza samolotu redaktor przebył drogą powietrzną wciągnięty przez obsługę w trybie pilnym.

Wracając jeszcze do biznesmenów. Ci zawsze stanowili żelazny punkt wizyt o charakterze gospodarczym. Przedstawiciele niby wielkich firm, a często zachowywali się jak koloniści, którzy wykorzystując nieobecność wychowawcy, przemycili właśnie do pokoju flaszkę. Albo może raczej jak polscy turyści lecący czarterem do Egiptu. Gdy tylko rządowy samolot startował w dłuższy rejs, startowała też biznesowa impreza zapoznawcza. Najciekawsze były trasy najdłuższe, atlantyckie i dalekowschodnie, bo wtedy można było się znietrzeźwić, zaprzyjaźnić ze współpasażerami i jeszcze w miarę odzyskać formę przed przybyciem na miejsce. Zwłaszcza że takie wyprawy tupolewem wymagały międzylądowania na tankowanie. Tankowano więc do pełna. Niewiele gorsze były kierunki bliskowschodnie. To też ładnych parę godzin lotu. Podczas jednej z wizyt prezydenta Kwaśniewskiego w krajach Zatoki Perskiej okazało się, że któryś z przedstawicieli biznesu akurat ma urodziny. Panowie chętnie podzielili się z jubilatem swoimi zapasami i cała druga część lotu upłynęła w akompaniamencie „gwiazdka pomyślnooości nigdy nie zagaaaaśnie”. W końcu do świętującej grupy podszedł minister Andrzej Majkowski z Kancelarii Prezydenta i sprowadził towarzystwo na ziemię:

- Panowie! Za godzinę lądujemy w kraju muzułmańskim, w którym panuje PRO-HI-BI-CJA! Sugeruję, aby już zaprzestać!

Panowie zaprzestali, skandalu nie było. W sumie jednak strasznie żal tych

specpułkowych linii lotniczych. Dzisiejsza flota rządowa jest zdecydowanie mniej odlotowa.

## BYWA GORĄCO

Wizyty zagraniczne polskich delegacji to na ogół przyjemne oderwanie od codziennych obowiązków - zwłaszcza gdy wizyta jest dłuższa niż typowa, jednodniowa. W lipcu 2000 roku premier Jerzy Buzek poleciał do Rzymu, a z nim doborowa grupa dziennikarzy z Tomaszem Lipko z Zetki i Mikołajem Lizutem z „Gazety Wyborczej” na czele. Tupolew wylądował wieczorem, było więc jeszcze trochę czasu, aby bliżej zapoznać się z Rzymem. Zwłaszcza z jego licznymi otwartymi do późnej nocy knajpami. Niestety, rano pojawiły się pewne efekty uboczne: zmęczenie, ból głowy i zwiększona wrażliwość na wysoką temperaturę. A obowiązek wzywa. W dodatku bardzo oficjalny. Trzeba wbić się w garnitury i iść na plac Świętego Piotra. Na miejscu już czeka wygrodzony kojec dla dziennikarzy.

Wspomniałem, że jest lipiec? Wspomniałem. Żar się leje z nieba, nad miejscem dla reporterów nie ma żadnego zadaszenia. Panowie w eleganckich garniturach i z potężnym kacem kwitną na środku patelni, a zanoszą się niestety na to, że czekanie będzie długie. Redaktor Lipko wpada więc na ratujący życie pomysł.

- Lizzy - zaczepia Lizuta - stanie tutaj nie ma sensu. Chodź, pójdziemy na małe zimne piwo.

- Dobra! - Towarzysza wieczornej wyprawy w tym stanie nie trzeba namawiać na napoje chłodząco-łagodzące. - Tylko, Lipku, słuchaj, wpadnę jeszcze do biura prasowego, wezmę tekst przemówienia papieża.

- OK, chodźmy.

Reporterzy przeciskają się przez spocony tłum wiernych. Lipko zostaje z tyłu, Lizut idzie do biura mieszczącego się u wylotu placu Świętego Piotra. Chwilę mu to zajęło, ale już jest. Wraca i co widzi? Oto bosy (ale w garniturze) Lipko szarpie się właśnie z karabinierami, a na widok kolegi woła na cały głos:

- Lizzy, dzwoń do ambasady! Włoskie psy mnie zwijają!!!

Ale o co chodzi? Otóż redaktor zabrał na wyjazd swoje nie najnowsze już lakierki. Pasowały do garnituru. Radiowcy dosyć rzadko chodzą w takim stroju, więc lakierki nie są rozchodzone i niemiłosiernie piją w stopy. A do tego jeszcze ten upał i kac... Redaktor wiele się więc nie namyślał, tylko wziął i buciki hiszpańskie zdjął. To z kolei nie spodobało się przechodzącemu patrolowi - no bo kto to widział, aby zdejmować buty na środku Watykanu? Demonstracja albo prowokacja - to przecież oczywiste.

Na marginesie trzeba dodać, że redaktor Lipko nie przepada za funkcjonariuszami służb mundurowych czy też szerzej: za przedstawicielami aparatu przymusu. Lizut próbuje jakoś załagodzić sytuację, Lipko karabinierów coraz bezczelniej prowokuje. Nie założy butów i już. Mogą go zamknąć. Ci najwyraźniej jednak nie chcą. Po co im taki kłopot - dziennikarz na komendzie i to jeszcze z Polski. Będą same nieprzyjemności dla wszystkich, a w tym upale Włosi starają się wszelkich nieprzyjemności unikać. W końcu jakoś udaje się niepokornego reportera uprosić. Zakłada ciasne lakierki, niech już mają. Karabinierzy oddychają z ulgą, mogą wrócić na służbę. Jeszcze tylko pan Lipko ma dla nich jedno przesłanie. Rzec się dzieje dzień po finale piłkarskich mistrzostw Europy. Francuzi pokonali Włochów dwa do jednego. Co więc powie redaktor?

- E, carabinieri! Ale wczoraj Francuzi wam...

I tu wykonał gest kojarzący się z prokreacją. Karabinierzy jak na komendę zawrócili. Tym razem nie było mowy o negocjacjach. Błyskawicznie złapali naszego zucha i zaciągnęli na komendę. Lizut może sobie protestować, ale taka zniewaga wymaga... no, na szczęście nie krwi. Wystarczyła interwencja attaché prasowego polskiej ambasady.

## OPATRZNOŚĆ CZUWA

Pozostaliśmy we Włoszech. Szczyt grupy G8 z 2001 roku mieszkańcy Genui pamiętają do dziś. Jeszcze nigdy ich miasto nie zmieniło się w taką twierdzę i jeszcze nigdy na ulicach nie dochodziło do takich zamieszek. Nie żeby się na taki scenariusz nie zносиło. Znosiło się, a i owszem. Niczym na deszcz w listopadzie. Służby zmieniły miasto w zmilitaryzowany obóz. Cały kwartał dzielnicy portowej wycięto z życia, odgradzono podwójnym płotem wysokim na osiem metrów i szczelnie obstawiono policjantami ściągniętymi z całych Włoch.

Z całych Włoch - ba, z całej Europy - do miasta ściągnęli też antyglobaliści wówczas zajmujący się krytyką polityczną w wersji ulicznej w imię hasła „co na ulicy, to wróg”. W takiej przedburzowej atmosferze do miasta przyjeżdża Jacek Pałasiński. Jego szefowie z Radia Zet też wiedzą, że będzie jatka, czyli popłyną ekskluzywne własne newsy z linii frontu. Są tylko dwa wyzwania natury logistycznej. Pierwsze to: gdzie zamieszkać? Eleganckie hotele wokół portu są już pozajmowane przez liczne delegacje, pozostają więc te nieco mniej eleganckie. Właściwie to wcale nie eleganckie. Właściciele wszystkich spelun w okolicy wyczuli interes i wabią dziennikarzy, zamieniając swoje podejrzane interesy w hoteliki. Do jednego z takich przybytków trafia nasz wysłannik.

Portier żarliwie się modli, wychwalając Przenajświętszą Panienkę, i kłania w pas panom żurnalistom. Tylko dlaczego w wystroju wnętrza dominuje czerwień? Bo to burdel, kochani. Portowy zamtuż chwilowo przerobiony na hotel dla dziennikarzy obsługujących szczyt. Kłopot z mieszkaniem mamy więc załatwiony, pozostaje problem numer dwa: co zrobić z samochodem? I to nie byle jakim, bo świeżutko odebrany z salonu fiatem punto. Pachnące nowością autko idealnie się sprawdzi na polu oczekiwanej bitwy, prawda? Mamy więc problem. Do zamkniętej strefy portowej samochodem bez specjalnej przepustki wjechać się nie da. Pozostawienie go za ośmiometrowym płotem byłoby raczej mało roztropne - tam wszakże ma się rozegrać bitwa bazy z nadbudową. Pałasiński robi krótkie rozeznanie wśród miejscowych. Wskazują spokojną aleję przy wyjeździe z centrum. Faktycznie, okolica budzi zaufanie. Zresztą miejscowi też najwyraźniej wybrali ją na tymczasowy parking - wokół mnóstwo aut, na szczęście udaje się znaleźć miejsce i fiacik już jest bezpieczny.

Następnego dnia zaczyna się szczyt, a wraz z nim - piekło. Miasto płonie, w zamieszkach ginie młody człowiek, centrum wokół portu wygląda, jakby z wody wyszła właśnie bardzo wkurzona Godzilla. Rozruchy trwają trzy dni, roboty dziennikarskiej jest huk. W końcu opada bitewny kurz. Przywódcy najbogatszych państw wyjeżdżają, ich zbuntowani

obywatele również. Można odetchnąć i pojechać po auto. Jacek Pałasiński jedzie na miejsce. To tu? Nie, niemożliwe. Godzilla najwyraźniej doceniła urok cichej okolicy, bo piękna aleja wygląda nieco inaczej niż trzy dni temu. Szyby w oknach powybijane, latarnie połamane, śmietniki porozrzucane. Przy krawężniku stoi równy rząd spalonych aut. Okazało się, że podczas tłumienia zamieszek policja właśnie tu spychała demonstrantów i parking fiacika znalazł się na środku linii frontu. Ale co to? W rzędzie osmalonych wraków jeden samochód błyszczy się w słońcu. Fiat punto! Schował się pod wielkim kontenerem na śmieci, który pewnie robił za fragment barykady. Ma ledwie kilka rysek. Jak to możliwe? Jest tylko jedno rozwiązanie. Burdelpapa z portowego domu uciech wymodlił łaskę Opatrzności.

## FAKTY ODJAZDOWE

Gdy w delegację zagraniczną jedzie jeden dziennikarz - mały kłopot. Gdy jednak wybiera się pół redakcji, los tylko czeka, aby spłatać jakiegoś figla. Wśród wielu nowości, jakie do polskich mediów wprowadziły „Fakty” TVN, są także wydania wyjazdowe. Dziś każdy już to robi, gdy tylko nadarza się większa okazja: wybory prezydenckie w Stanach, konklawe czy rocznica Smoleńska. Rozmach jest spory, wydanie poprzedzone solidną dokumentacją lokalną - tu postawimy kamerę, tam będzie piękny kadr, a tu jest kibelek, jakby co. Na miejsce jedzie cała ekipa: prowadzący, reporterzy, wydawcy, producenci. Amerykańskie sieci telewizyjne pracują tak od lat, nasi wysłannicy przeprowadzali rozpoznanie bojem. Nieraz dosłownie.

Jednym z pierwszych przedsięwzięć z takim rozmachem były „Fakty” z Iraku w 2003 roku, gdy po zakończonej wojnie Polacy obejmowali swoją strefę okupacyjną. Wróc. Stabilizacyjną. Jak zwał, tak zwał. Nasi żołnierze lądują w bazie Babilon, nasi dziennikarze w Hotelu Palestyna w Bagdadzie. Wielki budynek, z dachu rozciąga się piękny widok, słowem - idealne miejsce na specjalne wydanie „Faktów”, zresztą wykorzystują je od dawna także inne telewizje.

Ekipa rozstawia sprzęt. Kamery, światło, nadajnik satelitarny. Pod kamerą montują prompter.

- Halo Warszawa, słyszycie?

- Słyszemy.

Cudnie. Będzie dziennik na sto dwa. Mija osiemnasta. Tomasz Lis przypudrowany, sprawdza zapowiedzi w prompterze. Pierwsza jest, druga jest, wszystko gra. A trzecia? Nie ma. Czwarta? Brak. Co gorsza, nie ma już też tej pierwszej i drugiej. Właściwie to niczego już nie ma. Ciemność kompletna, prompter wysiadł. W zasadzie prowadzący może materiały zapowiadać z głowy - teksty sam sobie przecież napisał - ale a nuż się pomyli? W prompterze jest wszystko, nawet przywitanie „Tomasz Lis, »Fakty«, witam Państwa”. Po co?

- A jak zapomnę, jak się nazywam, to co? - odpowiedział kiedyś zapytany o to Lis.

Aktualnie nie ma jednak niczego.

Cisnienie rośnie podnoszone soczystymi wiązkami prowadzącego. Która godzina? Osiemnasta trzydzieści. Maszynaria jest włączona? Włączona. Podłączona? Podłączona. No to gdzie tkwi problem? Na łączach, drogi Watsonie. Kabelki wysiadły. Dawaj więc, zaczynają się nerwowe poszukiwania pasujących przewodów. Obok stanowiska „Faktów” swoje



plenerowe studio ma agencja Associated Press. Kabelków ci u nich dostatek. Pożyczą? Pożyczą. Idzie już ich technik, niesie. Co on tam ma? Zbawienie! W niepozornej formie sparciałych przewodów jak żywcem wyjętych ze starych 29. Stary star dawał jednak radę, to i kable dadzą. Klik, podłączone. Jest obraz! Są zapowiedzi! A która to godzina? osiemnasta pięćdziesiąt osiem. Jeszcze dużo czasu - jak by to powiedział trener Wenta.

Równie nerwowo było na wyborach prezydenckich w Rosji. Maj roku 2000, Władimir Putin pełni obowiązki prezydenta po tym, jak Borys Jelcyn w grudniu poprzedniego roku oddał władzę. Teraz będzie już oficjalnie wybrany, na Rosję patrzy więc cały świat, a Tomasz Lis aktualnie patrzy na nią z dachu moskiewskiej siedziby Agencji Reutera. Dach od dawna pełni funkcję otwartego studia - jeżeli tylko któraś telewizja ma życzenie, wynajmuje miejsce i można nadawać. W przededniu wyborów nadaje z niego TVN. Tym razem prompter działa. Jest też połączenie. Tomasz Lis słyszy studio w Warszawie przez słuchawkę przypiętą do telefonu komórkowego, Warszawa i widzowie będą go widzieli i słyszeli przez satelitę. Tak to zawsze jest i zawsze działa. Rutynowe sprawdzenie, czy działa i tym razem.

- Widzimy się?

- Widzimy.

- Słyszemy?

- Co?

- Słyszemy się?

-...

- Czy się słyszemy?!

-...

- Co on tam gada? - zastanawiają się w reżyserce w Warszawie.

Jeszcze przed chwilą wszystko widzieli i słyszeli, a tu wizja nadal jest, ale fonię redaktor nagle utracił. Lis rusza ustami i cały zresztą już się rusza. Tak jakoś coraz bardziej zwawo. Dzwonią do Moskwy. Co się stało? Nie ma dźwięku. Do wejścia na antenę kilka minut. Oględnie mówiąc, robi się trochę nerwowo.

W studiu w Warszawie na wszelki wypadek siedzi gotowy do poprowadzenia „Faktów” Roman Młodkowski i wszystko wskazuje na to, że ten wszelki wypadek zaraz nastąpi. Na dachu w Moskwie rozpoczyna się bieżączka. Co wysiadło? Wszystkie urządzenia są włączone, widać, coś musiało się rozpiąć piętro niżej, gdzie zbiegają się kable. Trzeba otworzyć klapę wejściową, zawołać miejscowego technika, ten naprawi, co trzeba, i nadajemy. Jeszcze przecież dużo czasu. Tylko klapa ani drgnie. Mocują się, stękają, nic. To co robimy na razie, bo jest za minutę siódma? Opóźniamy - decyduje wydawca w Warszawie.

W Moskwie walka z klapą trwa. Dziewiętnasta zero jeden. Emisja wrzuca na antenę TVN zapowiedzi wieczornych filmów. Lis wkurzony, Młodkowski podpięty, kłapa nic. Dziewiętnasta zero dwie. Widzowie trochę się pewnie dziwią i z niedowierzaniem patrzą na zegarki. W telewizji wciąż zapowiedzi wieczornego kina akcji, a tymczasem kino akcji trwa tu na żywo. Dziewiętnasta zero trzy. Zapowiedzi wieczornych filmów się skończyły, wrzucają zapowiedzi jutrzejsze. Kłapa ani drgnie. Gdzie jest numer do tego Ruska? Jest! Dzwonią. Dziewiętnasta zero cztery. Skończyły się zapowiedzi jutrzejszych filmów, emisja dorzuca zapowiedzi filmów wczorajszych. Jest co oglądać. W Moskwie patrzą głównie na kłapę, a ona nic. *Gniotsa nie łamiotsa*, jak mawiają miejscowi. Właśnie, miejscowi. Technik w końcu odebrał telefon. *Charaszo*, zaraz będzie. Dziewiętnasta zero pięć. Skończyły się zapowiedzi wczorajszych filmów. Wrzucamy przedwczorajsze? Nie. Poddajemy się. Uruchamiamy plan awaryjny. Czołówka, trzy, dwa, jeden, jesteś.

- Roman Młodkowski, „Fakty”, witam państwa...

Pod koniec dziennika zatrzaśnięta kłapa się otwiera, wrócił nasz przyjaciel Rosjanin. *Szto słucilos. Wot*, technik skończył pracę, zapomniał o gościach na dachu, zamknął kłapę, wyłączył nadajnik i poszedł w *odstawku*. Jak Jelcyn pół roku wcześniej. Następnego dnia na szczęście wszystko już chodziło jak w zegarku. Rozpoczęła się era Putina i „Fakty” - jak wszystko z Rosji - były od teraz piękne, wręcz modelowe.

## MOST POWIETRZNY

Ostatnia opowieść wyjazdowa zaczyna się w 1993 roku. W Jugosławii trwa wojna domowa. Sarajewo jest obleżone, mieszkańcy stolicy Bośni błagają o międzynarodową pomoc. W Polsce Janina Ochojska (wówczas jeszcze nie Polska Akcja Humanitarna, tylko EquiLibre) organizuje konwój. Mimo ciężkich czasów dary płyną szerokim strumieniem, udaje się też zgromadzić ciężarówki i dwa autokary - dla VIP-ów (jedzie Kuroń, Michnik, Bujak, słowem - sama styropianowa śmietanka) oraz dla dziennikarzy. Z dzisiejszymi autokarami nie mają one wiele wspólnego, to raczej rozklekotane rzęchy ledwie trzymające się drogi. Miejsce w jednym z nich ma już zaklepane Michał Wójcik, wówczas początkujący reporter Radia Zet. To jego pierwsza tak poważna dziennikarska misja.

Pełna dyscyplina, wszyscy pod parą, baczność, sprawa jest wagi państwowej, a nawet międzynarodowej. Konwój ma wyruszyć o świcie z placu Piłsudskiego w Warszawie. Każdy dziennikarz na prośbę Ochojskiej wiezie dwa wielkie pudła pełne żywności - ogórków konserwowych, ryżu, makaronu, keczupu. Przed nimi wyprawa na wojnę. Skoro tak, trzeba się pożegnać z Ojczyzną i kolegami. Kolegami zwłaszcza. Odbywa się więc huczna impreza pożegnalna w mieszkaniu redaktora Wójcika na stryszku w starej kamienicy. Obściskiwanie, zapewnienia o przyjaźni i rady, jak się nie kłaniać serbskim kulom, padają już w klasycznym stanie generała Waltera. Przyjęcie trwa długo. Trochę za długo. Mija trzecia w nocy, czwarta. Zmęczony redaktor decyduje się położyć na chwilkę i zregenerować siły. Oczywiście na podłodze, bo na łóżku zapadłby w sen godny rycerza spod Giewontu. Budzik nastawia na piątą z minutami, o szóstej musi być na miejscu zbiórki i przygotować pierwszą relację dla radia.

Budzi się. Dziewiąta rano. Konwój odjechał! A co z pierwszą wielką misją dziennikarską? Co z relacjami, karierą korespondenta, wreszcie co z tym pudłem pełnym ogórków i keczupu?! Najważniejsze to nie poddawać się panice. W kilka sekund redaktor zakłada ubranie, już jest na schodach, już pędzi w dół. Po całej nocy walki kondycja jednak nie ta. Powija się noga, dalszą część klatki schodowej pokonuje lotem koszącym. Wypada targane z mozołem pudło z pomocą dla Bośniaków. Rozplaskany keczup ozdabia ciuchy pierwszą krwawą plamą. Ale nic to, trzeba ratować życie. Zawodowe. Konwój już pewnie na wylotówce z Warszawy, on też na wylotówce - z radia, bo niestety Andrzej Woyciechowski, założyciel Zetki, bardzo czekał na jego poranną relację. Nie poszła o siódmej, o ósmej też nie, o dziewiątej nadal cisza w eterze.

- Zwolnić go. Dyscyplinarnie i natychmiast - komenderuje.

Komórek wówczas nie było, redaktor nie może się więc dowiedzieć o wydanym nań wyroku śmierci. Nie tracąc ściętej zaocznie głowy, wpada na Dworzec Centralny, łapie ekspres do Krakowa. Traf chciał, że gdzieś pod Radomiem kolizja czy wypadek wstrzymują ciężarówki Ochojskiej i do hotelu koło Wawelu docierają niemal równocześnie. Wójcik w końcu zajmuje swoje miejsce w dziennikarskim autokarze i rusza w dalszą trasę do Jugosławii. Chcąc zatrzeć nie najlepsze początkowe wrażenie, po drodze z każdej stacji benzynowej czy kawiarni przesyła do radia relacje. Szefowie przyjmują kolejne raporty, nie przekazując mu woli naczelnego w słusznej skądinąd nadziei, że może jeszcze uda się go udobruchać, a młody reporter czynem dowiedzie swojej przydatności.

Konwój dociera w końcu do Splitu i tu utyka. Droga do Sarajewa jest zamknięta. Pozostaje objazd górami, ale przez wąskie i strome dróżki rozklekotane jelicze nie przejadą. Dziennikarze rozlążą się po mieście, szykuje się dłuższy postój. Co robić? Ze Splitu kursują promy do włoskiej Ancony. Redaktor Wójcik z dwójką kompanów nie zastanawia się długo. Kupują bilet i przeprawiają się przez Adriatyk. Z lotniska w Anconie startują ONZ-owskie samoloty z zaopatrzeniem, więc niewykluczone, że drogą powietrzną uda się dotrzeć do Sarajewa i tam poczekać, aż wyjaśni się sytuacja zatrzymanego konwoju. Świetny plan.

Dopływają. Włochy, Ancona, *benvenuto*. Miejscowe niewielkie lotnisko podzielone jest na dwie strefy - cywilną i wojskową. W wojskowej punkt ONZ. Tam reporterzy się rejestrują. Hełm jest? Jest. Kamizelka kuloodporna? Oto i ona. Oświadczenie redakcji, że w przypadku śmierci wysłannika ściągnie zwłoki na własny koszt, jest? Też jest. Przygotowane w Polsce. Znakomicie.

- Poczekajcie więc - mówią Norwedzy obsługujący tego dnia loty - niedługo będzie startował samolot do Sarajewa, zabierze was.

Mamy trochę czasu. Co robić? Kuchnia włoska wzywa! Redaktor Wójcik udaje się do kantyny w cywilnej części lotniska. Kończąc drugie danie, słyszy jakieś komunikaty:

- *Ucik please report...*

Ale co to za Ucik? Ucik... Ucik?! Wójcik?! Pędem puszcza się przez barak pełniący funkcję terminala, ale niestety. Przy wyjściu właśnie widzi, jak zamyka się trap norweskiego transportowca, a z niego na płytę spada wykopany żołnierskim buciorem worek z redaktorskimi rzeczami. Wiuuu - samolot odleciał. Ale spokojnie, konwój też odjechał, a jednak udało się go dopaść. A przynajmniej tak mu się wydaje.

Norwegowie niestety nie są pomocni.

- Wpadnij jutro, będą Belgowie. Może coś ci znajdą. - Słyszy.

Jutro. No nic. Wzorem tysięcy pasażerów opóźnionych samolotów redaktor rozkłada się więc w poczekalni. Ale to nie Heathrow, to nie JFK. Pani sprzątająca wyciera podłogę, ostatni pracownik gasi światło. I tu los się do redaktora uśmiecha. Ostatni pracownik to Polak. Zaprasza na nocleg, a że mieszka w przerobionym starym kościele, to i Opatrzność może będzie łaskawa? Jest. Nazajutrz lotnisko przejmują Belgowie. Hełm? Jest. Kamizelka? Jest. Oświadczenie o ściągnięciu zwłok? Jest.

- Zapraszamy, linie lotnicze Maybe Airlines życzą przyjemnego lotu. - Tryskający humorem belgijski żołnierz wskazuje samolot. Przypomina tylko, że będzie to lot w strefę wojny, a samo lądowanie w Sarajewie polega na błyskawicznym zejściu z dziesięciu tysięcy metrów do zera. - *Sit back, relax, enjoy your flight!* -

ONZ-owskich wojaków humor nie opuszcza. Jeszcze tylko ważenie przed zajęciem miejsc. Bagaż może mieć cztery kilogramy i tyle. Redaktora akurat tyle ma. Cudo. Wsiadamy, lecimy.

W powietrzu uwagę Michała Wójcika zwraca drugi i ostatni na pokładzie cywil.

- Co tu robisz? - pyta.

- Jestem dziennikarzem - odpowiada tamten, chociaż wygląda na wszystko, tylko nie na przedstawiciela mediów.

- Jasne. A tak naprawdę?

- Przemynikiem.

- Kim?! - Redaktor aż zaniemówił.

- Przemynikiem. - Udawany dziennikarz najwyraźniej czuje się wyjątkowo pewnie. - Szmugluję tytoń.

I faktycznie, na cztery kilogramy dozwolonego bagażu facet ma trzy i pół kilograma tytoniu. Ostatnie pół kilo zajmuje butelka z żółtym płynem. Może sok jabłkowy? Redaktor spragniony...

- Nie, nie. Tego nie pijemy. Lepiej nie. - Przemynik ma najwyraźniej jakiś tajny plan wobec tej butelki.

Samolot schodzi do lądowania. Bardzo szybkiego lądowania. Pętla za pętlą i już spadł o dziewięć tysięcy metrów. Przypomina się latający wilk - maskotka igrzysk zimowych z 1984 roku - krzyczący „Sarajewooo!”. I oto jest. Za iluminatorem - Sarajewo. Lądowanie. Podjeżdża transporter opancerzony UNPROFOR, odbiera pasażerów i ładunek. Znakomicie, ale jak dotrzeć do centrum? Miasto jest oblężone, komunikacja nie działa, na spacerowiczów czekają snajperzy. ONZ nie prowadzi pancerniej korporacji taksówkowej. Można kwitnąć na lotnisku... a można zapytać fachowca: przemynika!

Przemytnik okazuje się całkiem pomocny. Prowadzi redaktora za płot lotniska, przez krzaki, między jakieś śmietniki. Zabije i zabierze wszystko? Nie. W tym bałaganie czeka ratunek. Poobijany niemiłosiernie i postrzelany samochód. Szmugler sięga po tajemniczą butelkę z żółtym sokiem.

- *Benzina!* - obwieszcza, wlewając ją do baku.

Odpala auto, zaprasza redaktora Wójcika i funduje mu przejazd, przy którym szybcy są wolni, a wściekli - łagodni. Nic dziwnego, w Sarajewie role są odwrócone. Tu szybcy i wściekli są snajperzy polujący na takich cwaniaczków. No ale udało się. W końcu redaktor dociera do centrum miasta, zakwaterowuje się w Holiday Inn, gdzie dostaje pokój z łóżkiem, ale bez ściany - tę wyrwała eksplozja artyleryjska.

Na pierwszą relację do kraju idzie cała gotówka, bo oczywiście stare wygi dziennikarskie użyczające za grube dolce nadajnika golą żółtodzioba na zero. Potem pierwsza lekcja życia w oblężonym mieście, gdy wychodzi beztrosko na ulicę i stara się zorientować otrzymaną w Warszawie mapę, w czym wydatnie pomagają mu świszczące obok kule. A jednak Wójcikowi udaje się przeżyć, nagrać relację, a nawet wrócić i to nie do Ancony, tylko do Splitu. Tu niespodzianka - konwój uratowany! Podczas gdy redaktor próbował zasłużyć na Krzyż Walecznych, stary weteran Zbigniew Bujak załatwił transport dla darów EquiLibre. Dary lecą do Sarajewa, a Wójcik - do domu. W glorii i chwale bohatera wojennego - ma się rozumieć. Ma się, ale najwyraźniej się nie rozumie. Już Warszawa. Taksówka z Okęcia wiezie bohatera na Piękną, do siedziby Zetki. Na dole z windy akurat wychodzi sam szef, Andrzej Woyciechowski.

- No i co dalej?! - pyta podekscytowany redaktor, w rękę krzepko dzierżąc hełm. - Meksyk? Jakaś inna wojna?

- Oj, Michał, Michał. - Szef chyba nie podziela młodzieńczej ekscytacji. - Może na razie poprzestaniemy na tym, że jeszcze tu pracujesz?

Poprzestali i dzięki temu redaktor jeszcze niejedną raz miał okazję zabłysnąć. Już za chwilę dzielnie będzie się bronił, za pomocą służbowego sprzętu odpierając ataki rozjuszonej obsługi pralni chemicznej, z którą chciał tylko zrobić krótki wywiad. Niestety, nie wszystko poszło według planu. Ale o tym w następnym rozdziale, gdzie zdradzimy sekret dziennikarskiego sukcesu: jak wejść przez zamknięte drzwi i wyjść z tego cało.

## WCHODZIMY OKNEM

Jedną z klasycznych zasad wpajanych młodym adeptom dziennikarskiego rzemiosła brzmi: „jak cię wyrzucają drzwiami - wchodzisz oknem”. To prawda. W ten sposób powstało wiele dobrych materiałów, zdemaskowano kilka afer, paru redaktorów dostało też w dziób - ale to przecież później tylko powód do chwały. Przy okazji udało się zgromadzić kilka bardzo ciekawych historii, które pokazują, że dziennikarstwo to nie tylko zawód, ale i powołanie. A kiedy powołanie człowieka wzywa, nic go przecież nie może zatrzymać.

## BYLE DO PRZODU

Wyobraźmy sobie taką sytuację. Przy ulicy, na chodniku, za zakazem parkowania stoi sobie samochód. Na koło ma założoną żółtą blokadę straży miejskiej. Podchodzi do niego facet z piłą elektryczną do cięcia metalu. Przymierza się, przykładając brzeszczot, odpala i zaczyna rżnąć służbowe żelazo. Hałas niemiłosierny, iskry lecą po horyzont, cięcie trwa. Robi się zbiegowisko. On jednak na nic nie zważa, tylko rżnie. W końcu brzdęk - blokada ustępuje. Co zrobiliby dziś przechodnie? Niejeden pewnie chwyciłby za telefon, wybrał sto dwanaście i poinformował odpowiednie służby. Tyle że w czasach, o których opowiadamy, komórki mieli nieliczni, a najbliższy telefon na żetony był gdzieś w odległej budce Telekomunikacji Polskiej i w dodatku pewnie zepsuty.

Do rzeczy. Radio Zet miało kiedyś swoją siedzibę w Warszawie przy ulicy Pięknej 66a, a w zasadzie to przy Koszykowej. Dla nieznanających stolicy: to wąska, ruchliwa ulica w samym centrum i dosyć trudno znaleźć przy niej miejsce parkingowe. Redaktor Tomasz Lipko też nie mógł znaleźć. Zaparkował więc swoje renault 19 na chodniku przed sklepem z elektronarzędziami. Na zakazie parkowania oczywiście. Pędzony obowiązkami wbiegł na górę, a tymczasem na dole pojawił się patrol straży miejskiej. Strażnicy długo się nie zastanawiali i założyli żółty ozdobnik na koło, ciesząc się, że wspomogą w ten sposób kulejący jak zawsze budżet miasta stołecznego.

Patrol odjechał w poczuciu dobrze wykonanej roboty, z podobnym poczuciem z góry zszedł też redaktor Lipko. Znowu niestety mu się spieszyło - tak to już jest w tym zawodzie, że człowiek ciągle w niedoczasie. A tu na samochodzie żelazne dyby. W zasadzie powinno się teraz zadzwonić do straży, poczekać godzinę, aż panowie przyjadą, zdejmą blokadę, wystawią mandat i jeszcze będą się mądrzyć. A nie można tak na skrót? Można. Obok przecież jest wspomniany sklep z elektronarzędziami. Redaktorowi zaświtał pewien brawurowy plan oswobodzenia pojazdu.

Wparował do sklepu, miło zagadał do obsługi, złorzecząc na władze miejskie - to akurat się nie zmieniło, złorzeczenie na ratusz zawsze budzi współczucie - opisał sytuację i poprosił o wypożyczenie piły. Sprzedawcę zaciekawił śmiały plan redaktora, chętnie więc narzędzia użyczył. Technicy z radia przerzucili przez okno na wysokim piętrze przedłużacz i reporter uzbrojony niczym bohater *Teksańskiej masakry* ruszył do walki samochodowowyzwoleńczej. Ciąg dalszy już znamy. Moment przecięcia blokady licznie zgromadzeni przechodnie nagrodzili rżniętymi brawami, Tomek Lipko grzecznie



podziękował, oddał elektronarzędzia i wrócił do obowiązków służbowych. Blokadę zabrał jednak ze sobą i odtąd, gdy tylko znów parkował na zakazie, od razu zakładał ją na koła, dzięki czemu straż miejska więcej go nie gnębiła.

Renault miało też jedną cudowną cechę - pozwalało omijać korki dzięki wyposażeniu dodatkowemu: niebieskiemu kogutowi oraz policyjnej syrenie. Dziś dojechać by tak można pewnie do kryminału, ale w dzikich latach dziewięćdziesiątych nie takie numery przechodziły. Trzeba w tym miejscu dodać, że wówczas renault 19 i volkswagen vento były jednymi z najlepszych tajnych radiowozów polskiej policji. Większość funkcjonariuszy operacyjnych poruszała się zielonymi lub bordowymi polonezami caro. Na dodatkowe usprawiedliwienie dodamy, że właściciel korzystał z tej służbowej instalacji tylko w stanie wyższej konieczności. Taki stan zaistniał właśnie podczas jednego z kryzysów dyplomatycznych.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych przygotowało ostrą w treści pilną notę i zorganizowało równie pilny briefing prasowy. Czy redaktor dowiedział się o nim późno, czy też ruch akurat w stolicy był wyjątkowy - kto by pamiętał, w każdym razie w kilka sekund tkwiące w korku renault zmieniło się w nieoficjalny pojazd uprzywilejowany. Bomba na dach, syrena wyje, z piskiem opon rusza w stronę alei Szucha, gdzie mieści się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Traf jednak chciał, że po drodze pojawili się też prawdziwi policjanci, którzy pewnie na pamięć znali wszystkie służbowe renówki, a tej jakoś wcześniej nie zauważyli. Wietrząc maskaradę, zatrzymali naszego bohatera. Ten postanowił zagrać w otwarte karty. Że kryzys dyplomatyczny, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych, że korki, słowem - wyższa konieczność. I co? Mandacik, kolegium? Nie! Droga wolna, redaktorze! Służba nie drużba.

Z tym renault 19 wiąże się jeszcze jedna opowieść, której jednak sam były właściciel cudownego pojazdu nie potwierdza. Albo więc *memoria fragilis est*, albo auto obrosło taką legendą, że znajomi dopisują do niej dalsze rozdziały. Na przykład właśnie ten. Bodajże w 1997 roku wielką manifestację w Warszawie szykowała Solidarność. To było wiosną, jeszcze powódź nie zmyła rządu Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Do stolicy tłumnie zjeżdżali związkowcy. Kilka godzin później urządzili wielką zadymę i prawie spalili siedzibę partii rządzącej. O poranku wybuchowe plany demonstrantów nie były jeszcze znane. Wiadomo tylko, że szefowie związku zajadą na Dworzec Centralny. Redaktor Lipko wsiada więc w swoją limuzynę i przez poranne korki przebija się na dworzec. W zasadzie pewnie z Pięknej szybciej by doszedł, no ale skoro już wsiadł, to jedzie. Czyli stoi. Czas ucieka. Co zrobić? Trochę w prawo, trochę w lewo, trochę krawężnikiem, a trochę chodnikiem

niepowstrzymany prze do przodu. Niestety, podczas tego parcia dochodzi do drobnego zwarcia. Gdzieś tam lekko przytarł stojącego w korku poloneza. Drobiazg. Ważne, że w końcu dociera na czas na Centralny. Albo jednak właściciel poloneza zwracał uwagę na takie drobiazgi, albo do gustu nie przypadł mu styl miejskiej jazdy redaktora - dość, że postanowił jego renault dogonić. Dopadł go na parkingu przed dworcem. Wyskoczył i od razu z pretensjami. Ale tu nikt nie ma czasu na awantury ani tłumaczenia. Marian Krzaklewski zaraz wyjdzie z hali głównej i nie będzie na reportera czekał. Ten więc znów sięgnął po środki niekonwencjonalne. Wyciągnął zza pazuchy świstek, machnął nim przed oczami wąsatego właściciela poloneza, wrzeszcząc:

- UOP, wyp...!

(Wyjaśnienie dla młodszych czytelników: UOP, czyli Urząd Ochrony Państwa, to służby specjalne pierwszych lat III Rzeczypospolitej). Właściciel zbaraniał i oddalił się, nie chcąc wkraczać w tajne operacje, a redaktor zdążył na spotkanie z Krzaklewskim. Na pytanie obserwującego spięcie kolegi, co takiego pokazał wąsaczowi, odpowiedział:

- Eee, tam. Bilet na Widzew.

Bo kolega Lipko to kibic Widzewa. I przy okazji warszawiak - żeby nie było.

## BLISKIE SPOTKANIA Z PODŁOGĄ

Ze stołecznych ulic jedziemy znów na Wiejską. W sejmie trwa zamieszanie koalicyjne, czyli znów Sojusz Lewicy Demokratycznej gryzie się z Polskim Stronnictwem Ludowym. Korytarzem kroczą ramię w ramię Waldemar Pawlak z Józefem Oleksym. Dziennikarze na ten widok otaczają ich ciasnym kołem, tym razem jednak to premier Pawlak sięga po środki niestandardowe.

- Sio! - rzucił do najbardziej natrętnego reportera i jest to najślynniejsze „sio” w historii.

A kim jest ów natręt? To Wojciech Nomejko - w latach dziewięćdziesiątych niezmiennie w służbie telewizyjnej „Panoramy” - który znów podszedł za blisko. Znów, bo akurat on zawsze lubi być blisko, a nawet bardzo blisko, co inni dziennikarze nieraz boleśnie odczuwają, gdy staną mu na drodze do upatrzonego akurat polityka.

Ta bliskość i bardzo, ale to bardzo bezpośredni sposób bycia obrosły licznymi anegdotami. W jednej z nich Nomejko zaczepia Józefa Oleksego - wówczas marszałka sejmu - podchodząc do niego, szczypiąc w policzek i stwierdzając:

- Oj, przytyło się, panie marszałku, przytyło!

Kłopot w tym, że sam redaktor takiej sytuacji nie może sobie przypomnieć. Gdyby bowiem była - logicznie stwierdza - to musiałby ją pamiętać. Gdyby jednak była, a on by jej nie pamiętał, to musiałby działać pod wpływem - dowodzi i nie sposób odmówić mu racji, bo gdyby pod wpływem zrobił urzędującemu marszałkowi puci-puci, to raczej bez skandalu by się nie obyło. W innej historii Nomejko ląduje na zimnej parlamentarnej posadzce przyduszony do ziemi przez funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. I tu już coś jest na rzeczy. W często powtarzanej wersji znany z zamilowania do broni palnej reporter miał podejść do przebywającego w sejmie oficera, sięgnąć mu do kabury i wyciągnąć broń, mówiąc:

- Pokaż, co tam masz.

Gdy jednak kończył wypowiadać te słowa, równocześnie leciał już zobaczyć, co aktualnie dzieje się na poziomie podłogi. BOR-owiki nie lubią, gdy ktoś im zagląda pod kapelusze. Czy tak w istocie było, Nomejko znów nie pamięta. Pamięta, że rzeczywiście doszło do jakiegoś takiego małego zamieszania w ciasnym przejściu prowadzącym z głównego wejścia do sejmu do drzwi, którymi marszałek i członkowie rządu wchodzi na salę plenarną. Co się dokładnie wydarzyło - nie wiadomo. Wiadomo, że nagle - jak to celnie

ujmuje Nomejko:

- Tak jakby znalazłem się horyzontalnie...

W której to pozycji nasz bohater raz już zresztą się znalazł po starciu z ochroną Ministerstwa Obrony Narodowej.

MON ma dwie siedziby. Jedną w pałacyku przy Klonowej, gdzie naprzeciwko Belwederu urzęduje sam minister. Druga to tak zwany Pekin, czyli potężny gmach w alei Niepodległości. Przed wojną budowany jako szpital wojskowy, podczas Powstania służył jako schronienie Władysławowi Szpilmanowi i występuje w *Pianiście*, po wojnie zaadaptowany na potrzeby biurowe. W gmazysku urzęduje wiceminister obrony, często też organizowane są tu konferencje prasowe. Właśnie zaczyna się jedna z nich. Przed budynkiem zaparkował fiat tempra Telewizji Polskiej. Przyjechała „Panorama”. Nomejko, operator, dźwiękowiec i asystentka przechodzą przez bramki wejściowe. Wartownicy spisują, sprawdzają i przepuszczają na konferencję.

Pech chciał, że redaktor zapomniał czegoś z auta. Wychodzi więc, zapowiadając, że zaraz wróci. Wartownicy nie są zbyt zadowoleni, że znów muszą przeprowadzać całą procedurę - no ale skoro redaktor musi, to niech idzie i szybko wraca. Redaktor więc idzie i wraca. Spisywanie, sprawdzanie, proszę bardzo. Nomejko wraca na konferencję. Siada, słucha. Mija kilka minut, minister wciąż nawija. Jasna cholera! Musi jeszcze raz iść do samochodu, znowu mu się przypomniało, że trzeba coś jeszcze zabrać. Schodzi na dół, znów zapowiada, że zaraz wróci. Wartownik milczy, chociaż gdzieś tam pod beretem poziom jego zadowolenia z konieczności trzeciego przeprowadzenia procedury kontrolnej zdecydowanie zmalął. No ale co tam. Tam minister, tu redaktor, żołnierz musi wpuścić. Nomejko bierze więc z temptry, co tam miał, i wraca przypuścić szturm na bramkę wejściową. Niestety. Tym razem nie będzie do trzech razy sztuka. Cierpliwość Wojska Polskiego się wyczerpała. Wartownik twardo odmawia wpuszczenia do gmachu, zapewne po konsultacji z majorem - szefem służby wartowniczej - który pojawił się też na miejscu. Nomejko jednak nie rezygnuje.

- Na konferencję wracam.

- Nie wolno, nie wpuścimy.

- Ale jak nie wolno, skoro ja już tam byłem, dwa razy zresztą - odpowiada reporter, cały czas posuwając się do przodu.

- Nie wpuścimy. - Wartownik wzmocniony poparciem szefa nieco usztywnił stanowisko. Sylwetkę zresztą też, a już powoli dochodzi do kontaktu cielesnego.

- Panowie, ja muszę!

- Nie. - I jest to bardzo stanowcze „nie”, chociaż redaktor nadal napiera.

- Muszę!!!

- Nie!!!

- Z drogi!!!

- Stać!

- Z drogi!!!

- Staaać!!! - I tu tor ruchu atakującego wartownię redaktora gwałtownie się zmienia w kierunku zgodnym z siłą grawitacji. Do akcji wkroczył bowiem major, który nie wdając się w bezproduktywne polemiki, obala Nomejkę na ziemię. Ten próbuje jeszcze się podnieść, ale wisząca nad okiem kolba kałasznikowa studzi nieco jego zapał. Żołnierze zakuwają redaktora w kajdanki i prowadzą do osobnego pomieszczenia. Wzywają żandarmerię. Robi się zamieszanie. Tam minister, konferencja, a tu znany z telewizji redaktor w kajdankach?! Żandarmi rozkuwają lekko sfatygowanego Nomejkę. Ręce trochę bolą, ale w sumie wszyscy są zadowoleni. Większych konsekwencji nie było, a dla potomnych pozostała jakże piękna historia z czasów, gdy takie numery w ogóle były jeszcze do pomyślenia.

## PRANIE NA SUCHO

Pod koniec poprzedniego rozdziału bohaterski Michał Wójcik, młody dziennikarz Radia Zet, wrócił z Sarajewa i obronił swoje stanowisko pracy. Tym razem dostaje przydział na front krajowy i to jego najgorszy odcinek, czyli ma przeprowadzić sondę uliczną.

- Przepraszam, co pan sądzi o...

- Przepraszam, nie mam czasu. - To najłagodniejsza forma odpowiedzi ulicznego respondenta myślącego o własnych problemach.

- Nic nie sądzę. - Mniej elegancko, ale to samo.

- Spierdalaj, synek. Już mnie wczoraj pytałeś. - To w przypadku, gdy redaktor z racji ograniczonych ram czasowych sondy przeprowadza zawsze w tym samym miejscu, a czasem też z tymi samymi ludźmi.

Wróćmy do naszego młodego bohatera. Poranne kolegium. Gwiazdy jadą do sejmu, do ministerstw, do ludzi kultury i sztuki. A Wójcik idzie na ulicę. Znowu do zrobienia jest sonda, tym razem chodzi o pewną kontrowersyjną wypowiedź Jacka Kuronia. Do zrobienia natychmiast, ma pójść w następnym serwisie. Wybiega więc z siedziby Zetki przy ulicy Pięknej. Nagrywanie idzie wyjątkowo opornie, ludzie nie chcą mówić albo chrzanią głupoty nie do cytowania. Przebiegł już z tym mikrofonem cały kwartał ulic, skręca w końcu w Lwowską. Staje przed szyldem „Pralnia chemiczna”. Czasu coraz mniej. Wpada do lokalu. Gdyby tak nagrać chociaż jedną składną wypowiedź! Może tu się uda? W środku dwie okazałych rozmiarów matrony i doglądający interesu niewielki jegomość. Redaktor z marszu zadaje pytanie o tego nieszczęsnego Kuronia, ale jakoś chemii w tym związku z pralnią nie ma. Matrony nie chcą mówić. Redaktor nalega. One nie chcą. Im bardziej nalega, tym bardziej nie chcą. Podejrzliwie patrzą, a w chemicznych oparach unosi się niewypowiedziane pytanie godne prawdziwych Polaków: czemu ten gnojek z żydowskiego radia pyta o Żyda z rządu? Z daleka czuć prowokację!

- Ależ proszę pani, może jednak...

- Nie.

- Tylko jedno pytanie.

- Nie, daj pan spokój.

- Błagam, no, dziesięć sekund!

- Panie, widzi pan, że nie chcemy rozmawiać - wtrąca się niewielki wzrostem zarządca pralni. - Idź pan stąd.

- Ale ja muszę! Jedno pytanie!

- Panie, idziesz pan czy zawołać policję?!

- No, ludzie, jedno pytanie... - wyjątkowo zniecierpliwiony reporter już kwestii nie dokończy.

Zarządca susem pokonuje przestrzeń dzielącą go od drzwi, zamyka je na klucz i dzwoni na policję. Matrony ruszają z miejsc, niczym dwie pantery w wersji panzer V próbują osaczyć redaktorka. Ten widzi, że nie ma żartów. Daje susa za ladę. Pantery robią zwrot. Nie, to nie pantery. To raczej tygrysy królewskie. Śmiertelnie niebezpieczne i niepowstrzymane. Już wzięły go na cel, już ich dowódca odkłada telefon, już nadciąga zguba. Zdesperowany młody człowiek wskakuje na blat i próbuje służbowym mikrofonem odeprzeć atak. Niestety. Sitko z logiem radia to jednak nie panzerfaust. Szalony taniec na pralniczej ladzie trwa przez chwilę, ale wyjścia nie będzie. Zwłaszcza że jest zamknięte. Matrony zapędzają przerażonego redaktora w kąt. Zarządca mimo mikrej postury okazuje się wyjątkowo krzepki. Chwyta naszego stażystę za gardło i syczy:

- Z takimi jak ty to kiedyś potrafiłem sobie poradzić.

A więc pan tu pewnie służbowo. Już młodemu myśli czarne na myśl nachodzą, już prawie widzi jasne światło na końcu tunelu... I światło jest. Niebieskie. Przyjechała policja. Pierwszy raz w życiu redaktor cieszy się, że go zwijają. Matrony i krzepki jegomość zostają w pralni, funkcjonariusze prowadzą przyszłego orła dziennikarstwa na komendę. To było bardzo cenne doświadczenie. Każdy orzeł - nim rozwinie skrzydła - musi choć raz dostać w dziób.

## ZAKAZ WJAZDU

Pewne prawa są nieubłagane tak w rodzinie, jak i w państwie. Jeżeli nastolatek przekroczy akceptowalne granice złego zachowania, dostaje szlaban. Siedzieć w domu, nie wychodzić. Jeżeli dziennikarz przekroczy akceptowalne granice natarczywości, też może dostać szlaban, tylko *à rebours*: siedzieć przed wejściem i nie wchodzić. Gdy jest to wejście do prywatnej firmy - mały problem, w przypadku gdy jednak są to bramy Pałacu Prezydenckiego - o, tu problem jest już większy.

Sam się o taki zakaz otarłem. Byłem młody i nie najmądrzejszy. Jeszcze. Pracowałem w Telewizji Polskiej w „Teleexpressie”, rok pewnie był 2000 lub początek 2001. Na porannym kolegium dostałem temat: do Warszawy przyjeżdża młody, bezrobotny człowiek chyba z Koszalina. Chętny do pracy, tylko pracy nie ma. Przyjeżdża, bo szukając zajęcia na miejscu, usłyszał od lokalnych urzędników:

- A jedź pan do Warszawy i Kwaśniewskiemu powiedz, jak tu się żyje! Może coś go ruszy!

Ruszył więc nasz młody człowiek do Warszawy z mocnym zamiarem przekucia w czyn urzędniczej porady. Nie pamiętam już dziś, dlaczego, ale ciśnienie w redakcji na ten temat było spore. Może akurat nadzorujące „Teleexpress” Polskie Stronnictwo Ludowe miało na pieńku z Sojuszem Lewicy Demokratycznej i trzeba było walnąć w prezydenta? A może po prostu wydawcy uznali, że to świetny temat? W każdym razie umówiłem się z młodym bezrobotnym, wziąłem ekipę i jedziemy do Pałacu Prezydenckiego. Tam akurat jest jakaś oficjalna impreza średniej rangi, bo zamiast prezydenta wystąpić ma na niej minister Andrzej Śmietanko. Trudno. Minister też ktoś. W aucie jedzie z nami kolega bezrobotny. Zajeżdżamy do pałacu. Wsiadamy, biuro przepustek, kontrola dokumentów. Przyjechała ekipa „Teleexpressu” w składzie: i tu wymieniane są nazwiska.

- A ten pan to kto? - pyta oficer Biura Ochrony Rządu, wskazując na naszego bohatera.

- Ten pan jest z nami. Wchodzi razem z ekipą - stwierdzam młodzieńczym głosem nieuznającym sprzeciwu.

- Zaraz, zaraz. Muszę zadzwonić - wstrzymuje nas ochrona. Oj, chyba się nie uda. Ekipa patrzy na mnie jak na idiotę, który sam pakuje się w kłopoty, zamiast obsłużyć po prostu imprezę i wracać. Oficer dzwoni, przychodzi dowódca. Rzut oka i pada komenda.

- Panowie z telewizji są akredytowani i wchodzi, pan, ich gość, zostaje, a ja piszę



raport do szefa Biura Ochrony Rządu na temat próby wprowadzenia nieuprawnionej osoby na teren Pałacu Prezydenckiego.

No to teraz dopiero się zacznie. Bezrobotny czeka, my idziemy do ministra. On oczywiście nas zbywa stwierdzeniem, że impreza dotyczy rolnictwa, a nie bezrobocia, i możemy się umówić na inny termin. Wracamy do firmy. Materiał o bezrobotnym i jego wizycie nawet jednak powstaje. Nazajutrz znów kolegium redakcyjne. Zaszczycza je osobiście szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Michał Maliszewski.

- Pan Mazur to który?

- To ja, panie dyrektorze.

- Zapraszam do gabinetu.

W gabinecie czeka już oficjalne pismo z żądaniem wyjaśnień podpisane przez szefa Biura Ochrony Rządu. Wyjaśniam, ale dyrektora to jakoś nie przekonuje. Wyrzuci z pracy? Nie. Stańło na dwutygodniowym zawieszeniu. W sumie więc nie wyszło tak źle, a wkrótce potem przeszedłem do TVN24. W pałacu też zapomnieli o tej przygodzie. Gdzie mi więc tam do redaktora Tomasza Lipko z Zetki! Ten dopiero miał wejście do pałacu.

Zasady u prezydenta są takie, że gdy przewidziana jest obsługa medialna imprezy, wyznaczona też jest godzina wejścia. Dziennikarze wchodzą, wybija godzina i wszyscy grupowo prowadzeni są do odpowiedniej sali. Wejść indywidualnych protokół nie przewiduje. Nie? To redaktor Lipko sprawdzi, czy aby na pewno. W Biurze Przepustek pojawia się mocno spóźniony.

- Wszyscy poszli na górę. Lista akredytacji zabrana. Panu dziękujemy, jest już za późno - odsyła go oficer Biura Ochrony Rządu.

- Ale ja muszę.

- Za późno.

- Ale muszę! - Redaktor robi się nieco natarczywy i rusza, aby sforsować bramkę.

- Pan nie wejdzie! - Oficer ciałem zamyka wejście i wzywa kolegów.

- Co? Taki jesteś BOR-owiec, że po kolegów dzwonicz? - redaktor wkurzył się nie na żarty i rzeczywiście, żarty się kończą. Zjawiają się koledzy. Sprawa trafia do Antoniego Styrzuli, rzecznika prasowego prezydenta. Ten postanawia dać lekcję wszystkim niesfornym reporterom łamiącym zasady i wydaje oficjalny zakaz: redaktor Tomasz Lipko ma szlaban do Pałacu Prezydenckiego.

Koleje losu bywają jednak zmienne. Niedługo później wybucha sprawa z wykorzystaniem wizerunku Aleksandra Kwaśniewskiego w reklamie mebli Forte. Winę na siebie bierze Styrzula i traci stanowisko. Mija kilka dni, były już rzecznik pojawia się

w sejmie. Idzie długim korytarzem obok gabinetu marszałka. Na pierwszy rzut oka widać, że utrata pracy źle na niego wpłynęła. Widzi to też siedzący na fotelu w końcu korytarza redaktor Lipko. Zemsta będzie słodka.

- Anteeeeek! - woła na cały głos.

- Słucham? - Styrzula się zainteresował.

- Czeeeeść! - najmiłym z możliwych uśmiechów redaktor wita swojego dobrodzieja.

Żarty żartami, ktoś mógłby pomyśleć, że dziennikarzom zawsze wszystko uchodzi na sucho - w najgorszym przypadku czeka ich krótkie zawieszenie, a potem znów dokazują. Trochę może tak jest, ale nie do końca. Ten zawód to jednak odpowiedzialna służba. Czwarta władza, prawda? A władza - jak to władza - ma też swoje profity i właśnie o nich opowiemy już za chwilę. O chałturach, samochodach pożyczanych lub kupowanych za bezcen, a także o tym, jak niektórzy koledzy wyłudniają jajka na święta.

## REDAKTOR TO MA KLAWĘ ŻYCIE

Wczęsto powtarzanej potocznej opinii dziennikarz to ma klawę życie. Przychodzi rano do pracy, czyta gazetę, pije czarną kawę i wymyśla sobie temat. Potem spotyka się z ważnymi osobistościami, wraca do redakcji, naskrobie kilka zdań i do kasy po wierszówkę. Niemalą oczywiście. Po kilku latach w zawodzie ma znane nazwisko lub rozpoznawaną twarz, pani w mięsnym odkłada mu najlepsze kawałki szynki, znajomi policjanci kasują mandaty za prędkość, a urzędnicy boją się mu podskoczyć, bo jeszcze ich obsmaruje w mediach. Po jedenastu rozdziałach pełnych historii z reporterskiego życia wziętych wiemy już, że nie zawsze tak jest, a klawę życie to miał tylko cysorz. Chociaż - przyznam uczciwie - redaktor też czasem bywa życia królem lub przynajmniej księciem.

## KSIĄŻĘ MAZOWSZA

Reporter w Warszawie to po prostu jeden z wielu dziennikarzy, od których rozmówcy często oganiają się jak od natrętnych much, ale redaktor w terenie... O, redaktor w terenie to już Redaktor przez duże R. Dziś może już przez nieco mniejsze R, ale w latach pięćdziesiątych była to jeszcze naprawdę wielka litera. Ekipy „Kuriera Warszawskiego” zwanego w siedzibie TVP „Kurwarem” obsługiwały wydarzenia w stolicy, ekipy „Kuriera Województw” zwanego oczywiście „Kurwojem” - tereny dzisiejszego Mazowsza, a wtedy jeszcze kilku mniejszych województw od Płocka na północy do Radomia na południu. Taka ekipa wyruszała rano w teren z zamiarem nakręcenia materiału do kilku relacji. Tematy? No cóż. Lokalne. W Sochaczewie otwarto nową ulicę, w Wyszogrodzie drewniany most po zimie ledwie zipie, a pod Płockiem hodowcy kur narzekają, że się noski słabo nosą. Po całym dniu objazdu Mazowsza wraca się do redakcji, pisze teksty, montuje materiały i gotowe. Za każdy wyemitowany materiał należy się osobne wynagrodzenie. Ale są też korzyści dodatkowe.

Jeden z ówczesnych redaktorów znany był wśród telewizyjnych ekip jako „Książę Mazowsza”. Skąd taki arystokratyczny pseudonim? Otóż Książę - jak to książę - swoje dziennikarskie tereny łowieckie traktował jak lenno. Zajeżdżając do fermy, gdzie noski dają mało jaj, nagrywał hodowcę, ekipa robiła obrazki w kurniku, a przed wyjazdem Książę oczekiwał daniny. Hodowca dzielił się tym, co miał najlepszego, i do fiata temprowo w barwach TVP ładowano foremki pełne wiejskich jaj. Kolejny punkt podróży: masarnia. Masarz narzeka, że ceny niskie i świnki takie smutne. Książę kiwa ze zrozumieniem głową, nagrywa narzekania, ekipa filmuje wędzone szyneczki i wyjeżdża z zakładu z bagażnikiem pełnym wędlin. Trzeci punkt programu: mleczarnia.

- Co tam u was? - pyta Książę.

- Oj, panie redaktorze, lipa. Mleko chude, ceny niskie - narzeka mleczarz.

Książę znów kiwa głową, nagrywa, ekipa filmuje kadzie z mlekiem, a tempra powoli już siada, bo w kufrze między kamerą, statywem, jajkami i wędzoną szynką wylądowały właśnie kartony z mlekiem. Wystarczy. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku rycerze województwa mogą wrócić do stolicy.

Najbardziej udane wyprawy łowieckie Książę organizował zwykle przed świętami. Fiat trzeszczał i ledwie zipał pełen jaj, mięsa, pieczywa, majonezów i kutii, bo przed Bożym Narodzeniem oczywiście była obowiązkowa wizyta w kole gospodyń wiejskich. Z biegiem lat część lenników Księcia zaczęła się buntować. Nie można jednak powiedzieć redaktorowi

wprost, aby się gonił, bo jeszcze zdenerwowany obsmaruje zakład w telewizji. Właściciele tych masarni, mleczarni i ferm zaczęli więc stosować wybieg: gdy tylko na horyzoncie pojawiała się biała tempra z napisem TVP, oddalali się czym prędzej, udając, że ich nie ma. Ale nie z Księciem takie numery. Książę zawsze wiedział, gdzie się lennik ukrył, i zawsze swoją pańszczyznę wyegzekwował. Niestety. Dziś już system feudalny podupadł, namnożyło się różnych innych konkurencyjnych rycerzy i popsuli Księciu rynek, słowem: umarł król.

## ZNIŻKA DZIENNIKARSKA

Jajka, majonez i kutia to jedno, ale są też znacznie cenniejsze korzyści z wykonywania tego zawodu. Słyszeliście o niżce dziennikarskiej? Otóż gdy redaktorowi zamarzy się nowy samochód, może - tak jak każdy inny klient - pójść do salonu i spróbować swoich sił w negocjacjach z dilerem. Zwykły klient liczy wtedy na trochę lepszy pakiet wyposażenia, gratisowe chodniki albo ładniejszy lakier, ewentualnie na drobną obniżkę ceny - rzędu jednego, dwóch czy trzech procent. Dziennikarz ma jednak asa w rękawie, czyli markę stojącą za nim redakcji. Gwiazda ogólnopolskiej telewizji ma asa pik, dziennikarz lokalnej gazety waleta trefl - ale zawsze może spróbować wyłożyć karty na stół.

O ile redaktora w salonie nie rozpoznają i sami czegoś nie zaproponują, to procedura jest w najwyższym stopniu żenująca. Trzeba napisać prośbne pismo do dilera - czasem nawet do importera - i liczyć, że firma uzna naszego redaktora za ważną figurę. Zniżki sięgają od kilku do czasem nawet kilkunastu procent. Przy dobrych układach z importerem można też liczyć na kupno prawie nowego auta w niezłym stanie i w jeszcze lepszej cenie. Osobiście nigdy tego nie sprawdziłem, bo wychodzę z założenia, że nie opłaca się kupować nowych samochodów, ale koledzy lubiący zapach świeżego plastiku często się chwalą, czego to nie udało im się wynegocjować.

Dziś i tak jest marnie, kiedyś - to były złote czasy! Można było na przykład napisać do Daewoo Polska podanie z prośbą o wypożyczenie samochodu „do testów”. Test polegał na wyjeździe daewoo espero z rodziną do Zakopanego i z powrotem. Hojni Koreańczycy dorzucali jeszcze kartę flotową na tankowanie po drodze. A co najlepsze, wcale potem nie wymagali, aby gdzieś w mediach ukazały się wyniki tego „testu”. W sumie słusznie - po takiej rodzinnej eskapadzie na koszt Daewoo kto o nich źle napisze? Wdzięczność zobowiązuje. Czasem w tych kontaktach nie chodziło nawet o samochody.

Do legendy dziennikarstwa i public relations przeszła konferencja zorganizowana przez polski oddział rosyjskiej Łady. Łada - powiedzmy sobie szczerze - nie brzmi zbyt sexy, więc dział marketingu musiał wykombinować coś ekstra, co przyciągnie dziennikarzy. I wykombinował. Każdy, kto przyszedł na konferencję prasową, dostawał torbę, a w torbie - ślicznego laptopa. Daewoo (ale nie od samochodów, tylko od AGD) nie chciało być gorsze i po jednej ze swoich konferencji rozdało dziennikarzom nieco większe pudła. W pudłach czekały odkurzacze! Podobno, gdy gruchnęła wieść o tych prezentach, do organizatorów zadzwoniło sporo przedstawicieli prasy pytających, czy przypadkiem nie mogliby też dostać

takiej pamiątki, bo już mieli przyjść na konferencję, ale coś im jednak po drodze wypadło.

Sam kiedyś miałem podobną przygodę. Pracowałem jeszcze w „Teleexpressie” i dostałem zadanie przygotowania relacji z Car Audio Show. To był nudny weekend, nic ciekawego się nie działo, a chodziło o pokazanie bajeranckich fur z kosztującymi fortunę zestawami audiofilskimi. Zrobiłem, co miałem zrobić, wróciłem do redakcji, nagle dzwonią z recepcji. Przyjechał kurier. Schodzę, odbieram paczkę. W środku najnowszy model radia clarion. Z lampkami, elektronicznymi wskaźnikami i szczytem techniki (mamy lata dziewięćdziesiąte), czyli odtwarzaczem CD. Jako młodemu chłopakowi oczy mi się zaświeciły, już słyszałem basy z tego radia w pożyczanym od matki nissanie micrze... Niestety. Kurier przyniósł dwie paczki - jedna była dla mnie, druga dla redaktora wydania. Celny strzał, ale wydawca okazał się wierny zawodowemu etosowi. Odesłał kuriera do nadawcy. Cóż było robić, poszedłem w jego ślady, tęsknie patrząc za oddalającą się nagrodą za mój codzienny dziennikarski trud.

## TRAKTORKI I INNE CHAŁTURKI

Codzienny trud codziennym trudem, a od święta na dziennikarzy czekają chałturki, czyli dodatkowe zajęcia, za które nie płaci macierzysta redakcja, tylko wynajmująca redaktora firma. Naczelna zasada brzmi: każdą chałturę traktuj poważnie. Bądź dobrze przygotowany, profesjonalny i nigdy nie pozwól, aby wynajmujący cię ludzie mieli wrażenie, że oto gwiazda mediów robi im łaskę. Bo możliwości dorobienia na boku jest sporo, ale opinie o wynajętej gwiazdzie szybko się rozchodzą.

Co więc robią koledzy po fachu po godzinach? Prowadzą szkolenia dla pracowników działów public relations dużych firm, wbijają biznesmenom do głowy, jak przed kamerą nie przypominać sekretarza komitetu powiatowego PZPR, odpłatnie zasiadają w jury różnych konkursów, a czasem po prostu prowadzą imprezy rozrywkowe. Wbrew pozorom to dopiero jest wyzwanie. Bądź człowiekiem miłym, sympatycznym, czarującym i trzeźwym, gdy pod koniec imprezy niejeden podochocony gość grozi, że świetnie zna twojego szefa i właśnie wyrzuca cię z pracy. No, ale oczywiście coś za coś. W jeden weekend można zarobić tyle, co przez dwa tygodnie ciężkiej redakcyjnej roboty. Dziennikarze pracujący w redakcjach newsowych mają gorzej, mogą liczyć ewentualnie na jakieś propozycje wykładów czy szkoleń. Wiadomo - pisany lub nie, ale kodeks etyki jednak obowiązuje. Słowo harcerza. Ci z redakcji rozrywkowych mają nieco większe pole do popisu, nieraz popisu dosłownego.

Zapraszamy tu Marcina Prokopa. Gwiazdor licznych programów z bogatym doświadczeniem w wielu stacjach pewnego razu dostał propozycję poprowadzenia firmowej imprezy producenta traktorów. Wypasionych amerykańskich ciągników. Impreza odbywała się w sopockim Sheratonie. Takie miejsca kryją w sobie mnóstwo pułapek, wśród których największa to liczba podobnych imprez organizowanych naraz w jednym miejscu. Sale konferencyjne położone są zwykle jedna obok drugiej na tym samym piętrze, dzielone ściankami w zależności od potrzeb, a o tym, kto akurat daną salę wynajął, informuje tabliczka przed wejściem. W jednej z sal czekają sprzedawcy traktorów. Z częścią pracowników firmy Prokop spędził już w ciągu dnia kilka godzin w Gdańsku - organizatorowi zależało, aby prowadzący trochę się zintegrował z gośćmi, wyczuł ich poczucie humoru i przełamał pierwsze lody. Pospacerowali, pogadali i o trudnej orce na ugorze przemysłu ciągnikowego, i o telewizyjnych zniwach. Lody zostały więc przełamane, zrobiło się nawet familiarnie, teraz tylko jeszcze trzeba wymyśleć jakiś żarcik na wejście i pójdzie jak z płatka.



Dochodzi godzina dziewiętnasta. Prowadzący dostaje SMS-a, że czas już zaczynać. Przechodzi z hallu do części konferencyjnej. Zajęty telefonem niespecjalnie zwraca uwagę na tabliczki na drzwiach. Przed jedną z sal stoi grupa ludzi. Piją jakieś drinki, zajadają przekąski. „Aha, pewnie czekają już na mnie” - myśli sobie Prokop i pyta, którądy na salę.

- Tędy, zapraszamy - odpowiadają.

Prowadzący wchodzi. Umowa była taka, że od razu atakuje scenę, puszcza żarcik i startujemy. Na sali czekają goście. Jest scena, mikrofon.

- Panowie, gotowe? - pyta techników Prokop.

- Gotowe, bardzo prosimy. - Technicy włączają mikrofony. A więc nie ma na co czekać.

- Czołem! Jak tam wasze traktorki?! Gotowe już, aby zaorać parkiet?! - wystrzelił przygotowanym naprędce żarcikiem...

A tu nic. Cisza. Konsternacja. W dodatku wśród zebranych jakoś nie widać znajomych twarzy z popołudniowego spaceru. Ludzie też ubrani dziwnie - obowiązują pełne stroje wieczorowe, a przecież umawialiśmy się na styl *casual*... Dopiero teraz po jednej stronie sceny dostrzega wielkie logo banku PKO. Po drugiej stronie - mocno zdenerwowany facet. W smokingu.

„O, wreszcie znajoma twarz!” - myśli sobie Prokop, bo rozpoznaje Macieja Kurzajewskiego z TVP, który też najwyraźniej dziś ma tu chałturkę.

- No dobrze, to był żart. A teraz zapraszam na scenę Maćka Kurzajewskiego! - Kończy swoje wejście Prokop, oddaje mikrofon i znika z sali.

W końcu trafia na właściwą imprezę. Są znajomi traktorzyści. Z lekkim opóźnieniem zaczyna się udane koszenie sianka. W przerwie prowadzący opowiada swoją przygodę organizatorkom, a one w śmiech.

- Ale o co chodzi? - pyta.

- Bo my też startowałyśmy w przetargu PKO na organizację ich *eventu* - wyjaśniają. - I w warunkach wyraźnie było napisane: żadnych dowcipów podczas imprezy! Ma być konserwatywnie aż do bólu. Teksty z kartki, sztywne przemówienia. Ale to jeszcze nic. Bo bankowcy chcieli też poważnego prowadzącego. Zaproponowałyśmy ciebie - opowiadają. - Ale niestety. Usłyszałyśmy, że jak na tę okazję jesteś zbyt spontaniczny i rozrywkowy. Słowem: świetny gość, ale trzymajcie go z dala od naszej imprezy.

## COŚ BYĆ MUSI ZA ZAKRĘTEM

Skoro już o imprezach, to teraz odpowiedź na pytanie, gdzie chodzą dziennikarze, gdy są już po pracy. Czy są jakieś specjalne środowiskowe knajpy czy kluby? No więc niestety - kochani - muszę was zmartwić: nie ma, chociaż jeszcze całkiem niedawno były. Na przykład tuż przy wylocie ze zdetronizowanego przez plac Zbawiciela - króla stołecznego lansu - placu Trzech Krzyży (swoją drogą, ciekawy zbieg okoliczności z tymi sakralnymi nazwami), przy wjeździe w Bracką znajdował się dwupoziomowy lokal „U Boryny”, jedna z ulubionych dziennikarskich knajp. Czy decydowała względna bliskość sejmu, czy też piwo po sześć złotych, czy może oryginalny wystrój lokalu ze ścianami wyłożonymi pasiastymi kilimami, a może po prostu polityka „otwarte do ostatniego klienta”, fakt faktem, że „Boryna” przyciągał.

Można było tam spotkać wielu dziennikarzy na czele z autorem niniejszego dzieła, który co czwartek odbywał w lokalu wieczorne dyskusje z kolegami. Jako stali bywalcy dorobiliśmy się nawet własnych podpisanych kufli do królewskiego. Bo piło się tam oczywiście najtańszy, klasyczny warszawski browar. Poza dziennikarzami przesiadywali tam jacyś pogrobowcy cinkciarzy oraz spora galeria barwnych typów na czele z człowiekiem zwanym Racing Broadcasterem. Tak, tak. Chodzi o brytyjskich komentatorów wyścigów konnych. Wpiszcie w wyszukiwarce nazwisko John McCririck, a zobaczycie, jak wygląda nasz bohater z „Boryny”. Jeżeli nie chcecie się odrywać od tej pasjonującej lektury, to powiem wam, jak go zapamiętałem: brązowy sztruksowy garnitur z wielkimi klapami, żółta koszula, na głowie gęsta szopa kędziorów otaczających łysinę oraz gigantyczne bokobrody. Oryginał, prawda? Ciekawsze jest jednak nie to, jak wygląda, ale to, co robi. Otóż Broadcaster zajmuje się pisaniem przemówień poselskich. Może nie pisze exposé premierowi, ale już drobne okolicznościowe przemówienia - czemu nie! I faktycznie. Gdy go poznałem „U Boryny”, wydawało się to trochę podejrzanę, ale gdy potem kilka razy widziałem go też w bufecie sejmowym, nie może być inaczej. Facet rzeczywiście pisze spicze naszym wybrańcom! Ciekawe, ile z tych przemówień powstawało właśnie w lokalu na Brackiej po piątym królewskim?

„Boryny” niestety już nie ma. Lokal był zresztą na straconej pozycji - cały klimat dawnych knajp wokół placu Trzech Krzyży trafił szlag. Nie ma „Boryny” na Brackiej, nie ma „Warszawskiej” na Mokotowskiej. Niektórzy panowie żałują też na pewno „Lajkonika”, ale

ja akurat do nich nie należę. Zamiast „Lajkonika” jest „Starbucks”, zamiast „Boryny” - sklep z butami o cenach wyższych niż obcasy, a zamiast „Warszawskiej” to już nawet nie wiem co. Nie ma też „Baltazara” przy Polskim Radiu na Mokotowie. Bar mieścił się w klasycznym peerelowskim pawilonie, który musiał ustąpić miejsca apartamentowcowi. Ciekawe, czy jego mieszkańców coś nocą straszy. Bo Małgosia Naukowicz z Informacyjnej Agencji Radiowej zdradziła mi, że jej starzy koledzy po fachu w czasach świetności „Baltazara” zwykli mawiać: „Idę do belzebuba!”.

Diabli wzięli też najślynniejszy bar Telewizji Polskiej i nie mówimy tu o kawiarni „Kaprys” na Woronicza (nazwa podobno pochodzi od kaprysu prezesa Szczepańskiego - to jeszcze epoka Gierka). Mówimy o „Zakręcie”. To chyba raczej nie była oficjalna nazwa tej dziupli mieszczącej się na parterze hotelu Warszawa. Hotel przylega do budynku TVP na placu Powstańców Warszawy, a żeby dostać się do baru, zaraz po wyjściu z telewizji trzeba było ciąć o sto osiemdziesiąt stopni. Stąd chyba ten „Zakręt”. A może chodziło o zakręcenie w głowie, które towarzyszyło zwykle opuszczającym lokal? To dopiero było miejsce z historią!

Krótką dygresja. W czasach przedkomórkowych wyjazd na zdjęcia ekipy Telewizji Polskiej wymagał najpierw skompletowania tejże. Trzeba było odnaleźć operatora, jego asystenta od światła i statywu, dźwiękowca i kierowcę. Zwykle gdy dziennikarz zgłaszał konieczność natychmiastowego wyjazdu, dyspozytor Wydziału Zdjęciowego naciskał przycisk interkomu i huczał na połowę budynku niczym zapowiadaczka pociągów na Dworcu Centralnym:

- Ekipa „Teleexpressu”, wyjazd na zdjęcia!

I już w ciągu kwadransa ekipa się zbierała. Gorzej, gdy panowie sami poczuli pociąg. Wtedy najprostszą metodą było wyjście z budynku na plac Powstańców, zakręt, przejście kilku metrów, zakręt i już jest. „Zakręt” oczywiście, a w nim członkowie ekipy sączący - dajmy na to - colę. Miejsce miało też swój sekretny kryptonim. Pracownicy TVP mawiali „idę puścić totolotka”, co oznaczało ni mniej, ni więcej tylko „szukajcie mnie na »Zakręcie«,”. Totolotek oczywiście też tam był. Kto trafił szóstkę płaconą w setkach, tego już raczej wynosili.

## PRASA WOJSKOWA ŻĄDA AMUNICJI

I tak wesoło - o ile czegoś naprawdę nie nawywijamy lub właściciel redakcji nie zmieni swojej polityki - mija nam czas do emerytury. A co robi emerytowany dziennikarz? Jest kilka możliwości. Może zostać wykładowcą akademickim i dzielić się z młodzieżą swoim doświadczeniem. Chociaż do emerytury mi daleko, już tego spróbowałem. Uległem namowom i zatrudniłem się w jednej z renomowanych warszawskich uczelni prywatnych. Raz w tygodniu prowadziłem ćwiczenia w pracowni telewizyjnej. Po jednym semestrze serdecznie podziękowałem, bo udawanie, że nie widzę, jak młodzież zajmuje się właśnie tagowaniem na Fejsie, zamiast zgłębiać arkana sztuki montażu, przekraczało moją i tak dosyć dużą cierpliwość. Szanujmy siebie i szanujmy swój czas. Może na emeryturze będę miał bardziej pedagogiczne podejście, a może po prostu więcej czasu i jeszcze się z młodzieżą przeproszę?

Uczelnia to jedno. Dziennikarz może też nadal być dziennikarzem, brylować jako komentator i pisać książki. Tu też jako przyszły emeryt postawiłem - jak widać - pierwszy krok i zobaczymy, jak daleko zajdę. Bo jak ognia chciałbym uniknąć trzeciej możliwości.

Trzecia możliwość dalszej kariery na emeryturze to udawanie, że nic się nie zmieniło. Chociaż człowiek już nie przychodzi do redakcji, chociaż nikt nie potrzebuje jego wysiłków, on nadal uważa, że wciąż pracuje tam, gdzie pracował całe życie. I to jest dopiero smutna historia. Ponad piętnaście lat temu pracowałem przy organizacji festiwalu Lato Filmów w Kazimierzu Dolnym. Przed festiwalem urządziliśmy w Warszawie konferencję. Mieliśmy całą listę dziennikarzy z działów kultury do obdzwonienia i potwierdzenia przybycia. Okropna praca, ale w końcu się udało. Ten będzie, tamten nie da rady. Nadszedł dzień konferencji.

Schodzą się goście i podpisują listę. Patrzą, a tam może ledwie kilku z tych, do których wysyłaliśmy zaproszenia, cała reszta - kompletnie nieznana. Wiek zebranych niczym w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, czyli raczej emerytalny. Oni mają pisać o festiwalu filmowym? Patrzą jeszcze raz na listę. Co widzę w rubryce „redakcja”? Połowa to nieistniejące od upadku PRL-u czasopisma, część w ogóle niczego nie wpisała, a jeden pan podpisał się jako „prasa wojskowa”. Co robi prasa wojskowa na konferencji filmowej? Penetruje teren i zdobywa przyczółki dla sojuszników. Słuchając rozmów naszych dziennikarzy, doszedłem do wniosku, że nadal są w zawodzie. Nadal sensem ich pracy jest

zbieranie informacji. O czym? O tym, gdzie organizowane są konferencje, pokazy i promocje. Gdzie można wejść, zjeść i jakie gadzety zabrać. My też mieliśmy przygotowane jakieś kubki czy koszulki na do widzenia. Zniknęły na dzień dobry. Prasa wojskowa pewnie potrzebowała mundurów i menażek. To ja już chyba wolę jednak w przyszłości przymykać oczy na tagujących na Fejsie i kłaść młodym ludziom do głowy, aby robili coś jeszcze w życiu, bo skończą jak prasa wojskowa na opuszczonym poligonie.

## NIECH ŻYJE BAL

Na koniec mocny i znany punkt programu. Bal dziennikarzy. Doroczna impreza charytatywna organizowana na Politechnice Warszawskiej. W radzie fundacji organizującej bal znajdziemy cały przekrój środowiska - od TVN do wPolityce i od „Gazety Wyborczej” do „Gazety Polskiej”. Kiedyś była to impreza środowiskowa, dziś - jak twierdzą ci, którzy na bal chodzą - dziennikarze są tam w zdecydowanej mniejszości. Bal jest świetną okazją dla różnych aspirujących lanserów, aby pokazać się na salonach, a dla polityków, aby nieco skrócić dystans do polujących na nich na co dzień reporterów. I znakomicie, bo każdy dziennikarz, lanser i polityk musi wykupić bilet-cegiełkę, a dobrze jest też dorzucić coś górką podczas licytacji charytatywnej.

Na balu obowiązują oczywiście stroje wieczorowe, chociaż w dobie królującej hipsterki różnie jest to rozumiane. Spodnie z krokiem w kolanach i wełniana czapa do wyciągniętej marynarki to też strój wieczorowy, chociaż pasuje bardziej do balangi w Charlocie niż balu w auli Politechniki. No ale to tylko dwie przecznice dalej, więc może się pomylić. Wróćmy jednak na bal. Zaczyna się bardzo elegancko. Goście sączą lekkie drinki i pięknie się uśmiechają, pozując do zdjęć. Dziennikarze starają się zrobić wrażenie, politycy starają się być blisko dziennikarzy, bliżej nieznanymi biznesmeni starają się być tam, gdzie aktualnie robią zdjęcia, słowem, impreza jest z tych lekko sztywnych, aż w końcu na scenę wychodzi wiceszefowa fundacji Maria Bnińska i ogłasza koniec części oficjalnej. Fotoreporterzy i ekipy telewizyjne wychodzą i tu dopiero zaczyna się bal.

W 2010 roku furorę na balu zrobiła para prezydencka. Lech Kaczyński - przypomnę - nie był uważany za zbyt rozrywkowego polityka, a tu nie dość, że wpadł na bal, nie dość, że został na nim znacznie dłużej, niż wszyscy się spodziewali, to jeszcze strzelono mu niezapomnianą fotkę, jak dostaje buziaka od Dody.

No dobrze, ale miało być o tym, co się dzieje, gdy już nikt nie patrzy. Panie dzieju! Tańce na stołach. Bruderszafty. Pogubione obuwie. Jedna ze znanych dziennikarek rozdarła w tańcu halkę, inna tak fiknęła nóżką, że podarła rajstopy, a powrót do domu zimową nocą z gołymi nogami nie należy raczej do najprzyjemniejszych. Alkohol się leje, wesoło jest, ale jednak pewne normy obowiązują. To nie potańcówka w remizie, tylko elegancki bal, więc raczej haftowanie za krzesłem odpada, przysypianie w kąciu również. Zwłaszcza, że nie warto przesadzać, bo po pierwsze, koledzy są pamiętliwi i będą dokuczać, po drugie, ktoś może jeszcze napisać kiedyś o takich historiach książkę, a po trzecie, czekają tu większe

atrakcje niż kolejna lufa. Na przykład małżonki panów posłów. Może się okazać, że niejeden znany ze sztywniactwa polityk ma taką partnerkę, że łączy żelazną koalicją zazdrosnych spojrzeń Prawo i Sprawiedliwość z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Około czwartej rano na sali zapala się światło. Czas do domu. Powrót bywa trudny - zwłaszcza że redakcje to zakłady pracy ciągłej i w niedzielę ktoś zawsze musi mieć dyżur.

Koniec balu, wracamy do pracy. Było bardzo miło, powspominaliśmy mnóstwo historii, które redaktorzy opowiadają sobie z lubością podczas zakrapianych spotkań weteranów polskich mediów. Dwadzieścia kilka lat wolnej prasy minęło jak z bicza strzeł. Jedni przyszli, inni poszli, ale paru zostało. Najważniejsze, że duch w zawodzie nie gaśnie. I tym optymistycznym akcentem na razie żegnam się z Państwem, życie już dopisuje ciąg dalszy. To były fakty z dziennikarskiej pracy, Maciej Mazur, dziękuję za uwagę i do zobaczenia.